This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

MARYA KONOPNICKA

MICKIEWICZ

JEGO ŻYCIE I DUCH

WARSZAWA
BRONISŁAW NATANSON

PETERSBURG
K. GRENDYSZYŃSKI

1899

3776

STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES

ADAM MICKIEWICZ.

MARYA KONOPNICKA

MICKIEWICZ

JEGO ŻYCIE I DUCH

WARSZAWA
BRONISŁAW NATANSON

PETERSBURG
K. GRENDYSZYŃSKI

1899

G. SEYFARTH
Księgarnia

PG 7158
M51K67

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

I.

Dwie są drogi, na których najdobitniej wyjawia się duch narodowy: publiczne życie narodu i dzieła piękna. Formą wyjawiającą ducha narodowego w obu tych kierunkach, są czyny wielkich ludzi. Dzieła piękna są albo niezależne od dziejowej doby publicznego życia narodu, albo w mniej więcej ścisłym związku z niem stojące.

W tych wszakże jedynie, które są z życiem narodowem najściślej zespolone, objawia się duch narodu w całej swojej pełni.

I owszem: stopień zespolenia tego jest w dziele geniusza stopniem wyjawienia się w niem narodowego ducha; jest oraz tytułem, z jakim dzieło to w szeregu narodowych staje.

Takiemi są prorockie księgi Izraela, taką jest „Iliada“ Homera, taką „Boska komedya“ Dantego i inne. Pierwiastki życia, leżące w samem istnieniu narodu, jego zadania, cele, ideały, tak w przeszłości dziejowej, jak we współczesnej dobie, są w dziełach takich nietylko pobudką twórczości, ale samą tejże twórczości materyą.

Więcej nawet. One są tym pędem, tym wichrem natchnienia, który przerzuca poetę „za czasu granice“, dając mu moc widzenia najdalej wstecz i najdalej wprzód, moc wskrzeszania i moc wieszczenia, dwa najpotężniejsze skrzydła, na jakich się kiedykolwiek duch ludzki nad ziemię wzbić zdołał.

W tem wzbiciu się, w tem podniesieniu „nad własną naturę“, w tem potrójnem zespoleniu z żywotem narodu, jakim był, jakim jest i jakim będzie, staje się poeta jakoby naczyniem pełnem narodowego ducha, staje się narodowym wieszczem.

Z narodu powstał, naród wcielił w siebie i stał się narodu wyrazem. Wyrazem — nieśmiertelnym. *Czuje* się w nim naród i w nim *wie* o sobie, a takie wiedzenie i czucie jest życiem narodu. Wie, to znaczy: widzi cel, do którego idzie; czuje, to znaczy: rośnie w siły ku osiągnięciu celu.

W poecie narodowym, naród śpiewa sam sobie i wieszczy sam sobie; w nim mówi on światu: „Otom ja“.

Spójnia duchowa między narodem a narodowym poetą jest wprost przyrodzona i nierozerwalna. Duch poety narodowego tak się ma do narodu, jak ognisko do rozproszonych iskier: powstało z nich i obejmuje je sobą.

Jest to nieobliczalna w swej potędze suma uczuciowych pierwiastków w narodzie, pomnożonych przez dziejową chwilę. W takiem to znaczeniu poeta narodowy powiedzieć może: „Nazywam się milion“, a słowa te będą w ustach jego prostym wyrazem prawdy i rzeczywistości. Jakoż istotnie, jest on wypadkową wszystkich sił duchowych, jakiemi rozporządza naród w danej chwili. Jest jego wiarą, jego tradycyą, jest napięciem jego siły czynu, jest nadzieją jego.

Znaczy to, że gdy każdy, ktokolwiek w narodzie zejdzie w głąb własnych, co najczystszych, co najżarliwszych uczuć, jakie nosi w sercu, czy to z duchowego dorobku swego, czy z dziedzictwa, jakie mu przekazały zeszłe pokolenia, odnajdzie w sobie wszystkie pierwiastki wzruszeń i porywów, które stały się natchnieniem narodowego poety. Ujrzy owszem, iż różnią się one od natchnień tych, stopniem ich siły tylko, stopniem natężenia. Siła ta i natężenie, to *moc zbiorowego czucia*. Czucia nie za siebie tylko, ale za miliony.

Na tej to potędze, na tej mocy zbiorowego czucia stoi wszelkie prawdziwie narodowe dzieło. Poetyckie — także.

Z niej wyrasta, na niej się opiera, nią karmi się i trawi zarazem duch wieszcza narodowego tak, że sam wreszcie staje

się płodną glebą, na której chleb życia rośnie dla całych pokoleń.

Potęga zbiorowego czucia jest tedy pierwszym i naczelnym atrybutem narodowego poety. Przez nią to ogarnia on duchem tak ogromne przestrzenie życia, iż zdaje się szybować wprost w nieskończoności.

Widzą go nad sobą dziady, i ojce też widzą; a gdy przyjdą synowie i dalekie wnuki, i ci go nad sobą zobaczą.

Takim to narodowym poetą i wieszczem jest dla nas Adam Mickiewicz. A tę potęgę swoją i to swoje stanowisko znał on sam i sam zaświadczył z nadludzką prawie jasnością i siłą. Czego nie uczynił przed nim żaden z wieszczów i żaden z proroków. Bo każdy wieszcz i każdy prorok stawiał się po wszystkie czasy, między Bogiem a ludem swoim, jako zastępca, jako pośrednik, jako rzecznik ludu, czegoś zatem, co nie było nim samym, ale owszem, co było czemś odrębnem od niego, i poza nim stojącem.

Ale Mickiewicz, gdy przyszło na niego najwyższe i wprost nadziemskie podniesienie ducha, stanął przed Bogiem jako sam lud właśnie, i jako sam naród.

„Ja i lud to jedno...“
„Ciałem połknąłem jego duszę..“
„Nazywam się — milion...“

I w tem to najwyższem podniesieniu nad ludzką naturę swoją, w tem zespoleniu z narodem na śmierć i na życie, rozbłysnął nam, ogarnął nas sobą i cały się nam oddał.

II.

Dzień, w którym — sto lat temu — urodził się Adam Mickiewicz, był dniem wigilii Bożego Narodzenia. Obchodziła go Litwa z dawien dawna, jako dzień świąteczny; dzień silniejszego skupienia rodzinnych uczuć i rozżarzenia tradycyi domowych, dzień oczekiwania, które duchy gorętszymi czyni.

Czekano gwiazdy wieczornej, czekano miłych sercu go-

ści, czekano rozchylenia się nieba, zajrzenia w przyszłość, czekano — cudu.

Tego dnia miały dać wróżbę doli, wróżbę urodzaju, źdźbła rozesłanego pod obrusem wigilijnym siana, i kłosy ustawionych w rogach izby snopów. Tej nocy miały przemówić zwierzęta, zrozumiałym dla człowieka językiem.

Tu, owdzie, słyszano tętenty grzmiące po zamarzłej drodze: królowie to już może konie kulbaczyć dali, i wprost do Betleem jadą...

Tu owdzie widziano tajemnicze łuny: pasterze to pewno zbudzili się w szopach na anielskie pienia i pod jasnością gwiazdy ogniska niecą...

Coś nadzwyczajnego, coś zaświatowego drżało w powietrzu mroźnem. Jakieś podniesienie się aż w niebo rzeczy małych i prostych; jakieś przychylenie się wielkich i wiecznych — aż w serce człowieka. Jakieś zbratanie, spoufalenie się cudu z życiem potocznem, wprost prześwietlonem dnia tego cichem jaśnieniem ducha.

A gospodarze łamią z czeladzią chleb braterstwa i dobrej nadziei, a ściany coraz pełniejsze gościnnego gwaru, a w progi coraz przybywa krewnych i sąsiadów. Aż buchnie kolęda starą, starą nutą i uniosą się myśli w dawne, dawne czasy, i rozrzewnią się serca i uścisną ręce.

A jeżeli tak było w kraju całym, tak też musiało być i w *Zaosiu*, owej, niedaleko Nowogródka leżącej, wioszczynie, którą na mały czas przedtem, pan Mikołaj Mickiewicz, komornik miński i adwokat nowogródzki, po stryjach był objął, i gdzie go schyłek 1798 roku wraz z żoną Barbarą z Majewskich i dwuletnim synem Franciszkiem był zastał.

I tam zebrało się pod nizkim dachem wiejskiego dworku wszystko, czem żyła Litwa: żywiczna woń jodeł, snopy zbóż, pieśń gminna i wzruszone serca.

Zaczynały już bowiem bić w Europie wyroczne godziny, a świat stał pod zorzą nowego wieku i wypadków ogromnej, piorunowej mocy, które prawie że z dnia na dzień zmienić miały jego postać.

I tu słyszane były dalekie, grzmiące po świecie tętenty.

„...To mąż ów, bóg wojny,
Otoczon chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny,
Wprzągłszy w swój rydwan orły złote obok srebrnych,
Od puszcz libijskich latał do Alpów podniebnych".

I tu widziano łuny tajemnicze. To grom po gromie bił tak:

„...W Piramidy, w Tabor".

Napięcie tedy umysłów było nadzwyczajne, a całą odległość tego cichego zakątka Litwy od sceny dziejowej, wypełniały po brzegi marzenia, nadzieje.

I tu czekano — cudu; a coś z czekania tego, z pierwszem odetchnieniem weszło w pierś narodzonego w tę wielką wigilię chłopięcia. Ono będzie kiedyś, po latach i ostatniem odetchnieniem poety, tam, daleko, nad Bosforem, gdzie też czekał — cudu.

Chrzest tego drugiego syna pana Mikołaja Mickiewicza odbył się w Nowogródku. Chłopcu dano imię Adam, co jak wykłada Biblia, znaczy: z ziemi wzięty. I był on takim właśnie i takim się czuł, i całem życiem świadczył imieniowi swemu. Z ziemi tej był, na zasobach jej sił duchowych wyrósł, w słodką jej piękność, jak w oblicze rodzicielki wpatrzony, ku niej z oddalenia tęskniący i cudem do niej wrócić żądający. Z ziemi tej był, do niej się czuł, i tę przynależność swoją nietylko pieśnią zadokumentował.

Przeniesienie się rodziny Mickiewiczów z Zaosia do Nowogródka nie było zerwaniem ze wsią i z żywotem wiejskim. Wracała do Zaosia i przebywała w niem często matka z dziećmi, gdy ojca zatrzymywały „zawiłe roki i kadencye sądowe".

Ale i w Nowogródku życie różniło się niewiele od życia w Zaosiu. Tu i tam było ono prostem, rodzinnem, domowem. Tu i tam miał pan Mikołaj swoje księgi i swoje zadumy, a pani Barbara — gospodarstwo swoje i swoje nie-

spokojności niewieście, ile że dzieci gromadka rosła, a ojciec na zdrowiu, zapadał.

Tu i tam, stary Błażej — Ulissesem zwany — prawił paniczom niestworzone dziwy o swoich wędrówkach i wrzekomych przygodach po świecie, co w czasach, kiedy szlachcic, z Nowogródka do Wilna jadący, testament czynił, musiało być niezmiernie ciekawem.

Tu i tam stara Gąsiewska wyciągała drżącym dyszkantem to kantyczki nabożne, to światowe pieśnie te „O Filonie“ naprzykład, co to się zaczyna:

„...Już miesiąc zaszedł, psy się pośpiły“,

lub tę drugą o sierocie — pastuszce, co

„...piękna jak zorze,
Zaganiać ptactwo szła w wieczornej porze“,

zaczynającą się od słów:

„Pójdźcie, pójdźcie, gąski moje..“

Pieśni proste, ludowe, których nuta tak głęboko w duszę poety zapadła, że przez wszystkie lata jego życia miała moc odrywania go od rzeczywistości, moc dobywania z ducha jego najcudniejszych natchnień.

Płynęło tedy życie w Nowogródku i w Zaosiu prawie że równym trybem: bardzo rodzinne, bardzo serdeczne i bardzo domowe. A jeżeli Zaosie wrażało w umysł chłopięcia pierwsze mocne obrazy przyrody, jeśli tu zaostrzyły się zmysły jego na dźwięki, barwy, na światło, na ciszę, na wonie, co wszystko stanowić kiedyś będzie znakomitą część malarskiego i epickiego materyału w dziełach poety, — Nowogródek, przemawiał silniej do uczuć jego i do wyobraźni.

Okolica była czarująca, przeszłość i tradycya — żywe. W miasteczku widać było baszty dawnego zamku książąt nowogródzkich, wskróś pastwisk podmiejskich sterczały tu, owdzie szańce stare i stare kurhany; a niejeden jar wikliną zarosły i od słowiczego klaskania aż głuchy, był dawną fosą obronną z tatarskich i późniejszych wojen.

A potem klienci pana Mikołaja, ten cały rozgardyasz palestrancki, którego echa biją z tylu kart świetnych ostatniego zajazdu na Litwie. A potem te chrzciny, imieniny, polowania, zjazdy, których główną przyprawą była serdeczność, humor szlachecki, szlacheckie dykteryjki i szerokie *de publicis* rozprawy.

Ani wątpić, że właśnie z okazyi takich to zjazdów,

„...W kociołkach bigos grzano, którego woń cudną,
Smak przedziwny i kolor w słowach wydać trudno".

A i to pewna, że właśnie przy okazyach takich występowały owe:

„...Tace ogromne, w kwiaty ślicznie malowane
Na nich kurzące wonnie imbryki blaszane",

w których roznoszono kawę, i których wspomnienie wyrywa poecie, po latach tułactwa, okrzyk bardzo szczery:

„...Takiej kawy jak w Polsce, niema w żadnym kraju!"

A Zaścianki?... Zaścianki, — o których mówi Mickiewicz, że w nich panowało „samo życie, sama radość". Wszakże Zaosie ocierało się prawie o zaścianki takie, z całym ich kolorytem, z całym gwarem potocznym, z turkotem kałamaszek, z rejwachem niemal że nieustającym granicznych sporów, z całą galeryą typów, z całem „brio" swoich zamaszystych figur, w czamarach, w taratatkach, „z frendzlą", czy bez frendzli, fałdzistych, czy też zgoła „gładkich".

Nie ulega wątpliwości, że z tej to galeryi właśnie pochodzą nieocenione owe „Skołuby", „Wilbiki", „Jurahy" i „Terajawicze",

„...I czterej Stypułkowscy, i trzej Mickiewicze",

którzy z księdzem Robakiem narady swoje w karczmie Jankiela miewali. Bo nie brakło w zaściankach i krewniaków rodu; jak naprzykład ów Felicyan Mickiewicz, który — „choć szkoły skończył i z dowcipu w nich słynął", w płótniance zaś chadzał i sam zagon swój orał, ożeniwszy się z ową

„Józią“, co to stroiła się i kładła zauszniczki idąc do żniwa, a potem siadywała na snopie z gitarą, przygrywając sobie i śpiewając:

„Przybywajcie mi, rycerze!“

O zakład nawet iść można, iż ta to Józia właśnie:

„...Pasła bydło nie w łapciach z kory, lecz w trzewiczkach,
A żęła zboże, nawet pełła w rękawiczkach“.

Bo ród, mimo rozdrobnienia i zubożenia, był świetności dawnej świadom, i w każdej chwili, w każdej zwadzie zwłaszcza, rad powoływał się na klejnot.

„...Poraj — krzyknął Mickiewicz — Mitra w polu złotem,
Herb książęcy! Stryjkowski gęsto pisze o tem!“

O domu rodzicielskim samego poety wiemy tyle, że „choć nie ubogi, zamożnym też nie był“. I to wiemy, że: „nie z urzędów, nie z bogactwa, nie z tytułów dygnitarskich słynął, ale z domowej zgody, z miłości ku bliźnim, z litości ku biednym, a szczególniej z prawdziwego, szczerego ukochania drogiej swej ziemicy“. Tak tedy życie w Nowogródku i w Zaosiu uzupełniało się wzajem. Nie czyni też poeta rozróżnień pomiędzy temi dwoma odłamami dzieciństwa swojego, które mu tu lub tam ubiegło, ale je razem „sielskiem“ nazywa.

On je nazywa i „anielskiem“ także. Jakoż istotnie atmosfera domowa, w jakiej wzrastał, była atmosferą wysokiego ideału rodzinnej i obywatelskiej zacności.

Nie słyszał tam żaden z synów o robieniu karyery, o samolubnych i ciasnych widokach własnego tylko dobra i własnego użycia; nie widział obojętności, ospalstwa. W rzeczach publicznych, krajowych, nie widział deptania przeszłości, ani zwątpienia o jutrze.

Tło życia było głęboko uczuciowe, swojskie: obrazy jego barwne a proste. To też kiedy poeta zechce nazwać: „ten kraj szczęśliwy, ubogi i ciasny“, „kraj lat dziecinnych“ — nazwę tę wyrazi właśnie w swojskości:

„...Jak świat jest boży, tak on był nasz własny“.

Swojskość też i mocna, skupiona w sobie uczuciowość, będzie najgłębszym, najpierwotniejszym pokładem jego wielkiej duszy.

Czasy szkolne Adama Mickiewicza nie zmieniały prawie trybu domowego życia: one je rozszerzały tylko. Nowogrodzka szkoła OO. Dominikanów, do której pan Mikołaj starszych synów oddał, tak samo, jak inne tamtejsze zakłady naukowe, pod kuratoryą Adama ks. Czartoryskiego podówczas stojące, nie była ani sroga, ani nudna. Nauki, za przykładem świeżo zreorganizowanego uniwersytetu w Wilnie, podążały i tu, jak mogły, w kierunku humanitarnym. Była owszem między starszymi uczniami wprost moda zaczytywania się w szkole i poza szkołą nawet, w żywotach sławnych mężów Plutarcha, w przekładach Tacyta, Liwiusza i moda podziwiania i uwielbiania bohaterów starej, rzymskiej cnoty. Rzym, Grecya, to były prawie dwa zaklęcia, a nie nazwy krajów; chłopcy mieli tam swoich ulubieńców, patronów niemal; a o Leonidasa i Mucyusza Scewolę wprost do kłótni przychodziło, tak ich rozrywali między sobą, na wzór oczywiście.

Dzieje starożytne nie przeszkadzały uczniom przykładać się i do innych nauk. A kiedy w roku 1808 ks. Czartoryski, do Nowogródka zjechawszy, egzaminowi ich poddał, okazało się, że obaj Mickiewicze, Adam i Franciszek, są celującymi.

Wtedy to zobaczył Adam po raz pierwszy wydrukowane imię swoje i nazwisko w spisie rocznym najzdolniejszej i najpilniejszej młodzieży szkolnej.

Ta szkoła nowogródzka, to jakby świat mały. Ma ona swoje sądy, swoje urzędy, prawa, paragrafy, całą swoją jurysdykcyę, a tak z bezstronności sądów tych, wykonywanych przez uczniów samych, słynie, że zdają się na nie nowogrodzcy żydzi w zatargach swoich ze szkolną młodzieżą — i to bez apelacyi.

Prócz sądów, miała szkoła swe wojsko. Była to zabawa tylko, rzecz prosta, ale napełniała życiem i radością całe miasteczko. Kiedy bowiem przyszły dnie rekreacyjne, maszerowali chłopcy z bębnami, trąbkami, w mundurach,

przy pałaszach z drewna i w papierowych kaszkietach, w dobrym ordynku, plutonami, każda klasa ze swoim sztandarem. A ksiądz Rokicki, rektor, który jak ks. Robak, miał w sobie coś z żołnierszczyzny, cieszył się sprawnością ruchów, gdyż on to sam wojsko owo sformował.

Poza tem dwie mamy relacye, dotyczące Adama Mickiewicza z tych szkolnych nowogródzkich czasów. Jedną, że tam właśnie zawarł przyjaźń z Janem Czeczotem, a drugą tę, że po wielkim pożarze Nowogródka w roku 1810, napisał pierwszy w życiu swojem wiersz. Że wiersz ten był odą, tego nawet mówić nie potrzeba. Ody wtenczas jak wróble w powietrzu latały. Ale były to ich ostatnie loty.

„...Takie były zabawy, spore w one lata
Wśród cichej Litwy..."

I tak wszedł rok 1812.

Nagle ogromna, błyskawiczna wizya: Napoleon za Niemnem! Król Hieronim w Nowogródku z armią swoją i ze świetnym sztabem!

Ale dworek pod topolami od miesiąca był już osierocony, w chwili wejścia Francuzów. Pan Mikołaj nie doczekał cudu. Mickiewicz sam opowiada w paru prostych słowach, jak Napoleona zobaczył: „...Stałem na ulicy w żałobie po ojcu i płakałem — z radości..."

III.

Kiedy w trzy lata później Tomasz Zan poglądał po ławach wileńskiego uniwersytetu, szukając, „czy z przeszło tysiąca towarzyszy nauk nie znajdzie się co wielkiego dla kraju" — niezawodnie zauważyć musiał młodzieńca, którego oko wtedy się już zdawało „sięgać daleko, głęboko". Musiał sobie naznaczyć w pamięci jego piękną głowę „o bujnych, ciemnych włosach, szerokiem czole i pociągłej, zadumanej twarzy".

Młodzieńcem tym był świeżo przybyły z Nowogródka do Wilna siedmnastoletni Adam Mickiewicz.

Oddał Nowogródek Wilnu Mickiewicza z całym niemal już kierunkiem jego przyszłego duchowego rozwoju; z zadatkiem wielu pojęć, wielu — i to, co najsilniejszych — uczuć, które zachował na zawsze. Pojęcia były czyste, proste; uczucia rzewne, głębokie, a duch nawskróś przetwarty, przewiany podmuchami budzących się natchnień.

Przybył Mickiewicz do Wilna bez funduszów prawie; zaczem poszło, że przygarnięty na wikt i na stancyę przez dziekana wydziału fizyczno-matematycznego, ks. Józefa Mickiewicza, imiennika, lubo nie krewniaka rodu, na tenże wydział wpisał się zrazu i przebył na nim przez pierwsze półrocze.

Było to półrocze dość ciężkie. Nie dla nauk ciężkie; ale właśnie dla przygarnięcia tego, które sobie dziekan za nadmierne dobrodziejstwo i za wielką, przez siebie świadczoną łaskę miał, ile że chciwy był na grosz, i wydawał go nieochotnie, jak świadczą współcześni.

Ta nieochotność przecież miała także i swoją dobrą stronę.

Gdy bowiem grosz każdy, coraz szczelniej ściskany, w ręku poczciwego księżyny aż piszczał, szukał dziekan sposobu, jakimby młody imiennik bez pomocy jego obejść się mógł, i szukając — znalazł.

Były wtedy, jak i dziś są, stypendya uniwersyteckie, które pozwalały zdolnym uczniom, kosztem rządu nauki kończyć, obowiązując młodzież, po ich ukończeniu, do odsłużenia udzielonego sobie zasiłku, na posadach nauczycielskich, rządowych.

Chcąc zasiłek taki uzyskać, trzeba było zdać egzamin na kandydata do stanu nauczycielskiego, co uczynić zaraz, jaknajprędzej, było na wydziale fizyczno-matematycznym — niezawodnie dla Mickiewicza trudnem.

Wpisał się tedy na wydział „Literatury i sztuk wyzwolonych“ zaraz z początkiem drugiego półrocza, a zdawszy pomyślnie egzamin kandydacki, do którego Tomasz Zan ra-

zem z nim przystępował jako współzawodnik, stanął Mickiewicz na pewniejszym gruncie. Na gruncie, który miał przynajmniej pozory niezależności. Przygarnięcia jednak swego przez ks. dziekana nigdy nie zapomniał, a odziedziczony portret jego na zawsze wdzięcznie zachował, chociaż ta podobizna „niezmiernie tłustego księżuli, z chustką pod pachą i tabakierką w ręku“ — jak opowiada nam syn poety — nie była niezawodnie żadnem arcydziełem, co i dziś sprawdzić można w Muzeum krakowskiem.

Dwie rzeczy są ważne w tych latach uniwersyteckich dla rozwoju przyszłego poety: kierunek nauk i duch, jaki ożywiał ówczesną młódź uniwersytecką.

Po niedawnej reformie, uniwersytet wileński prawie że zakwitał, a sposób wykładanych w nim nauk miał w sobie coś z świeżości tego odrodzenia, tego zakwitu. Miał żywotność rzeczy stających się, rosnących, która to żywotność, nawet przy pewnych niedostatkach w pomocach naukowych, stokroć jest owocniejszą, niż martwa oschłość rutyny.

Przedewszystkiem ma żywotność taka jakby pewne pokrewieństwo z młodzieżą samą, która też się staje dopiero; więc łatwość porozumienia się, więc pociągnięcie jakieś ku sobie, i co za tem idzie, ogromna, żywa moc nad umysłami.

W owoczesnym uniwersytecie wileńskim brakło nieraz do wykładu książek, źródeł, naukowych zbiorów. Groddeck biegał po wszystkich antykwarniach, szukając swoich greków; a gdy Epikteta znalazł, cieszył się jak student. Tak. Książek brakło nieraz. Ale był Jędrzej i był Jan Śniadecki, był Jundziłł, — mężowie, których nie spotyka się na zawołanie nawet w bardzo zasobnych uniwersytetach. Był nadewszystko „koronny“ Lelewel, który sam młody — młodzież czuł, znał, i potężnie pociągał urokiem nowych poglądów, nowych widnokręgów, jakie rozgarniając i najbardziej zamroczone dzieje pokazać umiał słuchaczom.

Mickiewicz, prawda, Śniadeckiego Jędrzeja słuchał krótko. A jednak zostało w języku jego coś z precyzyi, z jasności, z logiki tego potężnego umysłu.

Co do Groddecka, zajmowały Mickiewicza bardzo jego

żywość, jego zapał, jego wprost zapamiętywanie się w Grekach i Rzymianach. Więcej powiem: one mu się udzieliły nieco... „Kropię tu Szwajcarom, jak Groddeck!“ — napisze on kiedyś do przyjaciół o swoich wykładach w Lozannie. Poczciwy Groddeck! „Kropił“, to prawda, ale jakże się na Mickiewiczu nie poznał!

— Co ty? wiersze robisz? — rzecze mu raz szczerze zmartwiony.

I kiwając głową dodaje:

— Jaka szkoda zdolności, talentu! Radzę ci, rzuć to póki czas, weź jakiego starego, niewydanego dotąd w zupełności autora, poznaj go, zgłębij, komentuj, poświęć mu życie całe, a będzie to najwznioślejsze dzieło!“

Na nieszczęście dla „niewydanego dotąd autora“ — młody student nie poszedł za radą poczciwego Ernesta Godfryda. Po prostu iść nie mógł.

Nie psuło to wszakże między nimi wzajemnej życzliwości, gdyż ten nowogródzki młodzieńczyk, oczytany na Plutarchu, Tacycie, Liwiuszu, imponował profesorowi jeśli nie wiedzą to zapałem, od którego, gdy o dawnych bohaterach mówił, „twarz mu bladła“, a oczy stawały się „namiętne“.

Najdoraźniejszy wszakże i najistotniejszy wpływ na Mickiewicza miał Leon Borowski, który katedrę literatury ojczystej, czyli — jak wówczas mówiono „Poezyi i wymowy“, po Euzebiuszu Słowackim niedawno był objął.

Wykładał Borowski „Psałterz Dawidów“ Jana Kochanowskiego, wykładał „Sielanki“ Szymonowicza, wykładał „Kronikę“ Bielskiego, wykładał Górnickiego „Dworzanina“ i pomniejsze pisma.

Co wszakże jest zastanawiającem, to, że w wykładach tych, nie poszedł utartą drogą bezkrytycznego uwielbienia dla literatury złotych, Zygmuntowskich czasów. Że miał owszem odwagę założyć i dowieść, że literatura owa, aczkolwiek bogata, wcale narodową nie była.

Był to rzut światła na epokę Zygmuntowskich pisarzy, o tyle nowy, o ile niespodziany. Był niepokojący poprostu. Jakto? Ta literatura nie była narodową? Jakto? Z Szymono-

wiczem, z Bielskim, z Górnickim — i z Kochanowskim nawet narodową nie była?

I oto pierwszy skrzyp ogromnego rusztowania klasycznej powagi, pierwsze zachwianie się jego. Chociaż bowiem Brodziński śpiewał już swego „Wiesława“, w Wilnie było jeszcze o nim dosyć głucho.

Borowski orłem nie był. Ale miał jasne widzenie i czucie prawdziwej narodowej poezyi. Wiedział, a może przeczuwał tylko, skąd bije, gdzie wytryska jej żywy, wieczny zdrój; wiedział, że pieśń i „wieść gminna“ jest poezyi narodowej krynicą czystą, najczystszą, — że jest arką, w której „lud składa swych myśli przędzę — i swych uczuć kwiaty“; że ona to stoi na straży „narodowego pamiątek kościoła, z archanielskiemi skrzydłami i głosem“, że „czasem dzierży i miecz archanioła“. Wiedział, że ona to czasów głodu i posuchy dusznej „tłum ludzi obiega“, by „karmić go żalem, i poić nadzieją“, że „przylega do gruzów“ zburzonego życia, że jak „słowik wylatuje z ogniem zajętego gmachu, a gdy dach runie „nad zgliszcza i groby nuci piosenkę...“

Jaki to był świeży powiew wskróś stęchlizny czasów! Jakie trącenie strun dźwięcznych, nowych! Jakie otwarcie na roścież drogi jutrzence i wiośnie!

Więc te wykłady, acz skromne ale o wielką, rodzącą się już w świecie ducha prawdę oparte, miały moc i wagę wprost siewnego ziarna. A potem przyszła Borowskiemu jeszcze jedna myśl szczęśliwa: Z studenckich rozpraw na zadane tematy to prozą, to wierszem pisanych, wybierał najlepsze i odczytywał je z katedry głośno, oznajmiając po skończonem czytaniu w uciszonej auli imię i nazwisko autora.

Było to więc coś jakby mówiona książka, coś jakby druk, jakby już rozgłos, publikacya, sława. Był bodziec do postępu, do pracy, do współzawodnictwa.

Borowski to też, czytając pierwsze próby poetyckie Adama, wykrzyknął w parę lat później:

— Geniusz! Geniusz zabłyśnie w kraju naszym! — I postawił tym okrzykiem pomnik, nie tyle może jasnowidztwu

swemu, ile raczej swojej bijącej ze słów owych — miłości ojczystego gniazda i jego sławy.

Wprost z kierunku owoczesnych wykładów uniwersyteckich w Wilnie, przynajmniej z kierunku niektórych a także z wyjątkowo pobudliwej żywotności i siły niemal wszystkich, wynikało nadzwyczajne rozbudzenie duchowe uczącej się młodzieży. Jakiś pęd ku wyżynom, jakieś mocne pożądanie dobra i doskonałości, jakieś gorące, ofiarne poczuwanie się do służby dla ogółu, słowem atmosfera w najwyższym stopniu idealna ogarnęła serca i umysły.

W takiej to atmosferze i na tle takich to aspiracyi, Tomasz Zan, Adam Mickiewicz, Jan Czeczot, Franciszek Malewski, Józef Jeżowski i Onufry Pietraszkiewicz, zawiązali jesienią 1817 roku Towarzystwo Filomatów czyli miłośników nauki. Zobowiązali się oni pod przysięgą całe życie pracować dla dobra kraju, nauki i cnoty, czynem wyznawać i szerzyć między kolegami zasady prawdziwej moralności i oświaty, doskonalić się, nie gnuśnieć nigdy w bezczynności i towarzyszom nie pozwolić na to.

Towarzystwo było tajemne, chociaż ani zadania jego pierwotne, ani działania także, tajemnicy nie potrzebowały. Młodość jednak lubi takie ukryte, same w sobie pałające prace, — to raz, a powtóre — leżało to w duchu epoki, która podobne i mniej podobne związki tajemne rozwinęła między młodzieżą w Niemczech i we Włoszech. Tamte miały wprawdzie inne jeszcze zadania i cele; rzecz sama wszakże, sam popęd do tworzenia tajemnych związków był wprost w powietrzu.

Głównym organizatorem Filomatów był Tomasz Zan, który jeszcze w szkole w Mołodecznie sformował z równych sobie wiekiem pauprów „Wojsko Marsa i Apolina“ i ustanowił w niem „krzyż świętej miłości“, z dwóch kawałków złoconego papieru złożony. Co to była za święta miłość? Była to ta miłość, którą „czują tylko umysły poczciwe“, co Zan jeszcze w gramatyce Kopczyńskiego wyczytawszy, za godło życia sobie obrał. Ona też to zapewne, ta miłość sprawiła, że, poglądając po ławach uniwersyteckich w Wilnie, „szukał

czy z przeszło tysiąca młodzieży czego wielkiego dla kraju się nie znajdzie".

Powiada Ignacy Domejko o Tomaszu Zanie w pamiętniku swoim, że, serce miał otwarte, oczy wnikające w duszę, dobre, wesołe słowo dla każdego, litość i pobłażliwość dla drugich, a surowość dla siebie".

O innych wiemy, iż zadaniom i celom młodości zostali całe życie wierni, że umieli i pracować i cierpieć dla dobra ogółu, i że choć się rozproszyli po świecie, jeden wspólny ideał zawsze im przyświecał.

Ale duszą i płomieniem związku był Adam Mickiewicz. Jego głęboka uczuciowość, jego budzące się poetyckie natchnienia, jego mowy, jego pieśni, czyniły z niego najgorętszy i najbardziej świecący punkt tego duchowego ogniska.

O Mickiewiczu mówi Domejko, że „radzono go się w rzeczach tyczących kierunku Towarzystwa: „jego bowiem oko sokole wtenczas już widziało dobrze, daleko". Towarzysze nie domyślali się jeszcze podówczas, że będzie to kiedyś oko Konrada z Wielkiej Improwizacyi, oko wieszcza i proroka, ale już wtedy uznawali w nim swojego duchowego wodza. Stowarzyszonych przybywało coraz. Wszedł do związku Jan Sobolewski, Ignacy Domejko, Teodor Łoziński, Kazimierz Piasecki, Józef Kowalewski, że wymienię tu tylko nazwiska, które się z czasem więcej uczyniły głośne. Ale Filomaci wtedy już uważali, iż:

...wniósłby chyba tępy,
Że wszystkim trzeba zrobić wolne do nich wstępy.

Zamknięto tedy ściślejsze koło pierwotnych inicyatorów, a stowarzyszenie otrzymało stopień drugi, bardzo już szerokie i coraz szersze obejmujący kręgi, stopień: „Filaretów", którzy się do Filomatów mieli tak, jak wtajemniczeni do niewtajemniczonych. I teraz wprawdzie jeszcze tajemnic nie było, a nazwa „Miłośników nauki" obejmowała sobą jeśli nie całość zadań związku, to przynajmniej całą dotychczasową działalność jego; takie wszakże wyłączenie Filomatów od Filaretów zapewniało czystość i nieskazitelność tych zadań, two-

rząc zarazem jakby konieczną w stowarzyszeniu starszyznę, mającą władzę inicyowania nowozaciężnych.

Prócz tego Tomasz Zan stworzył jeszcze jeden okręg związku, którego to okręgu bóstwem a zarazem istotą była „piękność“ i „czułość“ czyli promienność dusz czystych i wdzięku młodości, które przy zetknięciu się z sobą tworzą przez wzajemne załamywanie się promienności owej cudne tęcze przyjaźni i miłości, w platońskiem znaczeniu.

Taką była teorya „promionków“ Zana, wyczerpnięta z wykładów Śniadeckiego o ciałach świetlnych, i takie było powstanie związku „Promienistych“. Oba te szerokie okręgi: „Filaretów“ i „Promienistych“, wyrabiały w młodzieży najszlachetniejsze podstawy życia.

Idei braterstwa, jedności, obowiązku i cnoty — tej w rzymskiem znaczeniu, — nie odkładano na praktykę dalszą, życiową. Praktykowano je doraźnie, odręcznie, z całym zapałem, z całą rozlewnością młodego, niehamowanego uczucia. Coś bohaterskiego weszło w dusze; coś idealnego. Algebra — jak mawiał Zan — nie była jedynem i ostatniem życia zadaniem. Umysły i serca nastroiły się na ton górny, wzniosły.

„Nowe tworzymy gmachy na nowej posadzie“

mówił Mickiewicz wtedy już w swoim filomackim wierszu, a zapowiedź ta, nie była wyrazem pychy. Ona zaznaczała tylko wielkość celu, ku któremu praca i doskonalenie się wieść miały. Zaraz bowiem dodaje, że

„Im wyżej kto wstąpił, w większy trud się wprzęga,
I tem się nawet zniża, że wyżej nie sięga...“

Mówi tu Mickiewicz o Filomatach wprawdzie; ale nie wyłącza nikogo od tego wstępowania wyżej i od wprzęgania się w trud coraz większy, coraz zaszczytniejszy.

„Wszyscy chciejmy dokonać — dokona kto może“

Wiersz ten uderzający dojrzałością swoją — a pisany w 1818 roku, przez dwudziestoletniego młodzieńca, uważać trzeba jako

prógram i jako hasło związku. Jako taki też był on czytanym na koleżeńskiem zebraniu, tegoż roku, budząc niesłychany zapał.

Owe bowiem czytania głośne, wprowadzone do auli przez Leona Borowskiego, przeniosły się teraz na filareckie zebrania. Zrazu obrabiano po staremu tematy przez profesora zadane, poddając prace uprzedniej krytyce kolegów; wkrótce wszakże zaczęto obierać przedmioty dowolnie, jak kto pociągniętym do czego się czuł i co upodobał sobie, a jest rzeczą prawdopodobną, że nowość ta wyszła od Mickiewicza, w którym wzbierały już fale twórczości, nic wspólnego z narzuconemi z góry tematami nie mające, i o którym mówi Domejko, że „choć pilny, katedr profesorskich nie lubił".

Poprostu zaczynała młodzież ta — a on z niej najpierwszy — czuć, że przerasta swoich nauczycieli duchem jakiegoś nowego i gorejącego życia; a i to pewna, że „czucie i wiara" wtenczas już zaczynały „mówić silniej" do młodzieży, niż „mędrca szkiełko i oko".

Pisano tedy i czytywano wiersze i prozę; ale wiersze — poza Mickiewiczowskiemi — były słabe. Ani Józef Jeżowski, ani Tomasz Zan, ani nawet Jan Czeczot urodzonymi poetemi nie byli.

Poezya — ta leżała w ich porywach, w ich czynach, w ich życiu: oni sami mogli być przedmiotem dla poety.

Dniem „promienistym", dniem zebrań koleżeńskich była niedziela. W dniu tym, w poranek poprzedzający wieczorne czytania, ciągnęła młodzież gromadkami z miasta, „na Popławy", najczęściej już o brzasku, tak, że wschód słońca zastawał „słoneczną, promienistą dziatwę" na wzgórzu, wznoszącą Mickiewiczowski toast „ciepła i światła", gdyż „zimny świat i zimne serce" grozi „chaosem życia", a także toast „magnesu", spójni bratnich w sferze ducha i w sferze czynu, gdyż „wiatr niezgody" roznieść może i tych, co są „pełni światła a ciepła". Toasty wznoszone były mlekiem — w rzadkich tylko wypadkach miodem, a chleb „braterstwa" wyobrażony był przez wielkie kosze pieczywa. Po pieśni toastów przychodziła pieśń filarecka. Obie one były — wspólnie z owym wierszem — pierwocinami ducha Mickiewicza, który rozpło-

mieniał się coraz silniej ogniem natchnienia. Ale co jest w tych pieśniach dziwnem, to nie sam ogień natchnienia. Dziwnem jest to, że pieśni te mają w sobie tyle mądrości życiowej, tyle prawd dojrzałych, takie jasne widzenie tego, co jest siłą i cementem każdego społeczeństwa, każdego narodu — naszego także. Te lekkie, młodzieńcze, na Anakreontyk zakrawające strofy pieśni filareckiej, która się zaczyna od wezwania bachicznego niemal:

„...Hej, użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz.
Niechaj ta czara złota,
Niepróżno wabi nas!“

— te strofy, z natury swojej powołane się być zdają do zamknięcia w sobie i wyrażenia sobą całej nieopatrznej, kipiącej, samolubnej radości młodego życia.

Tymczasem — nie! Tymczasem okazuje się, że w każdym niemal ich wierszu dźwięczy najczystszy kruszec jędrnej, społecznej myśli, brzmi zdrowe hasło jedności i pracy. Okazuje się, że ta „złota czara filarecka“ zawiera pod skrzącą pianką krzepkie i krzepiące wino życia: sławi ona pieśń swoją przed cudzą; dla czynu miejsce przed słowem naznacza; „powszechne dobro“ chce mieć skalą życia, „jedność“, jako większą od dwóch ogłasza, aż wybucha wreszcie tym przepysznym czterowierszem, który zakonem młodości nazwany być może.

„...Cyrkla, wagi i miary
Do martwych użyj brył;
Mierz siłę na zamiary,
Nie zamiar według sił!“

Czy więc nie jest jasnem, że owo anakreonckie wezwanie:

„...Hej, użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz“, —

wezwanie, które się i przy końcu pieśni tej powtarza, nie znaczy nic innego nad to, iż gdy „raz tylko żyjemy“, żywota tego na służbę ideału, na służbę powszechnego dobra użyć nam potrzeba. Inaczej — wprost jakbyśmy nie żyli. Pytam się: czy nie jest to głęboka i prawdziwa mądrość? I czy nie jest to filozofia wyższa o całe bijące dla współbraci serce, o całą zdrowo o zadaniach życia myślącą głowę, od wszystkich naszych pesymizmów, estetyzmów i dyletantyzmów? Ale żeby tak śpiewać, trzeba czuć, czuć żywo, górnie i nie za siebie tylko.

Ślimaki my, że po takich pieśniach śmiemy pełzać dokoła marności samolubnego, bezcelowego istnienia naszego i nazywamy to pełzanie pieśnią naszą, my, którym także znaczył się lot górny! I krety my, że widzimy wszystkie nędze życia, prócz tej jednej właśnie, prócz nędzy bezcelowości jego. Nie zostanie nic po nas, tylko ta grudka rozkopanej ziemi, którąśmy ślepo ryli na mogiłę życia!

Przepadną, przebrzmieją nasze pieśni piękne i nasze pieśni wymuskane, strojne, jak zalotnice szukające komuby się przedać!

Przepadną, zginą nasze kwilenia, wzdychania, bo nie umiemy westchnąć do żadnej prawdziwej wielkości życia, do żadnego prawdziwego szczęścia! Przepadną, w bagno wsiąkną wszystkie nasze płacze, bo niema w całym ich zdroju, ani jednej łzy wielkiej, męskiej czy niewieściej, nad samemi sobą!

Ale w ślad za wierszem Filomatów i za filarecką pieśnią, szła wielka oda, Oda do młodości.

Wielką ją nazywam, mimo jej drobnych rozmiarów, gdyż pomieściła ona w sobie wielkie myśli i wielkiego ducha. Ona zaszumiała nad ziemią jako orle skrzydła, jako skrzydła młodości, ażeby ludzkie serca chwycić, wznieść i od nizin samolubstwa oderwać. Ona zaszumiała także jak sztandar, jak sztandar miłości i pracy.

Cała treść Ody leży w wierszu filomackim i w pieśni Filaretów gotowa już prawie. Leży w zawiązku jak kwiat i jak owoc. Aż wzbiło się słońce natchnienia, słońce ducha świadomego nietylko celów, ale sił swoich i dróg swoich,

a tak wybuchła — Oda. Wiersz filomacki jest przedewszystkiem programem działań pierwszego, ściśle zamkniętego koła. Mówi o zadaniach, celach, ideałach w szczupłem gronie, które ma coś z wolnomularstwa, coś z współczesnego karbonaryzmu Włoch, coś z „Bruderszaftów“ niemieckich.

On zapowiada wprawdzie „wznoszenie nowego gmachu na nowej posadzie“, ale oznajmia jednocześnie, że młot i kielnia przy budowie gmachu, będą w niektórych tylko rękach.

„...Chyba tępy
wniósłby, że wszystkim do nas wolne wstępy“.

Wiersz ten nadto, z samej natury swojej, jako dla koła organizowanego pisany jest hierarchiczny.

„...A im kto wyżej wstąpi, w wyższy trud się wprzęga,
I tem nawet się zniża, iż wyżej nie sięgá“

— mówi wiersz. Zapowiada więc trudy mniejsze dla małych i trudy większe dla wielkich. Zaznacza stopnie niższych wstępowań i wyższych wstępowań. Dzieli tedy odrazu siły duchowe i tej szczupłej garstki, do której jest zwrócony. Wiersz nie narzuca haseł swoich, swoich ideałów, z natarczywą gorącością, która w hasłach tych, w tych ideałach widzi zbawienie. On nieśmiało i tylko w formie życzenia powiada:

— „Oby kiedyś świat cały zgodnie
Nasze wziął godło“.

Ale już same słowa „*nasze godło*“, potrzebowały komentarza, jako wyłączające garść Filomatów z ogółu bardzo wyraźnie i bardzo charakterystycznie.

Nawet znane i piękne wezwanie:

„...Wszyscy chciejmy dokonać, dokona — kto może“,

ogranicza siłę wiersza przez to, że wyraz „wszyscy“, do grona filomackiego zwrócony, obejmował w rzeczywistości kilku tylko wtajemniczonych.

I jeszcze jedna uwaga, właśnie z powodu wtajemniczenia tego.

Hasła życia nie mogą spiskować w tajemnicy. Mogą w niej wprawdzie powstać, ale trwać nie mogą. One muszą świecić jawnie, jak słońce świeci, żywić, jak ziemia żywi, poić, jak poi woda.

Płomień zbyt długo zamknięty — przygasa. One muszą być płomieniem żywym i w niebo bijącym. Wiersz filomacki jest dziełem rozwagi, ale nie jest dziełem zapału. On jest dziełem tej rozwagi, która z namysłem szuka dróg swoich; a nie tego zapału, który jednocześnie z wizyą celu, z wizyą ideału ma objawienie jakby dróg wiodących do nich i rzuca się w drogi te, jak płomień. Tymczasem „Wiersz“, lubo ma widzenie jasne celów swoich, niedostatecznie widzi środki do celów tych wiodące. Niema też w nim twórczego nakazu, tego nakazu, co i sam, jak wódz, na czele staje i porywa serca za sobą. „Wiersz“ jest też niezaprzeczenie dojrzalszym, niż ten, co go stworzył, i niż ci, co go słuchali. Wygląda on tak, jakby nie buchnął całym gwałtem żywego, doraźnego czucia z ich piersi, z ich pożądań, z ich aspiracyi, ale jakby był starszym, doświadczeńszym i dawniej znał życie.

Co do „Pieśni Filareckiej“, ta z natury swojej obejmuje sobą okręgi o wiele szersze. Tak zapewne szerokie, jak koło młodzieży, wśród której Zan szukał „czy się czego wielkiego nie znajdzie dla kraju“.

Ale nie rozlega się i ta pieśń także poza okręgiem swoim. Owszem, we wszystkich porównaniach i obrazach swoich, w całym swoim materyale plastycznym, słownym, posługuje się ona wyobrażeniami i pojęciami, ściśle krąg ten tylko obejmującemi. Spotykamy w niej kolejno zestawienie: prawa i prawicy; wymowy i czynu; łaciny, greki i ojczystej pieśni; wreszcie, że już o chemii nie wspomnę, spotykamy w jej najwyższej strofie, w strofie „siły i zamiarów“ cały przybór wyrażeń matematycznych, jak „cyrkle“, „miary“, „wagi“, „bryły“. Może ona zatem być śpiewaną we wszystkich uniwersytetach i przez tysiące uczącej się młodzieży — niekoniecznie filareckiej, — ale jest i pozostanie pieśnią uczącej się młodzieży.

Jest żywsza, potężniejsza, barwniejsza, niźli wiersz do

Filomatów, lubo treść, zasada, równa w nich jest prawie. Przedewszystkiem jest „pieśnią“, a nie „wierszem“.

Jest pieśnią, rozlegała się tedy i jeszcze rozlegać się może z tysiąca młodych piersi; mogła i jeszcze może mieć głos donośny, szeroko słyszany. To raz. A drugi raz: ma ona już w sobie nakazy, ma formę imperatywną, ma coś sama z pobudki i z hasła, podczas gdy wiersz o „godłach“, nie o hasłach — mówi tylko. Ona ma wzrok młodości, wzrok bystry, daleki. Ona już dopatruje drogi, którą pójdzie duch, sama się przecież w drogi te nie puszcza. Ona wiele jeszcze rzeczy rozważa i tą rozwagą samą je pomniejsza. Ona nie mówi czego trzeba zawsze, wiecznie: ona mówi, czego potrzeba dziś, a czego — jutro. Nie mówi, co jest bezwzględnie, wiecznie dobre; ale mówi, co jest lepsze, a co gorsze.

Ona ideały swoje osłania porównaniami tak gęstemi, że to, o „jego Newtońskiej mości“ i o „Archimedesie“ wprost przedzierać trzeba. Ona nie ma jeszcze dość mocy, aby z ideałów swoich zasłony zerwać i pokazać je żywe, nagie. A to, za wyjątkiem wielkiej, kulminacyjnej strofy o miarze sił i zamiarów. Więcej powiem: ona ma ideałów tych za dużo.

Ale ideał społeczny jeden tylko być może i ten wyraża się właśnie formułą „Ody“.

„...W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele“.

Czy dziwić się trzeba, że ideał ten w „Odzie“ dopiero się ukazał w całej prostocie, jasności i jedności prawdy?

Myślę, że temu dziwić się nie trzeba. Wyświetlenie i uproszczenie ideału tego, aż do pierwiastku żywiołowego niemal, odbywało się drogą całkiem naturalną.

W „Wierszu“ ideał ten był, jak gdyby kryształem soli, soli mądrości życiowej. W „Pieśni“ kryształ rozpuszczony został w „złotej czarze“ filareckiego „żywota“, w czarze, na jednej tylko biesiadzie serc młodych wznoszonej.

Aż przyszło słońce zapału i wypiło czarę złotą aż do dna i uczyniło wino jej lotnem, i rozpuściło je w powietrzu, w atmosferze życia, i dało powietrzem tem oddychać milionom serc i piersi — dziś, jutro i nazawsze.

Z powietrza tego, z tego oddechu milionów serc i piersi, narodziła się „Oda do młodości“.

Nie przemawia ona ani do Filomatów, ani do Filaretów. Ona przemawia do wszystkich. W niej niema rozważania, niema ograniczeń, niema rad. W niej jest — życie samo. Rozprężliwa jest, lotna jest, ma żywiołową siłę.

Jeżeli bierze skrzydła, to na to, żeby ulecieć nad cały „świat martwy“ nad wszelkie „poziomy“.

Jeżeli patrzy w dół, to widzi odrazu i chorobę ziemi, i przyczynę tej choroby. A nietylko widzi: ona ją palcem wzgardy pokazuje:

„To samoluby!“

Ona zna i lek na tę chorobę, a jest nim miłość, zgoda, są nim „spójnie bratnie“. Ona, gdy do pracy woła, nie woła tego lub tamtego, ale woła — wszystkich:

„...Hej, ramię do ramienia! Spólnemi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!“

Nie mówi: „opaszcie“. Mówi: „opaszmy“. Nikogo w tym łańcuchu brakować niema, nawet samego wodza. I on pod trud ten podkłada barki, i on się ima tej pracy tytanów, owszem — on pierwszy.

I trud wszakże i praca byłaby daremne, niemożliwe zgoła, gdyby „myśli i duchy“ nie „zestrzeliły się“, nie utworzyły „jednego ogniska“, wielkiego ogniska wspólnych „sił“ i wspólnych „zamiarów“.

I oto się łączą milionowe iskry ducha w jeden płomień żywy. Oto się zestrzelają, ogniskują w jedną potęgę żywą i „żywioły chęci“, które były „w wojnie“.

Ale pieśń nietylko jest pobudką, ona jest także hasłem i — nakazem. Ona jest nawet wodzem samym, tak duch poety zlał się z nią, tak tchnął w nią swą moc i swą wolę.

Jak dzielne roty idą całe pokolenia duchów brać zgodny udział w tej wielkiej pracy dla jutra. Natężają się ra-

miona, goreją serca, myśli w jeden cel utkwione, w cel wszystkich, w szczęściu wszystkim będący.

„Dalej z posad bryło świata".

I czujesz prawie jak ziemia drży, jak się porusza, jak „zrzuca z siebie spleśniałe kory", jak „przypomina swe edeńskie lata".

Jeden wysiłek jeszcze i ramion i duchów, a „nowemi pójdzie tory".

I nigdzie w tej Odzie słabości i nigdzie wahania. Rządzi nakazem jak wódz, i jak wódz prowadzi. A nietylko prowadzi, wie jak zachęcić, i jak dodać siły. Ona poprostu dobywa tę siłę z nieświadomych siebie głębin. Więc kiedy woła:

„...Młodości! Orla twych lotów potęga,
Jako piorun twoje ramię!".

— krzepi to tak, jak krzyż zasługi na bojowisku do piersi przypięty. A kiedy padnie gromki nakaz: „Razem!" wie ona, jak go złagodzić i mniej ostrym uczynić. Ona dodaje zaraz po nim: „młodzi przyjaciele", iżby co słabsze i trwożliwsze duchy nie czuły ostrza tego orlego szponu, który je chwycił w tym nakazie, i ku słońcu niesie. A nietylko wodzem jest poeta w „Odzie" tej: on jest w niej także i wieszczem. Widzi on i ogląda zakwit nowego życia; widzi jutro tej pracy, widzi tryumf tych wysiłków, tej walki. On widzi je daleko, daleko naprzód, nim jutro to przyjdzie, nim tryumf zabłyśnie. Widzi je wtedy, kiedy inni nie dostrzegają jeszcze nic — prócz znoju. Nie widzi ich sam dla siebie. On je zwiastuje światu i ogłasza, iżby przyczynić ludziom — braciom i woli i siły. On woła:

„...Witaj jutrzenko swobody!
Za tobą zbawienia słońce!"

I tą ogromną, prometejską wizyą przyszłości, kończy ten potężny wybuch natchnienia, w którego ogniu stopił się ideał jego ducha, jego pieśni, jego życia. Taka jest ta „Oda", która na małej swojej przestrzeni wypowiada najwyższe prawdy,

wskazuje najpilniejsze prace i budzi najpotężniejszym bodźcem ogromnej nadziei, uśpione w niemocy serca.

Taka jest ta „Oda“, która zwać się powinna: „Zakonem młodości“. A nietylko młodości samej. Do czasu stworzenia „Ody“, był Adam Mickiewicz poetą; od jej stworzenia jest wieszczem.

IV.

Ani „Wiersz“ i „Pieśń“, ani „Pieśń“ i „Oda“ nie nastąpiły po sobie bezpośrednio. „Wiersz“ od „Ody“ przedziela rok 1819 i 1820, dwa lata ważne zarówno dla biegu zewnętrznego życia, jak i dla duchowego rozwoju poety.

Były to lata swobody i uniesień, a także lata pracy i zawodów.

Aż do roku 1818 spędzał Mickiewicz wakacye w rodzinnem Zaosiu.

Wrażeń z owych domowych wakacyi szukać nam trzeba na pierwszych kartach „Pana Tadeusza“, kiedy to:

„Właśnie dwukonną bryką wjechał młody panek,
I obiegłszy dziedziniec, zawrócił przed ganek...
...Wbiega, i okiem chciwem ściany starodawne
Ogląda czule, jako swe znajome dawne...
Też same widzi sprzęty, też same obicia,
Z któremi się zabawiać lubił od powicia,
Lecz mniej wielkie, mniej piękne niż się dawniej zdały.
I też same portrety na ścianach wisiały:
Tu Kościuszko w czamarce krakowskiej, z oczyma
Podniesionemi w niebo...
...Dalej w polskiej szacie
Siedzi Rejtan żałosny...
...Dalej Jasiński, młodzian piękny, lecz posępny;
Obok Korsak, towarzysz jego nieodstępny...
...Nawet stary stojący zegar kurantowy
W drewnianej szafie poznał u wejścia alkowy;

I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,
By stary Dąbrowskiego usłyszeć mazurek.
Biegał po całym domu i szukał komnaty,
Gdzie mieszkał, dzieckiem będąc..."

Właściwie „komnatę" ową w Zaosiu reprezentował stary lamus niedaleko dworku stojący, w którym za szkolnych wakacyjnych czasów Adam razem z bratem Franciszkiem sypiał i do którego zmurszałych belek przylgnęło niejedno młodzieńcze marzenie poety.

Przybywał Mickiewicz do Zaosia z sercem swobodnem, z duszą rozbudzoną szerszem koleżeńskiem życiem, z wyobraźnią chciwą pięknej przyrody i jej swojskiego wdzięku.

Przypuszczać też trzeba, że wiele z tych obrazów wiejskiego życia, które obok innych, potężniejszych i bardziej mistrzowskich, noszą na kartach „Pana Tadeusza" wybitne znamię swobody i niefrasobliwości młodzieńczej, weszło w duszę poety, w czasie takich właśnie letnich miesięcy w Zaosiu spędzanych,

„...Gdy młode pachole
Ze strzelbą na ramieniu, świszcząc szedł przez pole,
Gdzie żaden wał, płot żaden nogi nie utrudza,
Gdzie przestępując miedzę, nie poznasz, że cudza".

I później bywał na wsi, ale tej niefrasobliwości, tej swobody serca już nie miał. Później, przyroda była mu tłem, na którem serce to tworzy obrazy szczęścia lub niedoli, ale nie była już obrazem samym — na długie czasy — bo aż do „Sonetów krymskich". A i ten obraz także przerzynały ostre, zgoła do niego nie należące cienie, które szły z piersi poety.

Teraz wszakże cienie te nie istniały jeszcze; teraz, było to „samo życie, sama radość", teraz był to świat:

...Niepodkopany nadziei złudzeniem,
I niezmieniony wypadków strumieniem.

Ale „wypadki" te już szły, już były niedalekie.

Tomasz Zan, zbliżony przez filomackie prace z Mickiewiczem, zabrał go z sobą w roku 1818 na wakacye do Tuchanowicz, do domu Wereszczaków, z których synem, Michałem, żył w przyjaźni i tam to poznał poeta córkę domu, Maryę Wereszczakównę, wówczas już zaręczoną Wawrzyńcowi Puttkamerowi.

Panna nie była wprawdzie doskonale piękną, ale była zajmującą, powabną. Trochę „sawantka“, w owoczesnem wyrazu tego znaczeniu, miała umysł żywy, bujną, silnie rozwiniętą w kierunku sentymentalnym wyobraźnię, a wychowana w domu zamożnym, gościnnym, pańskim niemal, posiadała tę pewność siebie, to wyrobienie towarzyskie, które ją o całe niebo inną, wyższą w oczach poety czyniło od innych też miłych, ale naiwnych, nieśmiałych i wcale z książkami nieobytych dziewcząteк, jakie znał i widywał dotąd.

Czy Mickiewicz odrazu zakochał się w Maryli? Czy zasłoniła ona sobą marzenia młodego filomaty? Czy odrazu na jej widok —

„Umarł w poecie Godfryd i Jan Trzeci“

o tem — wątpić należy.

Droga do serca przez wyobraźnię dużo jest dalsza, niżeli przez ten zmysł „co kochać przymusza“. Jest też prawdopodobnem, że ta światowa, na „Nowej Heloizie“ oczytana i już w małżeństwo przyrzeczona panna wydawać się musiała zrazu poecie niedostępną. Może nawet wydała mu się, jak Gustawowi z Drugiej Części Dziadów

„Nadludzką dziewicą“.

Wszak Gustaw z pobożną niemal pokorą mówi o miejscu, gdzie go

„pierwszej rozmowy *uczciła* wyrazem“.

Ale na wsi, wśród pięknej przyrody i ciągłego przebywania z sobą, zbliżenie między nimi musiało nastąpić prędko, a książki i rozmowy o nich, odegrały, zapewne także swoją rolę.

Jeżeli zaś za tło psychiczne momentu, weźmiemy z je-

dnej strony uczucie mocne, świeże i namiętnie przedmiotu łaknące, — a takiem właśnie wypełnione było serce młodego poety, — z drugiej zaś strony sentymentalne rozmarzenie panny, która, mimo narzeczeństwo swoje z sąsiadem, „śni na jawie“ o „anielskim Gustawie“, która zazdrości bohaterce powieści pani Krüdener, Waleryi, iż ją

„...ubóstwiał kochanek,
„O którym inna próżno całe życie marzy,
Którego rysów szuka w każdej nowej twarzy,
I w każdym nowym głosie nadaremnie bada
Tonu, który jej duszy brzmieniem odpowiada“,

to przyjdziemy do wniosku, że na tem tle powstać musiała miłość, w duszy poety choćby. Dla panny bowiem, mogła być ona sentymentalnym romansem tylko, coś jakby dalszym ciągiem czytanych powieści.

Jakkolwiekbądź, choćby to pierwsze lato w Tuchanowiczach i w Płużynach spędzone, nie wywołało jeszcze miłości, wywołało przecie ogromne zainteresowanie się wzajemne sobą i wzajemny pociąg, użyczający subtelnego czaru przechadzkom, rozmowom, nawet przyrodzie samej.

Pod wpływem czaru tego, powraca Mickiewicz do Wilna z jakiemś nowem światłem i ciepłem w sercu, z jakimś bujnym przypływem życia, który mu daje siłę do zdwojonej pracy. Jest to chwila przygotowywania się do ostatecznego egzaminu, chwila pisania kandydackiej rozprawy, a „wiersz do Filomatów“ i „Zima wiejska“, cała na brusie stylu Trembeckiego toczona, także tej jesieni powstają.

Powstają też, pod koniec roku i „Uwagi nad Jagiellonidą“, które „Pamiętnik warszawski“ drukuje w roku 1819, o których sam poeta napisze kiedyś ironicznie, że wyszafował na nie „cały kurs Laharpa“.

Co jest wszakże w „Uwagach“ tych znamiennem, to główny zarzut, jaki młody student wileński autorowi Jagiellonidy, Dyzmie Tomaszewskiemu czyni, — zarzut niezrozumienia życia i ducha starej Litwy, niewniknięcia nietylko w jej

kroniki, ale w jej podania ludowe, w to piękne, ciche światło ruin i przeszłości.

Ale w miesiąc już po wydaniu „Uwag“ drukuje poeta w „Tygodniku wileńskim“ swoją „Żywilę“, mały poemat prozą, archaicznym językiem starych kronik pisany, którego treść wziętą jest właśnie z podań, przyrosłych do baszt nowogrodzkiego zamku, tak dobrze z dziecięcych lat jeszcze Mickiewiczowi znajomych.

Podanie mówi, iż Żywila, córka księcia nowogrodzkiego Koryata, miłuje odtrąconego przez ojca rycerza Poraja. Gdy jednak Poraj, w zapamiętaniu miłosnem, ku pomście nad Koryatem i ku zdobyciu umiłowanej, sprowadza na Nowogródek wroga, którego sam przedtem bił i pokonał, Żywila, widokiem klęski grodu i ludu ruszona, chwyta za miecz i przebija nim zdrajcę Poraja.

A tak ta Litwinka, która moc spełnienia męskiego czynu, w miłości dla rodzinnego gniazda czerpie, jest zapowiedzią „Grażyny“, zanim ta, ze złotego szybu podań, w spuszczonym hełmie męża i w zbroi wybłyśnie.

Tymczasem przybył do Wilna w końcu czerwca 1819 r. Niemcewicz, a z przybyciem jego ożyły echa nietylko „Śpiewów historycznych“, ale i epoki czynów tego ośmdziesięcioletniego starca i towarzyszy jego — epoki, która sama przedmiotem pieśni być mogła.

Uderzyły silniej serca filomackiej młodzi, gdy Niemcewicz wszedł do uniwersyteckiej auli, w powadze swej siwizny, w chwale swych czynów i pieśni. Tłoczono się do niego, jak do relikwii dawnych wielkich czasów, a niejedne tam oczy zapaliły się żądzą „poczciwej sławy“. Starzec ów stanął między młodzieżą, jak gdyby zdając już na nią obowiązek i zaszczyt służby dla dobra ogółu.

Tem to podniosłem, szerokie horyzonty otwierającem wrażeniem, silniej niewątpliwie przez Mickiewicza, niżeli przez innych odczutem, kończą się uniwersyteckie lata poety, który jesienią tegoż roku, w kowieńskiej szkole, zawód nauczyciela rozpocznie.

Ale teraz jesień była jeszcze daleko: Teraz było lato,

a Zan i Mickiewicz spieszyli do uroczych Tuhanowicz, gdzie też, pewno oczekiwano ich z tęskotą, jeżeli prawdą jest, że oddalenie użycza przedmiotom uczucia wprost czarodziejskich świateł i kolorów.

Był teraz Mickiewicz, niezawodnie śmielszy, z dworem tuchanowickim poufalszy i bardziej obyty, niż zeszłego lata, mocniej też czuł uroki swego tu pobytu. Jakaś swoboda, jakaś pełnia życia bije ze wspomnień poety, zachowanych z tego czasu. Towarzystwo jest liczne, młodzież wesoła. „Wszyscy starają się o ciągłe zabawy". „Całe dnie nad jeziorami, w lasach".

Ta gromadność, towarzyskość zabaw owoczesnych, znajdzie z czasem odbicie na wielu kartach „Pana Tadeusza", jak n. p. „Uroczysty obrzęd grzybobrania", niewątpliwie z tuchanowickiej lub płużyńskiej brzeziny zachowany w pamięci poety; lub owych wycieczek łowieckich, kiedy to:

„Młodzież w las poszła bawić się strzelbami",

a poeta,

„Błahy strzelec, uchodząc szyderstw towarzyszy
Za chybioną zwierzynę,
...W drzew odwiecznych ciszy
Polował na dumania..."

Lub wreszcie owych gromadnych noclegów,

„Gdy na ciemno-zielonem, świeżem, wonnem sianie
Młodzież sobie w stodole robiła posłanie",

po którem

„...Kiedy słońce weszło i już padło
Na strzechy i przez szpary w stodołę się wkradło,
Rozpływały się złote, migające pręgi
Z otworu czarnej strzechy, jak z warkocza wstęgi".

Ale i z Marylą jest teraz poeta śmielszy, jawniej szukający jej towarzystwa i coraz jej bliższy. Już im rozmowa o książkach nie wystarcza. Już jest „wzgórek", na którym czytają razem Rousseau'a. Już i Maryla bierze jakby inicyatywę w duchowem życiu poety, a kiedy im, stojącym nad

Świtezią, rybak stary opowiada baśń ludową o „Rybce może, a może o zatopionym na dnie jeziora grodzie“, — „To jest prawdziwa poezya“ — mówi Maryla. — „Napisz coś takiego“. A poeta po latach, po wielu, wielu latach mówi: „Odtąd wziąłem mój kierunek duchowy“.

On kierunek ten miał sam w sobie, z dzieciństwa jeszcze swego, to pewna; a przed Marylą obudziło go w nim wczytywanie się w Szyllera, w Göthego, w Herdera, w Wielanda; obudziło oddychanie tym świeżym, ożywczym prądem, który w poezyi owoczesnej europejskiej powiewał. Ale teraz świeciło w piersi poety to słońce, z którego zdawało mu się, że idą wszystkie ducha jego promienie; teraz była w nim potęga, z której mniemał, że idą wszystkie siły jego; teraz w nim żyła, czuła i rozkazywała miłość.

Ta miłość jeszcze go nie łamie, jeszcze go w rozpacz nie wtrąca. Ona wypełnia tylko całą istotę jego mocą swoją i swoją słodyczą. Teraz jeszcze mówi on o Maryli z Gustawem: „Widzę ją, widziałem wczoraj. I jutro widzieć będę“.

I to mu jest dniem i słońcem dnia tego.

Wtedy też powstają niewątpliwie „Ballady“ i „Romanse“, które są albo odbiciem obrazów, wspólnie z Marylą widzianych, jak „Świteź“, albo wspólnie słyszanych opowiadań, jak „Rybka“ i „Świtezianka“, albo są wyrzutem czynionym kochance, jak: „To lubię“, albo wreszcie malują stan serca samego poety, jak: „Kurhanek Maryli“ i „Dudarz“.

Niekiedy „Ballady“ wychodzą treścią swoją poza sferę bezpośrednich wrażeń, zarywając epickiego tonu baśni ludowej, jak „Lilie“, „Pan Twardowski“, „Tukaj“. Ale i po tę treść sięgając, idzie poeta za głosem kochanki, mówiącej: „Napisz coś takiego“. A tak wszystko, co się tworzy teraz, tworzy się:

„Z nią, przy niej, za nią, przez nią“,

podług słów „Gustawa“.

Mimo to „Ballady“ i „Romanse“ stanowią dwie, wybitnie różne i odrębne grupy. Pierwsza z nich jak „Świteź“, „Świtezianka“, „Rybka“, „Dudarz“, „Kurhanek Maryli“, „To

lubię“ nosi widoczne ślady bezpośredniego wpływu przestawania poety z Marylą. Wszystkie te „romanse“ raczej, niż ballady, leżą na jednym poziomie spraw miłosnych wogóle, zaś smutków i zawodów w szczególności, a oświetlone niemal jednostajnem księżycowem światłem rozmarzenia, na jednej fali sentymentalizmu unoszą się i płyną.

Druga grupa, jak „Lilie“, „Twardowski“, „Tukaj“, „Pani Twardowska“ jest owocem samodzielniejszych i jędrniejszych natchnień.

Motywy tej grupy są urozmaicone, gra uczuć wielostronna, ton epicki, prosty, często pełen grozy ton baśni ludowej, rysy osób charakterystycznie indywidualne, kontury obrazów silne, nastrój swobodny, szeroki, dający przystęp przyprawie humoru, tok słowa rzeźki, wartki, pełen barwy.

Przeciwstawiając różnice te i właściwości, możnaby nazwać grupę pierwszych ballad i romansów — żeńską, a grupę drugich — męską.

Rzecz ciekawa, iż zabierając się do pisania pierwszych ballad i romansów, poeta liczy uderzenia północnej godziny, godziny strachów, upiorów... co wyraźnie zaznaczonem jest w „Posłaniu“ do przyjaciół

„...Bije raz, dwa, trzy... już północna pora,
Głuche wokoło zacisze...“

Mógł to być przypadek wprawdzie, mogła ta praca nocna inne mieć przyczyny, gdyż, jak wiemy, skarżył się Mickiewicz, że go lekcye kowieńskie „paraliżują na dzień cały“; ale mogło to być także szukanie nastroju, a zatem czegoś, co nie tkwiło w nim samym i z zewnątrz przyjść miało niejako.

A i to także zaznaczyćby można, iż w tem „Posłaniu“ zapowiada poeta z góry:

„*Chcę* coś okropnie, coś pisać miłośnie,
O strachach i o Maryli“.

To *chcę* potwierdza, niezawodnie, szukanie nastroju, odpowiedniego raczej tuhanowickiej atmosferze, niżeli naturze samego poety. Czego ani śladu w grupie drugiej niema.

W grupie drugiej poeta nie zamierza z góry pisać *okropnie* lub pisać *miłośnie*. On się po prostu pozwala unieść natchnieniu, jest sobą, sięga do własnych zapasów ludowości i poezyi gminnej, zapasów nagromadzonych w duszy jego z epoki Błażeja - *Ulissesa* i starej Gąsiewskiej, a znamiennym śladem tej drogi wstecz, aż do pacholęcych wspomnień jest śliczna, do drugiej tej grupy należąca ballada „Powrót taty“, z której biją echa i „sielskiego dzieciństwa“ poety i tych późniejszych, ale też wprost „anielskich“ czasów, kiedy, wybierając się z Nowogródka do Wilna, kandydat do uniwersytetu w tajemnicy przed ojcem, ale w porozumieniu z odwożącym go karbowym, pakuje do kałamaszki starą fuzyę, żeby czego Boże broń, „zbójcy w Ponarskich górach nie napadli“.

Wszakże ani praca nad Balladami, ani cyzelowanie dawniej już zaczętych „Warcabów“, ani zagłębienie się w poetach niemieckich, w Szyllerze zwłaszcza, nie zapełniały, nie mogły zapełnić pustki, jaka otaczała poetę w Kownie. Wyrywa się z niej Mickiewicz do prac filareckich, do ruchu umysłowego w Wilnie, do filomackiej braci. Tęskni do nich, śpiewa dla nich, tworzy dla nich, połową duszy tylko żyje w Kownie i ledwo może doczekać wiosny znów i lata.

Tymczasem tuhanowicka sielanka zmienia się w tragedyę serca poety. Rodzina Maryli zaczyna niechętnem okiem patrzeć na skłonność panny dla młodego poety i na jego zupełnie już widoczne rozkochanie. I narzeczony niepokoi się także. Chociaż więc Marya Wereszczakówna wyszła za Puttkamera w lutym dopiero 1821 roku, przecież skłoniona uwagami blizkich jej osób, na kilka miesięcy przedtem zerwała swój idealny stosunek z Mickiewiczem i pożegnała go w owej tuhanowickiej altanie, która była szczęścia poety „kolebką i grobem“.

Tam to usłyszał od kochanki późniejszy Gustaw z „Dziadów“:

„Słówek piękno - brzmiących wiele:
Ojczyzna i nauki, sława, przyjaciele“,

o których kiedyś powie z gryzącą ironią:

„...Właśnie, właśnie to była do kazania pora!“

Buchnęło teraz serce poety nieugaszonym żarem miłosnej rozpaczy. Głębokie, najgłębsze pokłady potężnej uczuciowości jego zamieniły się w ognisko pożerających go płomieni i zaświeciły nawskróś wielką łuną natchnień. Wszystko się teraz w ogniu miłości tej stopiło, zlało: ideały, porywy, nadzieje i cele. A nie mogąc być strawionemi, chyba z życiem razem, syciły same sobą żar bólu, pałając w nim i z nim, całą swoją nieśmiertelną treścią.

Wyjdzie kiedyś poeta z tej pożogi, ale wyszedłszy, nie będzie wiedział, „czy z piekła idzie, czyli z raju“, i nazwie się „umarłym, umarłym dla świata“, i położy na sercu swojem „*obiit*“ wpierw jeszcze, niżeli na murze bazyliańskiej celi.

Tak pasujący się z sobą i z męki dusznej wprost chory, zmuszony jest Mickiewicz zatrzymać się w Wilnie, zanim do Kowna dojedzie, a blizcy jego: Zan, Czeczot, Malewski, Jeżowski, wtedy już zaczynają się niepokoić jego stanem. Ale w Kownie, prawie że bezpośrednio po powrocie, odbiera poeta wiadomość o śmierci matki, a ten ból nowy, tak różny i tak głęboki, potłumia niejako żary tamtej rany.

Zimy tej pracuje Mickiewicz mało, dorywczo tylko.

Kończy wprawdzie dawno zaczęte „Warcaby“, ale dłuto, którem rzeźbił ten misterny poemacik, łamie mu się w ręku ze zgrzytem na wspomnienie partyi grywanych z Marylą i zostawia głęboką rysę, odcinającą jasny, pogodny początek od zakończenia, które teraz nie może być czem innem, jak tylko jękiem po straconem szczęściu i wizyą szczęścia tego. I ta to rysa właśnie, rozłamująca poemat na dwoje śliczną uczuciową apostrofą do kochanki, dodaje „Warcabom“ uroku i ceny. Bez niej byłby ten utwór, jako lśniąca, wygładzona muszla. Ale oto upadła na nią łza poety i stała się muszli tej — perłą.

Mogły także zimy tej powstać niektóre fragmentarne zarysy „Dziadów“, może nawet legenda o kamieniejącym rycerzu Poraju. Znać bowiem w samej fragmentarności tych

zarysów robotę braną i rzucaną, w jakiejś niemocy skupienia na niej myśli i utrzymania ciągłości inspiracyi, w jakiejś głębokiej rozterce. Co wszystko wskazywać się zdaje współczesność scen owych z duchowem rozbiciem poety, tak rządnie poczynającym sobie zwykle w sprawach artystycznej twórczości.

Więcej nawet: pokrewność niektórych figur ze sceny w kaplicy z motywami niedawno pisanych ballad, jak n. p.: pasterki z motylkiem i barankiem z motywem ballady „To lubię", wskazywać się zdaje chęć przedłużenia tych wrażeń, jakich doznawał, ulegając wpływom Maryli, w pisaniu wielu z tych ballad i wygląda tak, jak owo wspomniane w „Dziadach" mrużenie oczu,

„...by żyć we śnie
Z tem, czego brakło na jawie".

Wiosną dopiero myśli ogniskują się, potężnieje moc twórcza, a wicher natchnienia porywa poetę odrazu w lot wysoki bardzo. Powstaje „Hymn", jeden z tych rzadkich hymnów, jakie Mickiewicz stworzył, ów „Hymn Zwiastowania", w którym poeta nie ośmielił się użyć barw innych, jak śnieżnej bieli i słonecznej jasności, do obrazu Dziewicy samem niemal światłem malowanego. Co jest nadzwyczajnem w tym „Hymnie", to skupienie słowa, przedziwnie oddające tajemniczość chwili.

„Grom — błyskawica
Stań się! Stało!
Matką — dziewica,
Bóg — ciało".

Nie jestże to zaledwie uchylenie zasłony wiecznych tajemnic na jedno mgnienie, na jeden rzut oka w chwili, gdy:

„Pękły niebios zwierciadła"? —

Ale i to zauważyć należy, iż te trzy zdania, które w sześciu wyrazach tworzą trzy odrębne obrazy:

„Grom — błyskawica!
Matką — dziewica,
Bóg — ciało!“

że te trzy zdania trzymają się wprost siłą samych rzeczowników, i że poeta nie użył w nich wyraźnie ani jednego czasownika, jako właśnie tej części mowy, która wyraża sobą czynności ludzkie, ziemskie; a tym sposobem przerzucił naraz cały moment akcyi poza sferę zwykłego porządku rzeczy i poza sferę zwykłych środków wyrażania porządku tego w ludzkiej mowie.

A tak, wszystko co się stało, „stało“ się tam, gdzie rozbrzmiewa stworzenne „Stań się!“, a rzecz cała ledwo że dotknięta brzmieniem i konturem ziemskich wyrazów, przypomina zachwycające, pełne prostoty Zwiastowanie Giotta.

Ale po tym wybuchu natchnienia, który „otworzył“ poecie „strumienie głosu“ — w Hymnie, przychodzi spokój rozpaczy, spokój rozważania, co lepiej: czy żyć w męce, czy z męki tej umrzeć?

Nie było poety, któryby nie wolał w jakiejś danej chwili, albo przynajmniej nie mówił, że woli — umrzeć, niźli żyć. Żaden z nich wszakże, nawet Szekspir w monologu Hamleta, nie rozważał z takim zimnym na pozór, a w rzeczy samej z tak namiętnym spokojem: co ma wybrać, śmierć czy życie? Bo Hamlet waży na szali pytanie: co lepiej? „być czy nie być?“ — a Mickiewicz waży pytanie w „Żeglarzu“ swoim na szali: co powinienem wybrać? co wolno mi uczynić? Bo Hamlet, lęka się tylko snów w grobie; a Mickiewicz lęka się nieśmiertelności ducha. Bo wreszcie, Hamlet dochodzi do konkluzyi, od której w obie jeszcze strony zawrócić może, a zatem nie rozprawia się ostatecznie sam z sobą; ale Mickiewicz „sądem bożym“ rozprawia się z duszą swoją. On „płynie dalej“, on

„Dopłynie“ choć „we krwi i w pocie“.

Cały ten wiersz — a mówię tu o „Żeglarzu“ — jest taką właśnie rozprawą ostateczną poety samego z sobą na śmierć, lub na życie.

Prawie sobie wyobrazić można tę poklasztorną celę, która w Kownie dla nauczyciela na mieszkanie przeznaczoną była i poetę, rozważającego w samotności i pustce życie swe, swą dolę:

„...O morze zjawisk! skąd ta noc i słota?
Była jutrznia i cisza, gdym był blizko brzegu,
Dziś — jakie fale! Jaki wicher miota...
Nie można płynąć, cofnąć niepodobna biegu.
A więc porzucić korab żywota?...“

Myśl ta, myśl śmierci, nie przychodzi mu po raz pierwszy. Miał ją, musiał mieć dawniej już, przy owem rozstaniu się z kochanką, gdyż Gustaw z „Dziadów“ z pomiędzy „piękno-brzmiących słówek“ owego pożegnalnego „kazania“, spamiętał i tę także naukę:

„Gnuśnik tylko zawczasu zamyka się w grobie“.

Więc żyć? Żyć i po takiem rozbiciu, „płynąć we krwi i w pocie“ do drugiego brzegu?

„Zawód tak trudny! Zakończyć tak snadnie!“

I już widzimy prawie, jak „Żeglarz“ chyli się na burt wichrem targanego statku.

„Lecz wszystkoż z nami w tych falach przepadnie?...“

a jeśli:

„gwiazda ducha“ — „zagasnąć nie zdoła?“.

I, w nagłej niepewności, może w przypomnieniu lat dziecięcej wiary, cofa się Żeglarz z nad mrocznej otchłani.

Wtem krzyk:

„...Któż to krzyknął od lądu? Jakie słychać żale?
Wyż to, o bracia moi, przyjaciele moi?...“

Więc nie sam, więc nie zamknięty samolubnie z męką swą i rozpaczą w targanym burzą „korabiu żywota“! Więc nie głuchy na głos ziemi, na krzyk ludzi-braci!

I natychmiast zaczyna rozważać zamiar śmierci nie od strony własnego ukojenia, ale od strony bólu, jaki braciom, druhom swoim sprawi.

„...Jeśli się rzucę, kędy rozpacz ciska,
Będą łzy na szaleństwo, na niewdzięczność skarga".

Skarga serc miłujących, które w niego wierzą — oto co przeważa szalę obowiązku życia, szalę „trudnego zawodu". Więc jak stał, tak się wśród wichru, „który liny targa", odwraca i do lądu woła:

„Ja płynę dalej! Wy idźcie do domu!"

Co jest do zauważenia w obu tych utworach: w „Hymnie" i w „Żeglarzu", to silne poczucie odrębności, wyjątkowości swojej organizacyi psychicznej, i co za tem idzie przeciwstawienie się poety reszcie ludzkich istot. Przeciwstawienie się w „Hymnie" „niemej bojaźnią czerni", a więc tłumom ludzkim wogóle; w „Żeglarzu" zaś — garstce stojącej na brzegu, i z tłumów wybranej.

W „Hymnie" przeciwstawia się poeta „czerni", jako „prorok", który „powstaje" i woła:

„Uderzam organ twej chwale",

podczas, gdy „czerń" ma „na ziemię złożone czoła". W „Żeglarzu" przeciwstawia się garstce na brzegu stojącej i położeniem swojem, i wewnętrznem czuciem. Garstka owa ma ląd, ziemię pod stopami; — on, w pośrodku „morza zjawisk" olbrzych jej, dalekich. On ma zmysły ostrzejsze, przenikliwsze, czulsze. Jemu bardziej, niźli im, widne „te czarne chmurzyska", oni nie słyszą „wichru, co tu liny targa".

„Grom, co tu bije, dla was tylko błyska".

Ale nietylko zmysły, on i czucie ma inne, odrębne. A to tak dalece, że nawet razem z nim, pod strzałami gromu, to, co on czuje,

„...inni uczuć chcieliby daremnie".

To poczucie odrębności, inszości, a zarazem wyższości duchowej, będące źródłem poczucia osamotnienia duchowego

nawet wpośród ludzi, wspólne jest Mickiewiczowi z każdą silną poetycką indywidualnością.

Ma je Słowacki w bardzo wysokim stopniu; ma je Byron w stopniu jeszcze wyższym. Ale i u Słowackiego i u Byrona poczucie owo jest prawie wyłącznie źródłem melancholii, zamknięcia się w sobie i wzgardy dla ludzi. Są to po prostu wielcy mizantropi, wielcy arystokraci ducha, dla których ludzki tłum, jako taki, nietylko nic szacownego niema, ale bywa przedmiotem nienawiści nawet i gorzkich, gryzących sarkazmów.

U Mickiewicza jest nie tak. Jeśli powstaje on, jako prorok wśród „czerni", to powstaje po to, aby tej czerni „niemej bojaźnią" być głosem, aby ją zastąpić, mówić za nią, śpiewać za nią, za nią „uderzyć organ chwale".

A potem „prorok" ten nie przychodzi z zewnątrz, z jakichś innych, dalekich, z jakichś górnych światów. On powstaje „*wśród* czerni", a zatem z niej samej, z pośrodka ukorzonych tłumów, prorockiem czuciem tylko od nich wyższy i siłą pieśni prorockiej nad nią podniesiony. Owszem, nie chce on nic mieć nad tę czerń dla siebie, z tego, co byćby mogło jej uniesieniem, jej ubłogosławieniem; a kiedy wzywa Świętą Dziewicę, nie mówi: „błyśnij dla mnie, dla proroka swego", ale mówi:

„Wśród twego błyśnij Kościoła".

A więc wśród zgromadzenia, wśród „czerni" tej właśnie, wśród tych głów ukorzonych, wśród *tłumu* wiernych, którzy

„dzień ten uświęcają ninie",

z którymi wobec niebieskich wizyi ma się za jedno w swej przedziwnej, natchnionej prostocie.

A to, co się dzieje z przeciwstawieniem się poety tłumowi w „Hymnie" na wielką skalę — dzieje się na mniejszą skalę i w „Żeglarzu" także.

W „Żeglarzu", przy całem bardzo jasnem i bardzo silnie zaznaczonem poczuciu swojej odrębności duchowej od reszty ludzi, poczuciu, które znalazło potężny wyraz w tak szeroko znanych słowach:

„Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie".

poeta nie przemawia do stojących na brzegu, jako do istot niższych, różnych od niego, wzgardliwej obojętności głosem. On woła do nich z tkliwością niemal:

Wyż to, o *bracia* moi, *przyjaciele* moi!...

On w chwili sądnej z duchem swym rozprawy niepokoi się ich łzami, ich skargą; niepokoi się nawet i tem, iż tak długo stoją w burzę „na nadbrzeżnej skale", choć „grom, co w niego bije, dla nich tylko błyska". Więc, chociaż kładzie granicę nieprzestąpioną pomiędzy duchem swoim a ludźmi, granicę, przez którą nie dopuszcza do ducha tego nikogo, prócz Boga, mówiąc wyniośle:

„Sąd mój prócz Bogu — nie dany nikomu", —

wie przecież, wyznaje głośno, że ci ludzie są mu „przyjaciółmi", „braćmi".

Czego niema w Byronie i w Słowackim niema. Gdyż i Byron i za nim Słowacki, czuli się jakby ulepieni z innej gliny, niźli tłumy. Ale Mickiewicz czuje, że jest ulepiony właśnie z tej samej gliny, co tłumy, a tylko miłością od nich ogromniejszy, wyższy, a także cierpieniem.

Jakoż i teraz, w tem rozbiciu nadziei, w tej serdecznej klęsce, nie zrywa z życiem swych wileńskich druhów. Tejże wiosny wręcza Zanowi pierścień filarecki; wracającego z Warszawy na katedrę historyi w Wilnie Lelewela wita wierszem podniosłym, nie od siebie, ale od całej uniwersyteckiej młodzieży; owszem, w samym tym wierszu rozszerza poselstwo swoje aż do „pobratymczego tłumu", do całego pokolenia tego, tak mu ono jest blizkiem, tak czuje się być jego wyrazem, jego zastępcą i jego rzecznikiem. Więcej nawet: on wprost w wierszu tym mówi:

„I ten tylko wyższością sławy innych zaćmi,
Kto sercem współrodaka żyje między braćmi".

I ta to jest siła, ta moc, przez którą Mickiewicz zdobył nieśmiertelną „nad duszami władzę".

Ale za tę miłość, poczciwa młodzież filomacka także płaciła miłością. Kiedy po tej kowieńskiej zimie poetę mię-

dzy sobą ujrzeli, niepokój ich rośnie. Zan powiada, że Mickiewicz wyglądał „jak las, po którym przeszła pożoga“. I to była prawda. Przygarniają go, utulają, chcą mieć z sobą, blizko.

Malewski, syn rektora, pragnie przedewszystkiem wyrwać poetę z kowieńskiej samotności, z pustki i wszelkiemi siłami stara się przez ojca, o krzemieniecką, podówczas wakującą, katedrę literatury dla Mickiewicza; a gdy to zawodzi, uzyskuje dla niego, aż o ks. Czartoryskiego się oparłszy, roczny urlop, roczny odpoczynek od zajęć nauczycielskich.

Mieszka teraz Mickiewicz z Czeczotem, owym kolegą „od nowogródzkich szkolnych czubów“ jeszcze, rzeźwieje nieco, uczy się języka angielskiego, „pcha się — jak sam powiada — przez Szekspira ze słownikiem, jak wielbłąd przez ucho igielne“; zaczyna potem czytać Byrona, tłomaczyć fragmenty „Giaura“ i „Child-Harolda“.

Nadewszystko wszakże, zabiera się do drukowania „Ballad i Romansów“, a gdy nie może znaleźć wydawcy, gdy i sam poczciwy Zawadzki powiada mu, że „poezye piszą się w Warszawie, a nie w Wilnie“, wymyśla Czeczot i na to ratunek: zbiera prenumeratę. I tak wychodzi na świat pierwszy mały tomik, poświęcony nie protektorom, nie możnym świata nie kochance nawet, ale „przyjaciołom“ i wspomnieniu „szczęśliwej młodości“.

W tomiku tym, prócz wyżej wspomnianych „Ballad i Romansów“, oraz przekładu „Rękawiczki“ Szyllera, znalazły się jeszcze dwie znamienne rzeczy.

Za wstęp służąca rozprawa „O romantyczności“ i wiersz, nazwany także: „Romantyczność“.

Jedno i drugie, choć odmienne formą, równą ma wagę i dopełnia się wzajem. Rzecz o romantyczności pokazuje nam grunt do „Ballad owych i Romansów“, przygotowany naukowo i teoretycznie w umyśle poety, tak przez samą atmosferę poezyi owoczesnej wogóle, jak przez wczytanie się w poetów niemieckich w szczególności.

Co do wiersza, ten ukazuje nam w przeciwstawieniu do gruntu naukowego, grunt uczuciowy także, grunt, że tak po-

wiem, praktyczny, tkwiący w samym poecie, w samej jego istocie duchowej, a wyrażony w tych prostych słowach:

„Czucie i wiara silniej mówią do mnie,
Niż mędrca szkiełko i oko".

Które słowa nietylko są wyzwaniem, rzuconem obozowi „klasycznej hołoty" i nietylko słupem granicznym, jaki poeta między obozem tym a światem ducha swojego postawił. One pozwalają nam wniknąć w sam rdzeń i owoczesnych pobudzeń twórczości jego i późniejszych, potężnych natchnień, pokazując ich żywe, wprost z serca bijące źródło.

„Czucie i wiara" — to nietylko hasło, nietylko „program" poezyi nowoczesnej romantycznej. To owszem hasło i program wszelkiej poezyi i każdego czasu. To ogromny horyzont, ogromny świat pieśni, którego kresy pokaże nam poeta w wielkiej Improwizacyi „Konrada" aż tam, gdzie „graniczy Stwórca i natura".

V.

Jesień przepędza Mickiewicz w tym roku spoczynku w Szczorsach i tam w Bibliotece Chreptowiczowskiej dobiera się podania o „Polu Litewki", które stworzy osnowę „Grażyny".

Podanie stare, proste, dzielność niewieściego ducha sławiące, która choć klęską zakończyć się musi w doraźnej z siłą miecza walce, przecież drogę idei gotuje i sama jest jej tryumfem.

Grażyna, mająca coś z linii rzymskiego profilu, to pierwsza równouprawniona z mężem w poezyi naszej niewiasta,

„...Twarzą podobna i równa z postawy,
Sercem też całem wydawała męża".

Jest to zarazem ideał żony w nowoczesnem znaczeniu:

„Osłoda smutku, spólniczka wesela,
Nietylko łoże i serce podziela,
Lecz myśli męża..."

A nietylko je podziela, ale je ma własne; i gdy Litawor błądzi, ona widzi drogę obowiązku jasno. W imię też obowiązku tego rzuca się w bój, ażeby męża od hańby przymierza z wrogiem, przeciw bratnim dzierżawom Witolda, uchronić.

Nie czyni tego z brawury ani na popis: Czyni na śmierć i na życie.

Jeśli zwycięży, chwała na księcia spadnie, którego „hełm spuszczony lica jej zakrywa“, jeżeli zginie, śmierć jej będzie zaporą między męża a wroga prawicą.

Jakoż ginie, a ginąc nic z chwały czynu nie bierze dla siebie. Nie ona zdobywa proporzec Krzyżaków, nie ona ima wodza ich w niewolę, nie ona rozprasza wroga. Czyni to „mąż czarny“, którego rozpacz wichrem pędzi między kłąb walczących. Ona umiera tylko. Ona tylko stosem swym wskazuje drogę do wyższego, szerszego obowiązku kobiety, do obowiązku jej obywatelskiego.

Jako utwór poetycki, „Grażyna“ stoi w jednym z dwóch, bardzo wybitnie różnych szeregów dzieł Mickiewiczowskich. Stoi w szeregu dzieł tworzonych, że tak powiem, na zewnątrz duszy poety.

Jak inne pokrewne jej dzieła, ma ona właściwą sobie, mniej więcej doskonałą linię rysunkową, posiada świetność barw wyobraźni poety, ma i te piękne światła i te tajemnicze cienie, któremi posługiwał się poeta w dziełach szeregu tego, z właściwem sobie mistrzostwem, co wszystko razem wzbudza w nas podziw i napełnia nas estetyczną rozkoszą.

Ale po drugiej stronie stoją dzieła, jak gdyby na wewnątrz duszy jego poczęte i wichrem natchnienia wyrzucone z piersi. Nie mają one częstokroć tych barw, tych świateł, co pierwsze. Nie mają nadewszystko linii. Zwichrzone, chmurne, napozór bezładne, uderzają nas jakąś ogromną, pierworodną, żywiołową siłą, zaledwie osłonioną w słowa, siłą potężnych, twórczych, bezpośrednich natchnień, która to siła porywa nas, udziela się nam, zespala z nami, i w własną pierś naszą tchnie swoje płomienie. Te dzieła, te potężne hymny ducha „nieśmiertelnego i tworzącego nieśmiertelność“, mają ogromny ton, ton czucia, który im zastępuje i barwy i linie. Od subtel-

nego szeptu jawiących się wzruszeń, do szumu orlich wzlotów myśli, do wichrów natchnienia, do pędu burzy unoszącej ducha „za gwiazd kołowroty“.

Tamte uczynił mistrz dziełem swojem: te są nim samym. W tamtych dał nam skarby swoje; w tych — sam się nam oddał. W tamtych piękno schodzi do nas; w tych — porywa nas ku sobie. W tamtych jest Mickiewicz poetą; w tych — wieszczem.

Charakterystycznym typem pierwszych jest „Grażyna“, cała na zewnątrz duszy poety stojąca. Najpotężniejszą wśród drugich jest wielka Improwizacya Konrada z III Części „Dziadów“, owo nieśmiertelne misteryum, jakie się rozegrało pomiędzy poetą a Bogiem.

„Grażyna“ wyszła w drugim tomiku Mickiewiczowskich poezyi, razem z II i IV Częścią „Dziadów“, których Część III i kulminacyjny moment jej „Improwizacya“, stworzonemi zostały w lat kilka później i wśród okoliczności odmiennych bardzo od tych, w jakich teraz żył poeta.

Teraz żył poeta w okolicznościach, które nie pozwalały mu zapomnieć o ranie, jaką miał w sercu. Ten rok, spędzony wśród braci filomackiej w Wilnie, rok spoczynku, swobody od nużących nauczycielskich zajęć, rok odpowiedniejszej dla poety pracy, przyniósłby mu niezawodnie większe ukojenie, gdyby nie przedłużające się i poza ślub Maryli widywanie jej, i także — jej listy.

Widywanie było rzadkie, przygodne, to w Płużynach u Michała Wereszczaki, to w Bolcienikach u Puttkamerów, gdzie Mickiewicz z Piaseckim jeździł, to w Wilnie, dokąd przyjeżdżała sama znów Maryla; Ale właśnie dla tej rzadkości i przygodności swojej, tem bardziej drażniące.

Listy nie wszystkie przychodziły wprawdzie wprost do Mickiewicza. Pisywane były owszem przeważnie do Tomasza Zana, jako do „dobrego pana Tomasza“, jak go Maryla nazywa, ale treść ich, nawet tych, w których mowa o książkach, „Brukowinkach [1]) i „Rozdziałkach“ Zana, obraca się ciągle około

[1]) O nowinkach brukowych.

„uczuć dwojga młodych“, które Zan spodziewał się wprowadzić „na pogodniejsze tory“, na tory „więcej promieniste“. Tymczasem wszakże i listy te i owe widywania się z Marylą, utrzymywać musiały Mickiewicza w stanie ciągłego podniecenia, ciągłej gorączki pragnień i tęsknoty. Ale młoda pani i przez to także wprowadziła jakiś drażniący pierwiastek w swój platoniczny stosunek z poetą, iż uczyniła przed ślubem jeszcze, dość szeroko znanym zamiarem swoim, a po ślubie niemniej szeroko wiadomym faktem, iż stosunek jej do męża pozostał także tylko platonicznym.

Była ta wierność w niewierności, zupełnie w duchu sentymentalizmu, rozwiniętego w Maryli pod wpływem egzotycznej „lektury“, ze szkodą prostych, żywych i szczerych uczuć młodości.

Otóż na tle takiego, że tak powiem półzamęścia, była Maryla jakby dawną jeszcze Marylą, tylko śmielszą, swobodniejszą może, może wyżej teraz niż dawniej poetę ceniącą, może nawet żałującą, iż pominęła tego orła, dla zacnego zresztą bardzo i owszem pełnego delikatności uczuć Puttkamera, który choć niewpisany do bractwa — na lat coś dwa — w stosunku do swojej pani „promienistym“ został.

To pewna, że listy te datowane to o północy, to zgoła o 2-ej w nocy, podpisywane częstokroć „Marie“, czasem pół francuskie, czasem francuskie zgoła, w których Maryla mówi to o „boskiej poezyi“ Adama, to zaleca mu „molto precozzione“, to pisze o walcu, który „maluje wszystkie poruszenia“ jej duszy, a który „zrobiła“ sama, to rozwija teoryę, iż „szczęście zakładać trzeba na uczuciach serca i być najszczęśliwszym z ludzi, choć się jest w oczach świata nieszczęśliwym“ — pewna jest, mówię, że listy te, są zupełnie w duchu epoki, są jakby rozdziałem powieści sentymentalnej, tem więcej zajmującej, że nie odczytywanej tylko, ale przeżywanej.

W listach Tomasza Zana znajduje Maryla żywy oddźwięk dla swego usposobienia, chociaż myli się, biorąc za jedno platoniczną jego zasadę ze swoim sentymentalizmem. W listach Mickiewicza za to znajduje „pieprz“ i łzy“, na które skarży się z rozbrajającą pokorą.

Ale poeta, którego „umarłe“ serce znowu zaczynało bić niespokojnie, sam sobie musiał się zdawać wstającym z grobu upiorem „i czuł za każdem widzeniem się z kochanką oścień, obracany w żywej jeszcze ranie“.

Otóż te powroty do życia pragnień i nadziei, do życia nowych spotkań i nowych rozłączeń, do życia, w które wracał

„Lubego szukać oblicza...“
„Ujrzeć ją znowu, poznać się, rozłączyć“
„I co ucierpiał to cierpieć co roku“
„I tak jak skończył — zakończyć“.

te powroty właśnie odmalował poeta w „Upiorze“ i z „Upiora“ tego, tego umarłego i znów budzonego ze snu śmierci serca, uczynił punkt krwawy i drgający męką, około którego rozwinęła się Część IV „Dziadów“. Dlaczego część IV? Dlatego, że II dawniej już, prawdopodobnie w epoce pisania ballad stworzona, była już gotowa, i że ten punkt drgający, ten „Upiór“ mógł stanowić i rzeczywiście stanowił naturalne, organiczne niejako połączenie obu tych części, choć z czasem, znalazł się na wstępie części II-ej bardzo zresztą widocznie do niej niedopasowany.

W przeciwstawieniu do tego prostego i jasnego związku, między częściami II-ą a IV-ą „Dziadów“, stoją luźne, mechanicznie tylko połączone z sobą Fragmenty tak zwanej Części I-ej, do pośmiertnego wydania z teki poety dobyte, które przyjąć musimy za owoc wahania się poety z której strony do materyi tej przystąpić i jak ją ująć, zanim trafił na zdrój bijący żywego natchnienia, z którego powstała Część IV.

Byłoby rzeczą ciekawą rozpatrzyć bliżej stosunek Fragmentów tych już to do siebie samych, już to do całości. Gdy jednak w ramach szkicu tego, roztrząsanie takie pomieścić się nie może, całą tę Część i luźne jej pierwiastki zupełnie — na teraz przynajmniej — pominąć muszę.

W Części II, mamy do czynienia z pierwiastkiem dość jednolitym, z elementem określonym jasno. Jest to staro-litewski obrzęd „Dziadów“, czyli po naszemu: Zaduszek, miejscami wiernie, miejscami w poetyckiej parafrazie podany, na wierze lu-

dowej w męki czyścowe oparty, a zasadzający się na pobożnej chęci ulżenia przez „jałmużny i pacierze“, mąk tych „czyścowym duszyczkom“:

„...Czyli która w smole płonie,
Czyli marznie na dnie rzeczki,
Czyli dla dotkliwszej kary,
W surowem wszczepiona drewnie...“
„...I piszczy, i płacze rzewnie“.

Po takiej to Inkantacyi „Guślarza“ widuna, znachora, który przy wywoływaniu spełnia tradycyjne obrzędy, wieśniacy i wieśniaczki tworzący Chór oglądają już to z współczuciem, już to z przerażeniem szereg widm, które opowiedziawszy winy swe i męki, znikają na wezwanie Guślarza. Znikają, doznawszy ulgi, jaką im przynoszą „jałmużny i pacierze“, jak „dziatki“ i „pasterka z barankiem“, lub też nie doznawszy ulgi nawet, jak „okrutny pan wioski“, ale zawsze rozkazowi Guślarza posłuszni.

Dopiero pod koniec obrzędu, kiedy Guślarz „ostatnim rozkazem“ zwołał

„...wszystkie dusze razem“

i rzucił dla nich

„Garście maku, soczewicy“,

kiedy „przeszła północ“, kogut już zapiał, a obrzęd skończony został, kiedy czas już był „drzwi odemknąć od kaplicy“, zjawia się, niewołana, jedna jeszcze mara.

Zjawia się „Widmo“, które ani win swoich nie opowiada, ani ofiary nie żąda, ani zaklęć guślarza nie słucha. Stoi tylko i milczy. Stoi i ręką pokazuje na serce. Tam męka jego. Tam jest i jego wina: rana samobójcza w piersi.

Widma tego nie zna ani Chór wieśniaków i wieśniaczek, ani Guślarz nawet.

Zna je tylko „pasterka w żałobie“, na którą „widmo patrzy“ i która też sama wpatruje się w nie z uśmiechem.

Cały ten motyw, część obrzędową „Dziadów“ kończący, i prawdopodobnie późniejszą wstawką jej będący, nazbyt jest

przejrzystym, aby go jeszcze oświetlać trzeba było. Istotnie. Gdyby poeta — „Żeglarz“ — postawione sobie „na morzu zjawisk“, „wśród wichru i bicia fal“ pytanie: — „A więc porzucić kórab żywota?“ — w sposób twierdzący był rozwiązał, mógłby się był właśnie jak owo „Widmo z raną w piersi“ i z milczącym wyrzutem w spojrzeniu — ukazać Maryli.

Bo wszak i Maryla, jak owa pasterka z obrzędowej sceny Dziadów, choć „mąż był zdrowy i cała rodzina“, chodziła przecież „w żałobie“. W lekkiej żałobie wspomnień, ale chodziła. Lecz gdyby stanął przed nią, stanąć by musiał — upiorem.

Wszak on:
„Umarły dla świata.
I serce już ustało i pierś lodowata,
I tylko duch nadziei życie mu nadaje,
Tylko gwiazda pamięci promyków użycza.
Umarły — wraca na młodości kraje,
Lubego szukać oblicza“.

I to jest punkt wyjścia dla ukazania się Gustawa w domu księdza, dawnego nauczyciela swojego, gdzie właśnie szła mu droga „do młodości krajów“. To jest zarazem punkt połączenia przez fragment o „Upiorze“ Części II z Częścią IV „Dziadów“, tą ogromną spowiedzią miłosną, jakiej przed Mickiewiczem nie uczynił nikt, i nikt po nim także, tą przejmującą skargą skrzywdzonego serca, jakiej nikt ni przedtem, ni potem, przed sąd potomnych nie wniósł.

Ale Część IV Dziadów nie jest jedynie spowiedzią miłosną, ni skargą.

Jest to nadzwyczajny dramat, stworzony „na jedną rolę“, rolę potężną, obejmującą nietylko oba przyrodzone czynniki miłości: istotę mężczyzny, i istotę kobiety, ale nadto cały tragizm uczucia, które choć wie o sobie, że mogło się jako drogi balsam palić na ołtarzu serca, wypala się przecież w zwykłej czytaniu sentymentalnych powieści przyświecającej lampie, a wypalać się — tak właśnie — pożąda śmiertelnie, przez śmiertelną miłości swej żądzę. Rolę ogromną, wypełniającą całą niezmierną scenę od nieba do ziemię; scenę walk i klęsk ideału.

Rolę wypełniającą całe kulisy przyrody, w której jednej widzi Gustaw „życie prawdy“ i żywe współczucie, kiedy gałąź jodłową, przywleczoną z boru, przyjacielem zowie.

Rolę, rozsadzającą w proch całą sztuczną maszyneryę stosunków społecznych, w której trybach i kołach albo się kręcić trzeba według „nudnego rzeczy ziemskich obrotu“, albo oszaleć, i szlifować na nich, jak Gustaw „błyskotki dla jasnych panów“.

Rolę burzącą całą fałszywą układność dekoracyi obłudy, sofisteryi i zimnemi ustami wymawianych pociech, w które uderza prawdą żywego bólu i — nieszczęścia.

Rolę tak wielką, jak świat, a wypełniającą cały tragiczny teatr życia, od „skrzydeł“ myśli „wyłamanych w górę“, aż do psa, co się błąka w pustce zburzonego domu, a zawołany przez dawnego pana — „skacze mu na pierś, wyje, i pada bez ducha“.

Cały ten dramat, dobyty jest z żywego serca poety z ogromną bezpośredniością i prostotą środków. Ani on tam słów nie dobiera, ani obrazów nie szuka. Myśli są ledwo osłonione, obrazy ledwo z piersi tchnięte: jest w nich prawda i ciepło nagości.

Wszystko tam stoi na uczuciu i przez uczucie, wielorako pokrzywdzone — cierpi. Prawdy jego są proste, miłość nie wyjątkowa jakaś, ale taka, która każdego ludzkiego serca nieszczęściem być może. A przecież jest w tem wszystkiem moc śmiertelna prawie. Taka moc, która łamie, a znów potem wskrzesza. Jest to moc geniuszu, który się dotknął spraw ziemi i nieba, i powiał na nas tchem nieśmiertelności.

VI.

Ale ta wielka spowiedź powszechna w IV Części „Dziadów“, to obnażenie duszy bolesnej i szarpnięcie zranionego serca, nie mogły się odbyć bezkarnie. Istotnie, stan poety był taki, że już nie o roku spoczynku, ale o zupełnem uwolnieniu się od kowieńskich obowiązków musiała być mowa. Sztur-

muje o to Malewski przez ojca do księcia kuratora, Adama Czartoryskiego, szturmuje Lelewel, a poczciwy Jan Czeczot wprost głowę traci. „Niewiadomo co z nim robić — pisze o Mickiewiczu — często bezsenny, kawą i fajką tylko żyjący...“

Zan także stracił nadzieję „pogodniejszych torów“. Wszyscy zgadzają się na to, że trzeba Mickiewicza wyruszyć z Kowna i „na wojaż wyprawić“. Myśl leżała tembardziej pod ręką, że paru najbliższych poecie z drużyny wileńskiej znajduje się podówczas właśnie za granicą.

Nawet Onufry Pietraszkiewicz, najbardziej z drużyny filomackiej milczący, głos zabiera w radzie, pisząc: „Wyjazd za granicę, oderwanie się od miejsc rozogniających uczucie i tyle wznawiających pamiątek, najlepszem byłoby lekarstwem“.

Jeżowski radzi „Riesengebirge“, bo sam podróżował tam właśnie.

Czeczot prawie się zgadza:

„Doliny, góry, łąki, te go zajmą, ale boję się wpływu samotności na jego imaginacyę. On zdaje się potrzebować ciągle opieki jakiegoś anioła stróża, a tam będą same głazy“.

Gderzą na poetę, gniewają się za jego „Kowieńską zadumę“ nazywają go „posępnym anglikiem“, rozpamiętałym lulkarzem“, „nudnym“, „himerycznym“, wyśmiewają jego manię „chodzenia i chodzenia“, a poczciwy Onufry wzdycha: „Ach, jeśli takie uniesienia w krainie wyobraźni są pożyteczne, jakże są w życiu praktycznem szkodliwe!“

Ale ileż w tem wszystkiem serca, jaki ton ciepły w tem gderaniu, jaka troska o poetę, zdradzająca się tą frasobliwą uwagą na zbytek kawy, fajki, nawet ruchu!

Ale i Mickiewicz wyjazdu tego, tego „oderwania się od miejsc rozogniających uczucie“ pragnąć zaczął, i naglony przez przyjaciół, o pasport na wyjazd za granicę się podał.

Otrzymanie pasportu było przedewszystkiem zależne od upragnionego, a ze względu na zły stan zdrowia poety, wprost koniecznego uwolnienia od obowiązków nauczycielskich w Kownie.

Gdy wszakże uwolnienie owo, zdobyte przez Lelewela na księciu Czartoryskim przyszło, zjawiły się razem z jesie-

nią 1823 roku przeszkody innej natury, a poeta, skutkiem procesu filareckiego zatrzymany był u Bazylianów w Wilnie, aż do kwietnia 1824 roku, w którym to czasie, na porękę Lelewela, przed końcem procesu, uwolnionym został i na wyrok czekał.

Ta bazyliańska cela, miała dla poety zbawienne, a dla poezyi wprost nieobliczalne skutki. Przedewszystkiem zastąpiła poecie niemal zupełnie upragniony wyjazd za granicę, a to już przez oderwanie go „nie już od miejsc rozogniających uczucia", ale i od tych uczuć samych.

„Ja stałem się u Bazylianów prawie spokojny" — powie nam kiedyś poeta. I to będzie prawdą.

Nad moc, z którą się łamał, weszła mu w pierś moc większa, moc potężniejsza jeszcze — i ta go wskrzesiła.

Umarł Gustaw, a zrodził się Konrad.

Cudny jest, zostawiony we „Wspomnieniach" Odyńca, opis tej ostatniej październikowej nocy, kiedy Mickiewicz, po otrzymanym wyroku żegnał się z kolegami w Wilnie. Było to niedaleko Ostrej Bramy, w mieszkaniu Tomasza Massalskiego.

Ignacy Domejko przyjechał ze wsi umyślnie, ale i tak drużyna całą już nie była. Już Tomasz Zan, Jan Czeczot, Suzin, wyjechali daleko na wschód, na stacyi w Poniemuniu ostatnim w życiu uściskiem bratnim przez poetę pożegnani. Tomasz Zan otrzymał wtedy na pamiątkę od Mickiewicza małą książeczkę „O naśladowaniu Chrystusa".

W tej to niecałej już filomackiej drużynie, w której jednak znajdowało się wielu Filaretów, „wszyscy byli raczej weseli niż smutni".

— Odśpiewaliśmy — mówi Odyniec — wszystkie nasze pieśni smutne i wesołe, filareckie i znajome, począwszy od: „Hej użyjmy żywota" aż do „Toastów". Frejend na flecie grał: pieśń: „Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły", na której nutę „Adam improwizował, śpiewając", „Dzwonek na prymaryę w Ostrej Bramie położył koniec biesiadzie. Adam słuchał mszy na galeryi, klęcząc z twarzą ukrytą w dłoniach".

VII.

Te pięć lat, jakie poeta od jesieni 1823 roku, do wiosny 1829 roku w Rosyi przebył, wywarły na niego wpływ wielostronny i ważny.

Śmiało powiedzieć można, iż niektóre struny ducha Mickiewiczowskiego tutaj właśnie po raz pierwszy zabrzmiały, oraz że inne, bardzo donośne, także tutaj, i to jedynie tutaj zabrzmieć mogły.

Z pierwszych, najważniejszym może w skutkach dla życia samego poety był ton mistycyzmu, dobyty ze struny, naciągniętej wprawdzie od lat chłopięcych w duszy Mickiewicza, ale aż dotąd milczącej. Teraz zadźwięka ona pod wpływem spotkania i zbliżenia się poety z Oleszkiewiczem, malarzem, mistykiem, swedenborgianinem, talmudzistą, który jak Wernyhora, miał wizye przyszłości, litościwym był dla wszelkiej nędzy, a którego ujrzał poeta w przeddzień wylewu Newy, z latarką i księgą, wody rzeki badającego, i wśród pustki wybrzeża, na stosie kamieni każącego, niby Jan w puszczy. Ten to człowiek, który miał na twarzy wyraz „niebieskiej rozpaczy", dał Mickiewiczowi pierwsze wrażenie „ludzi opatrznościowych", ludzi „nadświatową misyę mających", które z czasem tak nagle, tak bez zastrzeżeń otwarło duszę poety wpływom Towiańskiego.

Jest nawet pewne podobieństwo w obu tych spotkaniach. „W głosie i słowach" człowieka, który powitał Mickiewicza „krzyża i pogoni znakiem', było od razu coś „znanego uszom i duszy pielgrzyma"

„Może się o nim pielgrzymowi śniło".

Jak to przypomina owo opowiadanie poety z czasów poznania Towiańskiego.

„.....I śniło mi się, że drogą z głębi Litwy jedzie człowiek" i t. d.

Jest nawet w tych petersburskich wspomnieniach, stosujący się do Oleszkiewicza okrzyk: „To on!" — który się

z dziwną tożsamością przy spotkaniu z Towiańskim, także niosącym znak swój, powtórzy.

Jeśli dodamy wstrząsające wrażenie wylewu Newy, które się z przepowiednią Oleszkiewicza bezpośrednio zeszło, to będziemy mieli cały pierwszy podkład przyszłego mistycyzmu poety.

Drugim ważnym tonem, zbudzonym w duszy Mickiewicza zaraz na pierwszym wstępie do tych lat pięciu, jest poczucie natury nie jako tła obrazu, ale jako obrazu samego. Natura, którą poeta znał dotychczas, — gór Ponarskich i brzegów morskich w Połądze nie wyjmując, — była mu poufałą, często powiernicą, czasem matką jakby. Odkąd żył, czuł, patrzał, taką ją widział i znał zawsze. Jakaś równość, jakaś cisza i pogoda, jakaś bierność senna — była jej wdziękiem całym i powabem. To co w niej na okół siebie spostrzegał, czy to w Zaosiu, czy w Nowogródku, czy na Popławach podwileńskich, czy w Tuhanowicach i Płużynach, czy wreszcie w Kowieńskiej dolinie, siłą i charakterem widoków nie dorastało nigdy miary uczuć jego, odkąd spojrzał okiem poety na świat. Owszem, te uczucia właśnie przerastały siłą swoją całe owo otoczenie poety.

Naraz Krym — ogromna wizya szafiru morza i szafiru skał, srebrzystych pian i srebrzystych szczytów — świat inny, świeży, potężny i nowy.

Wszystkie zmysły poety zaostrzają się teraz, subtelnieją, stają się narzędziem niezmiernie jasnej i czułej percepcyi. Wrażenia, jakie teraz ze świata zewnętrznego, ze świata przyrody odbiera poeta, nietylko uderzają w niego z niezwykłą precyzyą i siłą, ale dają mu tę przyrodę poznać z nowej, psychicznej, że tak powiem, strony. Spostrzega on, że ta przyroda, ma właściwe sobie rysy, własną fizyognomię i własny charakter. Spostrzega, że ten Czatyrdach, ten Ajudah, to niemal indywidualności. Że owszem, cała ta przyroda przeciwstawia się ludzkiej duszy, jako istota też psychiczna i czująca. Spostrzega nadto, że on, poeta, stoi wobec godnych geniuszu swego potęgi i piękna; że uczuciom jego przyjdzie się tu zetrzeć z taką siłą, która jeśli od nich barwy pożyczy, to nada im i swój

kolor także i swój kształt na nich odciśnie. Spostrzega, że nie jest to już tło tylko, ale że to jest obraz, obok którego gdy stanie sam, ani go zaćmi, ani go zakryje.

I takie to właśnie pojęcie przyrody, jako indywidualności, pojęcie całkiem nowożytne, jest najważniejszym rysem „Sonetów Krymskich", które pierwsze wprowadziły je do poezyi naszej. Serce poety, stanęło w „Sonetach Krymskich", że tak powiem, „al pari" z przyrodą. Niekiedy serce to przemawia głośniej, niekiedy znów przyroda ma ton potężniejszy. Czasem przyroda sama się ucisza, aby słuchać jak bije serce poety; czasem poeta nakazuje sam sobie milczenie, aby hymnów przyrody nie mącić. Niekiedy oboje, poeta i przyroda, śpiewają hymn ten, na dwa potężne, przepysznie zestrojone głosy, a wtedy poeta „wsparty na Judahu skale", zdaje się z tą bryłą granitu tworzyć jedną żywą całość. Ale bywa i tak, że uciszają się oboje, oboje milkną, aby słuchać, czy w ogromnej ciszy „stepów Akermanu" nie leci głos... „głos z Litwy"...

Zaprawdę pierwszy to raz w naszej poezyi, duch tak potężny zespolił się z przyrodą! Zaprawdę, pierwszy to raz przyroda odbiła się w tak wielkim i czującym duchu!

Ona nie maleje w odbiciu tem do znaczenia poetyckiego pejzażu. Poeta daje nam ją uczuć — wprost żywą. On jej nie maluje; on ją ogromnie czuje tylko, i tem czuciem tchnie ją żywcem w pieśń swoją. Ale i psyche poety nie jest przez przyrodę stłoczona, zwichrzona, na kaprys burzy i ciszy, mroków i pogody oddana. Owszem, zachowuje ona, ta psyche, przy całem sharmonizowaniu się z przyrodą, jakąś tęgość, odporność, samoistność, samowiedzę, samoczucie własne, które zachowują jej jasną, wyrazistą linię, i ton własny dają.

I to jest źródło tej doskonałej miary artystycznej, która z Sonetów czyni rzecz niezmiernie zrównoważoną. Tak zrównoważoną, że kiedy się ukazały, niektórzy klasycy mieli ochotę zapisać je na dobro swojego obozu, jak np. jenerał Morawski. Co więcej, dziś nawet są krytycy, którzy w obronę to zapatrywanie się zacnego jenerała biorąc, chętnieby teraz jeszcze Sonety „klasycznemi" zwali, gdyby ta nazwa za dni naszych, nie była już niezrozumiałą potrosze i zupełnie wycofaną z obiegu.

Tymczasem, właśnie w tem zasadniczem pojęciu Sonetów, w pojęciu przyrody jako indywiduum, tkwiła romantyczność wprost rewolucyjna, wszelkie dotychczasowe reguły malowania i pojmowania przyrody burząca, tkwiła w nich prawda żywa.

Formę sonetu, obrał Mickiewicz na wrażenia krymskie jeśli nie doskonałą rozwagą artystyczną, to szczęśliwym instyktem wiedziony. Niepodobna pomyśleć nic odpowiedniejszego, jako formy, do zawarcia w sobie, jako treści, takiego odłamu przyrody, jaki oko z jednego punktu objąć może, a zarazem takiego odłamu uczuć, jaki jednem wzruszeniem wypełnić może serce, jak właśnie forma sonetu. A trudno byłoby także znaleźć właściwszy wyraz na tę skupioną, skoncentrowaną siłę, z jaką potężna przyroda w serce człowieka uderza. Jest to tak dalece prawdą, że każdy, kto te Sonety Mickiewiczowskie zna, a Krymu nie widział, mimowoli wyobraża go sobie, jako takie ogromne skalne oddzielnie stojące kolosy, które, dźwięcząc nieśmiertelnym rytmem bijącego w nie morza, same są jakby sonetami przyrody.

Ale razem z tym silnym, świeżym tonem nowego pojmowania natury, zabrzmiała w piersi poety drobna, cierpko niby, niby czule dźwięcząca strunka, która wydała garść subtelnych Erotyków, tych odeskich, dla pani Karoliny Sobańskiej tworzonych i tych późniejszych także, jak np. „Na pokój grecki“, dla księżnej Zeneidy Wołkońskiej które, acz z różnych motywów złożone, wszystkie prawie na tej jednej strunce wygrane były. Strunka jest kryształowo błyszcząca, wprost tęczowa jakby; ale serce poety trąca w nią powierzchownie tylko. Ono jej nie udziela swojej głębokiej, niemal bolesnej, uczuciowej dźwięczności. To serce — a mówi to poeta pięknym paniom bardzo wyraźnie — jest pustą świątynią,

„Gdzie bóstwo mieszkać nie chce, a ludzie — nie śmieją“

Owszem on im z boską niemal szczerością pozwala „drzemać“ lub „udawać“ słuchanie, gdy duch jego przemówi z swej głębi, tak dalece wie, że świat jego nie jest, nie może być — ich światem.

Zaleciał wielki orzeł w niziny kwietne i rozkoszne, ale wnet na owych silnych piórach, które mu „szczęściem zostały do powrotu“ wzbił się znów wysoko, i „nigdy odtąd nie zniżył już lotu“.

Strefa, w której szybował teraz duch poety, była „strefą ulewy i grzmotu“, „strefą Konrada Wallenroda“.

Od października 1825 roku zatrzymał się Mickiewicz na dłużej w Moskwie, gdzie z Malewskim, Jeżowskim, Pietraszkiewiczem, Budrewiczem i Daszkiewiczem tworzą „świat oddzielny“, szczęśliwi, iż pamięć przenosić ich może w miejsca, skąd ich los oddalił. Otóż ten „świat oddzielny“, to przenoszenie się myślą w przeszłość, wywoływały sny, z których, jak mówi poeta „trzeba się było budzić we łzach“, ale były zarazem atmosferą niezmiernie sprzyjającą twórczości Mickiecza wogóle, a tworzeniu „Konrada Wallenroda“ w szczególności.

Jeżeli o nastroju poety, w jakim się podówczas znajdował, sądzić będziemy z „Pieśni Wajdeloty“, tej cudnej przygrywki do wielkiej, na dyssonansach opartej symfonii czynów Wallenroda, to nastrój ten przedstawi nam się mniej więcej tak:

„Zniknęły lasy i ojczyste góry...
Myśl znużonemi ulatując pióry,
Spada, w domowe tuli się zacisze...
Lutnia umilka w odrętwiałem ręku.
Wśród żałosnego spółrodaków jęku,
Często przeszłości głosu nie dosłyszę“...

I dalej:

„...Ach, kto litewską duszę mógł ochronić
Pójdź do mnie, siądziem na grobie narodów,
Będziemy dumać, śpiewać i łzy ronić“.

Otóż nastrój ten musimy uważać jako nowy ton w duszy Mickiewicza, ton bardzo odmienny od wielkiej filareckiej strofy o stosunku „sił“ do „zamiarów“, ton, który mógł tylko zabrzmieć od silnego, bezpośredniego uderzenia się ducha po-

ety o olbrzymią, zewnątrz niego stojącą siłę, a zatem tylko w warunkach, w jakich się teraz Mickiewicz znajdował.

Był to nastrój, w którym nie mogło powstać żadne bohaterskie epos, ale mogła powstać tragedya bohaterstwa. Wszelkie jednak bohaterstwo ma to do siebie, że choć bywa tragedyą, zawsze przecież jest i siłą także. I to było najbliższym bodźcem, który twórczość poety w stronę Wallenroda popchnął. Powiada nam Mickiewicz w jednym z listów swoich, iż pisze Konrada Wallenroda, „aby serca rozgrzać i pokrzepić"; Wajdelocie zaś tak śpiewać każe:

„...Gdybym był zdolny własne ognie przelać
W piersi słuchaczów i wskrzesić postaci
Zmarłej przeszłości!..."

...Możeby jeszcze w tej jedynej chwili,
Kiedy ich piosnka ojczysta poruszy,
Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy,
I chwilę jedną tak górnie przeżyli,
Jak ich przodkowie — niegdyś całe życie!..."

Przecudna inwokacya, pod której wrażeniem widzimy niemal tę pieśń, która stojąc

„na straży
Narodowego pamiątek kościoła,
Z archanielskiemi skrzydłami i głosem"

dzierży także i „miecz Archanioła!" —

Jest rzeczą bardzo dziwną, iż wobec tak wyraźnie zaznaczonego zamiaru w liście poety, i wobec celu tak jasno postawionego w pieśni Wajdeloty, zawiązały się ostatniemi czasy, i dawniej już zawiązywały się po kilkakroć wznawiane spory, jak ideę Konrada Wallenroda pojmować należy? Byłże on naprawdę tylko pieśnią „dumającego na grobie narodów" śpiewaka, a zatem pieśnią skonów, czy raczej był pieśnią życia? A jeśli był pieśnią życia, to jakiem było słowo, na którem pieśń ta stała? Nie byłoż słowu temu imię „zdrada", a pieśń i dzieło nie byłoż „apoteozą zdrady".

I oraz zaczęto szperać.

Ten Alf, ten litwin, który po to do Zakonu podstępnie wchodzi, aby posiadłszy w nim władzę, zdeptać go, zniszczyć, obezwładnić, jeżeli nie na zawsze, to na długo, ten Alf — czyliż to nie zdrada?

Ten Halban, starzec trzymający się także klamki krzyżackiej, a pieśniami o klęskach Litwy podniecający tajemne żary w piersiach Wallenroda, — czyliż to także nie zdrada?

A tym, którzy tak pytali, zdawało się, iż znaleźli i odpowiedź także, iż znaleźli ją w samem pytaniu, w samej możności postawienia takiego pytania, i nazwali poemat ten „apoteozą zdrady".

Otóż nie! Otóż właśnie zdanie to jak najsilniej odeprzeć się daje. „Konrad Wallenrod", to nie „*apoteoza* zdrady", to jej *tragizm*.

W „Konradzie Wallenrodzie" pokazał nam Mickiewicz zdradę, wprost jako pierwiastek koniecznego zatrucia w życiu zwyciężonych, skrzywdzonych. On nam ją pokazał jako jad, rozkładający nietylko etykę życia, ale i wolę życia. Idea ogromnie wysoka, bardzo psychologicznie prawdziwa, i jako motyw tragiczny — niezmiernie silna.

Zrodzona z nienawiści, wynikłej z poczucia krzywdy, zdrada, sama staje się posiewem nienawiści. W duszy skrzywdzonego rodzą się chwasty, o które on krzywdziciela obwinia.

— Nienawidzę was! — woła do Rzymian współczesny nam „Larik", — bo bez was, byłbym dobry, prosty, sprawiedliwy! Nienawidzę was za zło, jakie się rozpleniło w mej duszy! Nienawidzę was za nienawiść, którą was nienawidzieć muszę!"

Jest to niezawodnie okrzyk ogromnie nowoczesny, i stokroć w motywach swoich psychologicznych wyższy, nad wszelką przed forum przyszłości wyniesioną skargę. On też jeden będzie miał kiedyś siłę rozstrzygnąć wszelki spór w taki sposób, aby jednostki mogły być dobre, proste, sprawiedliwe, a co zatem idzie: nie czuć w sobie jadu nienawiści, które je czyni złemi, niesprawiedliwemi i podstępnemi w stosunkach wzajemnych.

Jakoż cała taka intoksykacya duszy, przedstawioną jest

w Wallenrodzie z niezwykłą jasnością i siłą. Jego chwiejność, jego słabość woli, jego odurzanie się winem, jego niewieście prawie kwilenie u stóp wieży, to konieczne objawy tego procesu rozkładu, jaki się w tej wielkiej duszy rozpoczął, z chwilą gdy do niej weszła myśl zdrady.

A był to proces długi, jeszcze od tych wycieczek Alfa z Halbanem na brzegi Połągi datujący,

„Gdzie grzmiącemi piersiami białe roztrąca się morze
I z pienistej gardzieli piasku strumienie wylewa."

i gdzie

...„zioła pachnące, łąki nadbrzeżnej kobierce
Czołem siłą się jeszcze przebić śmiertelne pokrycie:
Ach, daremnie! Bo nowa żwiru nasuwa się hydra,
Białe płetwy roztacza, lądy żyjące podbija,
I rozciąga dokoła dzikiej królestwo pustyni..."

i gdzie mu Halban powiedział:

„Synu, piaski z zamorza burzą pędzone — to Zakon!"

Wtedy to on usłyszał z ust Halbana, iż:

„wolnym rycerzom wolno wybierać oręże,
I na polu otwartem, bić się równemi siłami;
Tyś niewolnik: jedyna broń niewolników jest — zdrada".

A to, że jest „bronią jedyną", jest właśnie tragizmem duszy Wallenroda. Ten to tragizm sprawia, że słowa „ojczyzna", „kochanka", „powinność" tak samo jak „zbytnie puhary" rzucają go w bezprzytomne szały, a to w przeciwstawieniu tego „jedynym" przez Halbana nazwanego oręża, do prawości środków walki, jako takiej, która staremu Kiejstutowi daje pogodę w bojach spędzonego żywota:

...„Kiejstut zawsze spokojny: od dzieciństwa przywyknął
Bić się z nieprzyjacielem, wpadać, zwyciężać, uciekać;
Wiedział, że jego przodkowie zawsze z niemcami walczyli,
Idąc w ślady swych przodków, bił się i nie dbał o przy-
[szłość".

A czyniąc tak, czynił dobrze, gdyż wojna, otwarta wojna, jeśli dzieli narody, można — bez obawy paradoksu — twierdzić, iż także narody łączy. Łączy je w tej przyszłości właśnie, o którą Kiejstut „nie dbając“ bił się, jak przodki z Niemcami.

Ale zdrada, dzieli narody na zawsze. Ona nie jest obroną praw, jaką wojna być może, choć niezawsze bywa. Ona depce wszelkie prawo i własne i wroga.

Ten jeszcze tragizm sprawia, że Walter sam

„...zrzekłszy się szczęścia, szczęście Aldony zatruwszy,“

pobudzany być musiał do czynu tem: „Biada!“ które mu Halban rzuca przy uczcie, jak memento mori. Ten tragizm sprawia to, że Walter, wyrzekłszy się miłości za lat młodych swoich, „nie może siwej głowy oderwać od kamiennej wieży“, gdy pora czynu przychodzi. Ten wreszcie tragizm w potężnym obrazie „Alpuhary“ w obrazie jadu zarazy, zabijającego i zdrajcę i zdradzonego razem, z piersi Konrada wybucha. On to, ten tragizm, jest przyczyną wszelkich nierówności w charakterze bohatera, którego zbyt wielkie serce, nie mogąc być zapełnione miodem życia, stało się „gniazdem szerszeni“.

Nawet niedoskonałe ustosunkowanie części składających dzieło, nawet jego architektoniczne niedostatki, są koniecznemi. Wyniknęły one z konieczności pokazania duszy i woli bohatera w rozkładzie. Są to cienie, jakie plamy, rozkład ten ujawniające, rzuciły na dzieło samo.

Raz tylko wybłyska przed nami Konrad w całej swej potędze, jako ten, „co szczęścia nie znalazł w domu, bo go nie było w ojczyźnie“.

Jest to chwila, w której wyzuwa się ze znamion zdrady, kiedy zrywa z siebie płaszcz krzyżacki, podstępnie przez lat tyle noszony, kiedy ma siłę, tym śmiertelnie potężnym okrzykiem:

„Oto są grzechy mojego żywota“

dać wyraz i wzgardy swojej dla zdrady, i jawnie swą nienawiść dla Niemców obwieścić.

I ten to właśnie Wallenrod stoi pomnikiem w Mickiewiczowskiem dziele.

VIII.

Petersburskie wydanie „Konrada Wallenroda“ z 1828 r. przyniosło z sobą kilka nowości, z których pierwszą była rzecz do czytelnika: „O recenzentach warszawskich“.

Rzecz ta nie ma w samem pojawieniu się swojem tej wagi, jaką jej niektórzy biografowie chcą nadać.

Merita sporu między obozem, do którego należeli recenzenci owi, a światem duchowym poety, rozstrzygnął już był szereg dzieł, w świecie tym „z czucia i wiary“ zrodzonych. Ciekawa za to jest strona rzeczy tej formalna.

Dowcip, ciętość słowa, satyryczna siła argumentów, jakby tylko dla zabawki rzucanych, a zawsze w cel bijących, subtelność i nieochybność ciosów, które wtedy nawet kiedy padają płazem, są wprost śmiertelnemi, wszystko to pokazuje nam w poecie doskonałe poczucie tego stosunku wyższości, w jakim umysł twórczy stoi do umysłu takich szperaczy — krytyków z zawodu wogóle, a w szczególności pokazuje pełnię świadomej siebie potęgi, oraz jasne widzenie dróg swoich i swoich celów. Jest to jakby świetne migotanie szpady w ręku wybornego szermierza, który z uśmiechem wzgardy odpiera napad ciężkich niezdarnych, obozowych ciurów.

— Z drogi! z drogi! z drogi do nieśmiertelności! — Oto okrzyk, który zdaje się, słyszymy wskroś tej utarczki orła z puhaczami, okrzyk, który w „Farysie“ rozbrzmieć miał wkrótce z siłą też wprost nieśmiertelną.

Za ostatniego pobytu Mickiewicza w Petersburgu powstał poemat, bardzo od „Konrada Wallenroda“ różny, a „Sonetom krymskim“ całkiem przeciwstawny, powstał — „Farys“.

W „Sonetach“ miara obrazów przyrody jest miarą uczuć poety. Obrazy te i te uczucia, to dwie przepyszne linie równoległe, które choć nie zejdą się nigdy, choć się od siebie

najbardziej oddalą, rozłączyć się przecież w drodze swej nie mogą, dążąc razem w jakąś idealną perspektywę piękna, w jakąś ogromną i cichą jasność harmonii.

W „Farysie“ wręcz przeciwnie. W „Farysie“ duch poety, uniesiony wichrową potęgą natchnienia, odrazu współrzędność tę zrywa, z pętów jej się otrząsa, wybija się z paralelizmu tego ogromnym rzutem w przestrzeń, i nie ustanie póty, póki się nie poczuje — sam. Jest to szalony wyścig ducha poety z naturą, wyścig, w którym zwycięża — duch. Nie wzniósł on się wprawdzie jeszcze do tej potęgi, która uczyni pieśń jego w Wielkiej Improwizacyi Konrada:

„gwiazdą na granicy świata“,

ale silniejszy od określonych świata tego zjawisk, leci on „coraz chyżej, coraz chyżej!“ aż tam, gdzie siła indywidualna zjawisk tych, z siłą indywidualną ducha walcząca — ustaje, i gdzie duch „nieśmiertelność, nieskończoność“ czuje.

Krok jeszcze, a znajdzie się on tam,

„Gdzie graniczy Stwórca i natura“,

znajdzie się na zaświatowym już niemal punkcie Wielkiej Improwizacyi Konrada.

Ale teraz poeta kroku tego nie uczynił jeszcze. Teraz, zatrzymuje się on tam, gdzie duch jego, wyzwolony niejako z więzów przyrody, czuje sam siebie, nie w niej, ale w sobie. Gdzie się rozpręża, rozprzestrzenia pomiędzy niebem a ziemią, w nieskończonej rozkoszy poczucia siły, która go i najwyższym i samotnym czyni.

To podniesienie ducha nad świat zjawisk, to rozprężenie się jego w granicach czystego bytu, to nadludzkie, nadprzyrodzone wprost czucie samotności, oto już nawiązane w ostatniej strofie Farysa struny, na których poeta położy kiedyś rękę tworzącą „nieśmiertelne pienie“. Tu w Farysie, oddycha poeta „pełno, szeroko“, tym ogromnym oddechem, który chłonie w siebie całą atmosferę smutków ziemi i radości ziemi: „całe powietrze Arabistanu“. Tu, w Farysie, wytęża poeta

„...oko
„Tak daleko, tak szeroko,
Że więcej świata zasięga,
Niż jest w kole widnokręga".

Tu, w Farysie, wyciąga poeta ramiona, aby „od wschodu do zachodu" „jednym uściskiem świat objąć".

Tu —

„Myśl jego leci ostrzem w otchłanie błękitu:
Wyżej, wyżej i wyżej — aż do niebios szczytu."

Probowano już nieraz, a zawsze z nieudolnym skutkiem, oświetlić Farysa mniej więcej sztucznemi alegoryami, które, rzecz prosta, były tylko odbiciem umysłów alegorye te tworzących, ale nie były — w najmniejszej nawet mierze — odbiciem wnętrznych pobudzeń twórczości samego poety.

Otóż chcąc dać wyjaśnienie zgodne z naturą tych właśnie pobudzeń, nie należy pytać: Co Farys ma znaczyć? — od strony którego to pytania przystępowano zawsze do studyów nad tym poematem. Tu należy pytać: Jakie *uczucie* pchnęło poetę w ten ogromny ruch? Jaka moc rzuciła go w ten nadzwyczajny wyścig ducha ze światem zjawisk przyrody?

Odpowiedź na pytanie to dać nam może jedynie wniknięcie w samą istotę poetyckiej twórczości, w istotę poetyckiego natchnienia. Otóż istotą natchnienia tego jest niewątpliwie mniej więcej silne, mniej więcej wyraźne poczucie lotu, poczucie odrywania się od ziemi, od samego siebie. Poczucie przyrodzone każdemu poecie, lubo nie w każdym dochodzące aż do samowiedzy. Ale w Mickiewiczu, którego siła inspiracyi nie miała równej sobie, poczucie lotu stawało się wprost niewstrzymanym, wprost wichrowym pędem, a odrywanie się od ziemi i od samego siebie było tak potężnem, że go pozbawiało przytomności, jak o tem świadczy stan omdlenia po Wielkiej Improwizacyi Konrada. Otóż to, co w pomniejszych duchach jest tak zwaną rozkoszą tworzenia, dla Mickiewicza, przez nadzwyczajną, miarę sił ludzkich przechodząca potęgę swoją — stawało się wprost męką. Męką, której w życiu praktycznem, zaradzał poeta ruchem,

mającym ją zrównoważyć zmęczeniem fizycznem, fizycznem wyczerpaniem nadzwyczajnej pobudliwości nerwowej; ruchem, na którego zbytek skarżył się Czeczot za kowieńskich jeszcze czasów, pisząc o Mickiewiczu, że „chodzi i chodzi".

Ale to poczucie pędu, poczucie rwących i potężnych natchnień łączyło się w poecie z najwyższym stopniem samowiedzy. Ze stopniem takiej jasności i siły, że przedstawiać mu się ono mogło, jako na zewnątrz niego stojące, jako obraz wichrowego pędu, jako obraz odrywania się w szalonym biegu od wszystkiego, co ziemskie. I tu jest punkt, na którym poeta zapragnął dać obrazowi temu szatę pieśni, punkt, na którym narodzi się „Farys", syn pędu.

W bezpośrednim związku z tą genezą stoi owa jazda petersburska, wśród zawiei, o której, jako o najbliższem pobudzeniu do stworzenia „Farysa" mówi sam poeta.

Istotnie, w tym szalonym ruchu nietylko mógł się ujawnić poecie ów pęd wichrowych natchnień z całą plastyką na zewnątrz stojącego obrazu, ale mógł on zarazem, pęd ów, uderzyć w poetę z taką siłą, że Mickiewicz zapragnął przenieść chociaż część pędu tego na poetycką koncepcyę, i szukać w tem ulgi na wielką skalę tak, jak szukał jej na małą skalę w owem kowieńskiem „chodzeniu". Jakoż popędził „Farys" nieśmiertelną drogą ducha samego poety, unosząc z sobą w tym biegu nadmierny pęd natchnień jego. Popędził bez celu, dla samej rozkoszy zużycia sił, które mu się stawały męką, popędził w jednej z chwil, w których poeta woła:

„Potrzeba mi lotu!"

On, Farys,

„nie wie jeszcze jaka jego władza",

On nie wie:

„Czy w piekło uderzy, czy w niebo zaświeci".

On „nie wie sam, gdzie leci", i „nie wie co zdziała",

i tylko —

„Jako obłok górny, ale błędny pała".

Jakie były uczucia poety, kiedy w maju 1829 roku opuszczał Rosyę na statku z Kronsztadu do Lubeki płynącym, powie on nam później, w tych skrzących mrozem i buchających parą mglistą obrazach, które wstawione do III Części „Dziadów", nosić będą ogólny tytuł „Petersburg".

Tam zobaczymy i tę „Drogę do Rosyi", gdzie lecąca wśród śniegu kibitka przelatuje

„ziemię, jak gdyby wczoraj stworzoną",

przelatuje krainę, co jest

„pusta, biała i otwarta,
Jak zgotowana do pisania karta".

Zobaczymy owe „przedmieścia stolicy", nad któremi

„Niebios sklepienie otwarte szeroko,
Bez żadnej chmurki, czcze, ciche i czyste,
Bez żadnej barwy, blado przeźroczyste,
Jak umarłego podróżnika oko".

Zobaczymy i ów gród, pod który:

„W głąb ciekłych piasków i błotnych zatopów
Wpędzono sto tysięcy palów".

I gdzie

„ulice wszystkie ku rzece pobiegły
Szerokie, długie, jak wąwozy w górach,
Domy ogromne: tu głazy tam cegły,
Marmur na glinie, glina na marmurach".

Tam zobaczymy i ów pomnik, wspomnieniem Puszkina żywy, pod którym dwaj młodzieńcy, co

„Znali się z sobą niedługo, lecz — wiele",

nakryci jednym płaszczem i jednym smutku kolorem, byli:

„Jako dwie Alpów spokrewnione skały,
Co je na wieki rozerwał nurt wody".

Tam zobaczymy i ów potężny plac, na którym, gdy „Przegląd“ się skończył, został ów sługa z szubą, sługa „znający jeden tylko heroizm...“

Tam zobaczymy i postać mistyczną Oleszkiewicza i owych to „przyjaciół Moskali“, do których poeta z oddalenia zawoła kiedyś mową, której „gorycz jest żrąca i paląca“:

„Wy! — czy mnie pamiętacie?“

Tam zobaczymy cały ten świat, gdzie

„Ogromny huragan wylata
Prosto z biegunów; niewstrzymany w biegu
Aż do Euxinu równinę zamiata,
Po całej drodze miecąc chmury śniegu“.

IX.

Kiedy Mickiewicz w 31 roku życia swego opuszczał Rosyę, indywidualność jego jako człowieka i jako poety dosięgła była pełni swojego rozkwitu.

Ideały przeszły już ogniową próbę cierpienia. Jasne były, czyste były, były dość silne na to, aby się stać opoką, na której świątynia ducha poety stanie w całem pięknie swoich nieśmiertelnych linii.

„Tęczowa kopuła“ duszy, myśl, nakrywała świątynię ową stropem wprost podniebnym; na ołtarzu świątyni palił się wielki, jasny płomień natchnienia.

Wyobraźnia wzbogacona widokami obcej przyrody, rozmaitością nowych nieznanych przedtem barw, świateł i dźwięków, uskrzydlana tęsknotą, ożywiona mnóstwem pobudzeń zewnętrznego świata, który nagle objął był poetę różnowzorą sferą wrażeń, z ludzi i rzeczy w niego bijących, miała w rozporządzeniu skarby, prawie że bajeczne. Nadewszystko zaś, owe głębokie pokłady uczuciowości, grunt istoty psychicznej poety stanowiące, gorzały teraz w sobie, jak gore szyb w ko-

palni, zduszonym, utajonym żarem, który gdy tylko powietrza zachwyci, buchnie w ogromne ognisko twórczości.

Cały ten wewnętrzny świat poety, tak bogaty, tak rozmaity, tak rozpłomieniony w sobie, rzucał na oblicze jego jakieś blaski duszy, jakąś łunę, która olśniewała oczy ludzkie i porywała serca. Stary książę Wiaziemski był tylko wyrazem powszechnego głosu, gdy mówił, że Mickiewicza pokochać musiał każdy, kto się do niego zbliżył, nietylko jako poetę, ale jako i człowieka także.

Bo tkwiła w duchu tym dobroć i prawie że bezprzykładna prostota, użyczająca obcowaniu z nim niezwykłego czaru.

Dość przeczytać listy Mickiewicza do poznanej w Moskwie Maryi Szymanowskiej, aby uczuć, jaka to atmosfera wytwornej swobody i towarzyskiego wdzięku wchodziła w progi ludzkie razem z tym wielkim poetą, co umiał i chciał uczynić się ludziom tak poufale, tak serdecznie blizkim. Ma przytem Mickiewicz tę rzadką wierność serca, która uczuciom jego nadaje ciągłość złotych, wskróś tkanki życia stale snutych nici.

Natłok świeżych, nowych wrażeń nie zobojętnia w nim wrażeń dawnych i wcześniejszych; a jeżeli stosunki z filomacką drużyną zwątlały nieco przy rozciągnięciu się przestrzennem, jakiemu uległy, to zwątlały nie od strony serca poety. On sam zawsze będzie wierny tym „złotym spójniom“ młodości, on wileńskim filomatą nazawsze zostanie.

— „Kiedy mam grosz“ — pisze w jednym z listów swych Mickiewicz — „przyjaciele mogą wziąć z niego trzy czwarte“. A jest to w ustach jego taka prosta, taka naturalna prawda, że ani mogłaby być inną.

Kiedy Aleksander Chodźko szuka w poecie oparcia dla swej dość wątłej twórczości — „Kochany chłopiec!“ — pisze Mickiewicz do Zana z wybuchem serdecznej radości — „mieszka prawie u mnie“. I dodaje: „Chwała Bogu! Wybił się on ze swego ciemnego stylu!“ Ale o tem, jak się to stało, że się z „ciemnego stylu wybił“, o swojej zasłudze — ani słowa. Kiedy mu znajomi przysyłają wiersze do przejrzenia, tak żywo czuje się dotkniętym ich niedoskonałością, że wprost

błaga i zaklina o wprowadzenie poprawek, czynionych nie z tą zimną uprzejmością, która zdaje się mówić: „ostatecznie, wszystko mi to jedno!“ ale z tem przejęciem się, z tem sercem, które chce wprost tchnąć w nieudolny utwór coś z własnej poetyckiej siły. Myśl jego obejmuje przytem ogromne horyzonty między-ludzkich stosunków i uczuć, horyzonty, które graniczą wprost z wizyą przyszłości.

Zaznaczają to biografowie Mickiewicza zgodnie, że poeta zetknął się z filozofią niemiecką odpornie jakoby, a tę odporność przypisują wpływowi Śniadeckiego, który wszelkiej mglistości przeciwny, odcisnął na umysłach wileńskiej młodzieży znamię kierunku matematycznego, poszukującego przedewszystkiem wartości obliczalnych, ściśle dowieść się i sprawdzić dających. Ale tak nie jest. Nie jest tak, gdyż wpływ Śniadeckiego na umysł Mickiewicza był zbyt krótkotrwałym, aby mógł aż tak silnie odcisnąć się na nim, to raz. A powtóre, wszak Mickiewicz wpływowi temu okazał się wręcz opornym, oznajmując, że „czucie i wiara silniej do niego mówią, niż mędrca szkiełko i oko“. Owszem. Ten protest przeciwko szkiełku i oku, a zatem przeciw odkrywaniu prawdy na drodze matematycznej pewności, objawia się bardzo wybitnie w całym kierunku duchowym poety.

Gdy jednak Hegel wydawał mu się „ciemnym metafizykiem“, a hegliści, gdy go „nudzili“; gdy Kant, podług niego „zawracał głowy“, a Schelling był „trudnym do zgryzienia orzechem“, musimy stwierdzić, że organizacya umysłowa poety była owej mglistości i owej spekulatywności filozoficznych głów niemieckich — także wręcz przeciwną i także oporną.

I to jest prawda. Tylko, że ta oporność wcale nie z wpływów Śniadeckiego poszła. Owszem, odgraża się Mickiewicz dopiero po paru berlińskich prelekcyach Hegla, że „na stronę Śniadeckiego przejdzie“. A więc nie stał dotąd na stronie Śniadeckiego. Aż do usłyszenia Hegla — nie stał.

Czy było to złem, jak chcą niektórzy krytycy, żałujący, iż Mickiewicz do studyów filozoficznych pociągniętym się nie czuł? Czy też było to dobrem? Ściśle rzeczy biorąc,

nie było to ani złem, ani dobrem. Było po prostu naturalnem, a zatem — koniecznem.

Poeta, genialny poeta, ma w sobie, nosi w samym sobie, jakąś, że tak powiem, przedwiedzę istoty rzeczy i wzajemnego ich do siebie stosunku. Znaczy to, że w chwilach duchowego podniesienia swego, wie on rzeczy, których nie dociekł:

„ani z ksiąg, ani z opowiadań,
Ani z rozwiązania zadań,
Ani z czarodziejskich badań".

ale które wiadome mu są na mocy właśnie jego wyjątkowej organizacyi psychicznej.

Ta przedwiedza jest jakby widzeniem wewnętrznem, jakby jeszcze jednym zmysłem, inicyującym genialnego poetę w sam rdzeń zagadnień życia i śmierci, Boga i natury, zagadnień, które właśnie stanowią najogólniejszy obszar dociekań filozoficznych. Widzenie to jest naturalne, proste, jakby na drodze porozumienia się z przyrodą samą osiągnięte i na ogromnie żywym stosunku współczuciowym do przyrody oparte. Wprost tak, jakby duch genialnego poety, sam będąc cząstką sił twórczych przyrody, w samowiedzy już własnej czerpać mógł ową przedwiedzę. I na tem to właśnie polega genialność jego.

Ale jeżeli podstawą przedwiedzy tej, jest bezpośredni stosunek współczuciowy poety z przyrodą, poeta musi się wręcz przeciwstawiać wszelkiej spekulacyi filozoficznej, na pośrednich logicznych wywodach opartej. On poprostu *wie*, widzi te rzeczy, których spekulacya owa właśnie *dochodzić musi* „z ksiąg i z badań" tudzież „z rozwiązania zadań".

A potem samo narzędzie myślenia i co za tem idzie, sam sposób pojmowania świata i stosunków jego bardzo jest w poecie i w spekulującym filozofie różny. Jakoż całokształt umysłu poety, jest — w najogólniejszym zarysie swoim — syntetyczny. On odrazu, na mocy owego pierwiastku współczuciowego z naturą, który istotę genialności jego stanowi, przerzuca się w wichrowym pędzie natchnienia na wyżyny

percepcyi, na które mozolnie, krok za krokiem wdziera się umysł analityczny i spekulujący, umysł który ich zresztą niezawsze dochodzi.

Poeta ogląda obraz cały tam, gdzie filozof widzi dopiero kamyki, mające ułożyć mozaikę. Indukcye filozofa to zaledwie odczytywanie po literce słów, które tam na wyżynach brzmią z piersi poety wielkim hymnem życia.

Wiadomą też jest i dowiedzioną rzeczą, iż wszystkie wielkie odkrycia, wielkie wynalazki, wielkie zdobycze myśli, tylko na drodze genialnej syntezy i jakby nagłego objawienia prawdy powstały. Śmiało tedy postawić możemy w jednym rzędzie: Newtona, Kopernika, Mickiewicza, Danta. Pierwsi z nich, to wielcy poeci wiedzy, którzy genialne syntezy swoje, sami na drodze matematycznego rachunku sprawdzili. Drudzy — to potężni myśliciele poezyi, których genialne syntezy sprawdza życie samo, sprawdzają pokolenia całe, a to sprawdzanie właśnie jest istotą ich nieśmiertelności.

A co jest prawdą na tę wielką, na tę największą miarę, musi być prawdą i na miarę mniejszą. Stąd idzie, iż żadna doktryna filozoficzna, sama w sobie ograniczenie swoje i swoją cząstkowość nosząca, nie może imponować poecie, na mocy genialności swojej posiadającemu przedwiedzę ogólnych i najwyższych prawd życia. Stąd też i w Mickiewiczu opór ten przeciw owczemu pędowi współczesnych za Kantem, za Schellingem, za Heglem. Stąd i to jeszcze, iż dopiero po długich rozmowach ze Stefanem Garczyńskim, heglistą w Berlinie poznanym, przedstawia się Hegel Mickiewiczowi pełniejszym treści. Garczyński bowiem, podatniejszy, jako słabsza organizacya twórcza, przyjęciu wpływów filozofii spekulatywnej, jako poeta przecież, własnemi syntezami filozofię tę w rozmowach owych rozjaśniał i uzupełniał niejako. Wcale tedy nie potrzeba rozdzierać szat o to, że Mickiewicz do studyów filozoficznych pociągniętym się nie czuł. Było, jak być musiało.

Ale podróż ta, w której się zrazu poeta zachwycał „zapachem wiosny i zielenią wiosny“, w której nietylko rozweselały go „świegoty ptasie“, ale i poufałości oberżystów, „klepiących go po ramieniu na popasach i noclegach“, staje się

wkrótce źródłem smutku i źródłem tęsknoty. Było to coś, jakby przeczucie poety, że oddala się od swoich — nazawsze. W Berlinie ma jeszcze „zacnych Poznańczyków“, którzy mu tam urządzają owacyjną ucztę; ma rozmowy ze Stefanem Garczyńskim, które zadzierzgają pierwsze węzły krótkiej, a przecież dozgonnej przyjaźni. Ale już potem zaraz pisze: „Sam chciałem tej podróży, a przecież smutno mi z myślą, że gdzie przyjadę nikt mnie nie powita, a skąd odjadę, nikt się nie zasmuci“. I znowu pisze: „Te kraje są bezludne dla mnie“.

Jest to coś, jakby reminiscencya usposobienia, w jakiem, za kowieńskich jeszcze czasów, czytając przyjacielowi świeżo przez siebie przetłumaczone strofy Child-Harolda, gdy doszedł do pełnych bezdennej melancholii słów:

„Na cóż mam płakać, za czem i po czem,
Kiedy nikt za mną nie płacze“

zbladł, zachwiał się i upadł zemdlony. Wtedy gwałt uczuć był po rozstaniu się z kochanką niezawodnie silniejszy, ale źródło goryczy, poczucie osamotnienia, było wciąż to samo. Tymczasem jednak zostawiał za sobą Mickiewicz, jakby smug świetlny wrażeń i uczuć, tak ludzie, z którymi się zetknął, czuli ten prąd siły genialnej, jaki w nich bił z poety. W Berlinie Gans uważa go za jedynego człowieka, który mógłby pojąć wielkie epos Napoleońskich wojen; w Pradze Hanka zaklina poetę, aby stworzył dramat z wojen hussyckich; w Wejmarze David d'Angers, który modeluje orli profil Mickiewicza, zdumiewa się słuchając wieszczych słów poety o powołaniu i o przyszłych losach Francyi.

Wszyscy ci ludzie, niezawodnie niezdolni byli wniknąć w ducha poety, co się już w owem poddawaniu tematów okazuje jasno, jeśli nawet nie będziemy brali w rachubę słów rzeźbiarza, który przy modelowaniu owem wprost zapytał: „Jak się to poemat tworzy?... Wszyscy oni jednak czuli, że zetknęło się z nimi coś potężnego, coś nieśmiertelnego w tym młodym wędrowcu. Nadewszystko uczuł to, zapewne więcej niż chciał przyznać, i stary Göthe w Wejmarze, kiedy

po widowisku, przedstawiającem I Część „Fausta“, patrzył w twarz Mickiewicza „przenikliwie, długo“. Musiało być w tem przenikliwem, długiem patrzeniu, coś jakby mierzenie siły swej z tą nową, a przeczuwaną potęgą. Wielka to szkoda, że niektóre ważne momenty tej podróży doszły nas tylko w relacyi Odyńca, jak np. owe wprost platońskie rozmowy: ta w drodze z Moguncyi do Darmstadtu o prawdzie w poezyi, lub ta na Lido, zaczynająca się od słów: „Czujesz kto tu jest z nami?“ słów jedynych, zachowanych wiernie; lub ta, we florenckiem Santa Croce, o znaczeniu ziemi w wszechświecie. Szkoda, że to wszystko znamy tylko jakby w zdrobnieniu, w pomniejszeniu, w pastelowem wygładzeniu, które odjęło im całą niemal siłę Mickiewiczowskiego ducha. Był niezawodnie Odyniec dobrym, serdecznym towarzyszem w drodze; ale jakże mu daleko do tej surowej powagi, do tej bezpośredniości, z jaką ścierał się niegdyś z duchem poety, duch Zana, albo duch Czeczota; że przypomnę tu tylko ów list z Orenburga do Moskwy pisany, na który odpowiadając Mickiewicz, wprost staje przed sądem ich cierpienia i ich miłości także. Ale teraz, mimo, że Odyńca ma za towarzysza, skarży się poeta na osamotnienie. „Nie mam tu takich związków, w jakich żyć przywykłem“, mówi. A w pustce osamotnienia tego, „ów polip co śpi na dnie“ w czas burzy, „a na ciszę długiemi wywija ramiony“, owa „hydra pamiątek“ z tem większą siłą „zatapia w nim swe szpony“. I oto na Splügen, w chwili kiedy Alpy na długo zasłonić mają północ przed wzrokiem poety, wybucha on przepyszną apostrofą zranionego serca.

„Nigdy więc, nigdy z tobą rozstać się nie mogę,
Morzem płyniesz i lądem idziesz ze mną w drogę.
Na lodowiskach widzę błyszczące twe ślady
I głos twój słyszę w szumach alpejskiej kaskady...
Spadający w otchłanie i niknący w chmurach,
Wstrzymuję krok, wiecznemi utrudniony lody,
I oczy przecierając z lejącej się wody,
Szukam północnej gwiazdy...“

Ale za Alpami leżała kraina, jeżeli nie zapomnienia, to nowych i silnych wzruszeń.

X.

Kiedy Mickiewicz, w liście do Franciszka Malewskiego mówi, że go Rzym „zagłuszył“, jest w tem powiedzeniu prawda, do której nie przyznałby się może poeta mniejszej miary, ale do której Mickiewicz przyznaje się z całą właściwą sobie prostotą. On, który, wskróś oparów mglistej Kampanii, ujrzawszy w zmroku listopadowym kopułę Świętego Piotra, zdjął czapkę, jak to czyni lud nasz, gdy mu zamajaczą wieże Jasnej Góry rzekł Odyńcowi: „Oto jest tyara świata“.

I tak jechał pogrążony w zadumie, tych jeszcze może nowogródzkich czasów myślą sięgając, kiedy Rzym, bohaterowie Rzymu, to były równoznaczniki najwyższych ideałów, i kiedy sam Mickiewicz i marzyć o tem nie śmiał, aby kiedykolwiek mógł być w Rzymie.

Ten właśnie natłok dawniejszych uczuć z natłokiem nowych wrażeń zmieszany, sprawił, że Mickiewicz czuł się zrazu „zagłuszonym“ w Rzymie.

To zagłuszenie widne jest nadewszystko w tem, że poeta z Rzymu, o Rzymie nawet do najbliższych niewiele pisze. Są w listach jego z epoki tej małe tylko wzmianki, to o kopule św. Piotra, że mu „nakryła wszystko, co przedtem w drodze tej widział“; to o muzeum watykańskiem, które wydaje się poecie „prawdziwem miastem posągów, zawalonem sarkofagami, a inskrypcyami tynkowanem“, ale nigdzie śladu ciągłości wrażeń, stopniowania wrażeń, ogarnięcia wrażeń.

„O Rzymie trudno pisać“ — mówi Mickiewicz w liście do Franciszka Malewskiego. — „Byron, jak Horacyusz Cocles, wielkim krokiem most na Tybrze już zajął“.

Ale to nie był powód milczenia, ani istotny, ani też jedyny. Istotnym był ten: „Nadtom widział, myślał, żądał“ — co poeta wypowie także w jednym z listów do Malewskiego, gdy będzie mógł nieco wrażenia swe ogarnąć. Teraz

przechodzi on Rzym „szybkim krokiem turysty“, „rzuca okiem tu owdzie“, „zatrzymuje się na chwilę przed Apollinem, Laokoonem, Zapaśnikiem, czyta „Liwiusza ze szczególną rozkoszą“, a „wieczorem ogląda miejsca, o których czytał rano“. Niebuhr, Gibbon i „Winckelmaniści“ także mu „zabierają dużo czasu“. Chaos sprzecznych materyi i sprzecznych poglądów rzuca go od bohaterskiego Rzymu do Rzymu nieśmiertelnego piękna. Ogrom materyału „głowę mu zawraca“. — „Przed wiosną nietylko pisać, ale i myśleć nie zdołam“ — wyznaje w parę miesięcy po przybyciu do wiecznego miasta.

Ale oprócz tego natłoku wrażeń był inny także powód rozerwania czasu i myśli poety: to był natłok stosunków towarzyskich. Zaledwie Mickiewicz stanął w Rzymie, zaledwie miał czas rzucić okiem na kościół św. Piotra, na Watykan, a zabiedz na jedną chwilę na Kapitol i na Ara-Coeli, kiedy już go te stosunki chwytają, już go opasują coraz szerszem kołem.

Punktem wyjścia dla jednych są salony zimowe księżnej Zeneidy Wołkońskiej w Palazzo Ferruci, punktem wyjścia dla innych jest dom Ankwiczów na via Mercede.

Poznaje się Mickiewicz w Rzymie z Horacym Vernetem, z Thorwaldsenem, z Fenimorem Cooperem, z rodziną Chlustinów; poznaje się z ks. Chołoniewskim, z Wł. Zamoyskim, z Wojciechem Statlerem, z Sanguszkami.

Niektóre z tych stosunków kończą się przelotnem wrażeniem; inne jak z rodziną Chlustinów np. czemś w rodzaju zaprzyjaźnienia się trwalszego. Inne, jak z ks. Chołoniewskim i z rodziną Ankwiczów, zostawią ślad głęboki w duszy poety. Jeszcze inne, jak znajomość z Overbeckiem np., są jakoby „zetknięciem się dwóch płomieni“, jakby „spotkaniem znajomych, odwiecznych duchów“ — jak powiada Stattler.

Samo nawet zwiedzanie Rzymu odbywa się na tle stosunków owych. Kościoły, muzea, galerye, wille, ogrody, zwiedza Mickiewicz już to z rodziną Chlustinów, w której piękna panna Anastazya rej wodzi; już to z panną Henryetą, jedynaczką hr. Ankwiczów, i z jej towarzyszką, panną Marceliną Łempicką. Czy podobna w takiem otoczeniu skupić się, być

sobą? Lecz i w tych nawet warunkach Mickiewicz, według świadectwa współczesnego listu, „czynił się nagle wielkim i nowym w myślach“, jakby odkrywając mimowoli promienność ducha swojego z pod codziennej odzieży powszechnego obcowania z ludźmi.

Nie w tych wszakże wycieczkach po muzeach i ogrodach Rzymu szukać mamy ducha Mickiewicza. Objawia się on raczej w tych wieczornych pogadankach na „Piazza Spagna“, gdzie się u Strzeleckiego, filologa i archeologa, schodzili: Stefan Garczyński, który już wtedy „Wacława“ swego w tajemnicy tworzył, ks. Parczewski, Niegolewski, Stattler, Poletyłło, Wodzicki, i gdzie „Mickiewicz otaczał się kłębami dymu jak obłokiem“ gdzie się „najżywsze budziły rozmowy“, od Hegla, którego bronił Garczyński, a od Hegla do „najmilszej pogadanki o starych czasach i o kraju“. „Stamtąd to — mówi dalej Wojciech Statler — „udawaliśmy się nieraz późną nocą na stare Forum, lub do Colosseum, a Mickiewicz siadał tam, jak pielgrzym, pod drewnianym krzyżem na środku areny będącym, i skupiał się w sobie, wzniósłszy oczy ku czworokątnym otworom najwyższych pięter amfiteatru, przez które patrzył czysty błękit“. — I to był ów prawdziwy Rzym, jaki przemawiał do ducha poety, Rzym Liwiusza, Rzym Piotra i Pawła, Rzym wielkości duszy i bohaterstwa wiary. Jest rzeczą pewną niemal, że pierwsze drgnięcie twórczego czucia i twórczej myśli, z których powstać miał wiersz „do matki Polki“ przyszło poecie w chwili takiego właśnie skupienia się w sobie pod krzyżem, na arenie Colosseum stojącym.

Jest to bowiem jedyna chwila psychologicznie z treścią wiersza owego związana. Chwila, gdy się poecie „wpatrzonemu w czysty błękit, przez otwory najwyższych piętr amfiteatru, świecący amfiteatr ten rozszerzał w oczach i rozdłużał nagle, na miarę czucia z tem, co było blizkie, choć dalekie.

Więcej nawet: samo owo zakończenie wiersza, o „długich nocnych rozmowach“, stawia go w związku z owemi długiemi nocnemi rozmowami na „Piazza Spagna“ u Strzeleckiego, w gronie „rodaków“, po których to rozmowach „nieraz — jak mówi Statler — do Colosseum szli“.

Mógł wiersz ten być napisanym później, nie przeczę. Mógł poeta pod nim datę swej genueńskiej podróży położyć. To było tylko dobycie z głębin ducha na jaw tej treści, która w zarodku już tkwiła w nim, już wołała życia. Sam nawet szafir tego morza, które poetę na fali swej niosło, mógł w nim wywołać potrącenie, odżycie owej w nim kolizejskiej wizyi, błękitem najwyższych piętr amfiteatru nakrytej i wizyę ową w wybuch natchnienia zamienić.

A nie potrzeba było do tej inspiracyi, świeżo otrzymanych wiadomości o śmierci Daszkiewicza i Sobolewskiego. Bo w tym niedużym wierszu mieści się o wiele więcej obrazów, niż ich mogła i śmierć ta w szczególności i dola filaretów wogóle dostarczyć. To wrażenie zresztą, ono się już odbiło w rozpaczliwem pytaniu, jakie poeta zadał losom w jednym z listów swoich:

„...Więc tak po jednemu umierać będziemy?...

Na tle takiego to Rzymu i na tle takich to wzruszeń z areny Colosseum i z Forum czerpanych, zrozumiałym się staje wpływ, jaki ksiądz Chołoniewski wywarł na poetę, w czasie samotnych przechadzek po Monte Pincio przez rozmowy swoje, a Lammenais, przez książkę swoją, przeciw religijnemu zobojętnieniu walczącą.

Ściśle rzeczy biorąc, zobojętnienie takie, jeżeli było w poecie, nie sięgało nigdy głębin jego duszy. W głębinach tych, w potężnym pokładzie uczuciowości Mickiewicza, tkwiła oraz zasada, tkwił pierwiastek wzruszeń religijnych. Same już akty twórczości, w pokładzie tym właśnie wytrysk swój mające, zbyt często trzymały poetę nad ziemią niejako, w polocie czującego boskość swych początków ducha, aby duch ten mógł zagrzęznąć w obojętności na rzeczy, które „nie są z tego świata". A jeśli nawet Konrad skarży się w III Części „Dziadów", że

„dawno nie wie, gdzie jego podziała się wiara"

to wiarę tę rozumie od strony praktyk religijnych, ale nie od strony religijnych uczuć, tak w nim żywych, że na sam

dźwięk piosenki Jankowskiego, w której śpiewak powtarza imiona „Jezusa i Maryi“, zrywa się on ze swej zadumy, wołając:

„Od tych imion mi wara!“

on, który się „nie miesza do wszystkich Świętych z litanii“.

Nie miała tedy, jak się zdaje, i panna Marcelina Łempicka wielkiej pracy z tem, żeby Mickiewicza do spowiedzi skłonić. Wszakże on sam już z siebie „przeraża się“ jej pokorą, gdy panna, po przyjęciu komunii „spuszcza oczy, które bóstwem gorą“. A ten wiersz, ta seraficzna wizya „klęczącej przed Barankiem Bożym“, której „jutrzenka usta modlące się stula“, jest jakby jednym z tych starych obrazów, do których malowania prerafaelici gotowali się modlitwą i skruchą.

Tymczasem przybycie Henryka Rzewuskiego ożywiło niezmiernie nastrój towarzyski kolonii polskiej w Rzymie i nastrój samego poety.

Coś jędrnego, coś swobodnego powiało teraz na te trochę rozwinkelmanione i trochę skatakumbowane dusze. Rzym, nawet od strony Liwiusza i Colosseum wdychany, nie może tworzyć na długo atmosfery właściwej życiu i ruchowi myśli do życia się rwącej. Pomyślmy tylko, że była tam chwila, gdy Mickiewicz stanął na progu wahania: czyby nie lepiej było księdzem zostać? On, który już i tak od Boga wysokie święcenia na kapłaństwo pieśni wziął, i już krzyż kapłaństwa tego nosił, i chlebem anielskim pieśni dusze ludzkie obdzielał!

Otóż śmiało powiedzieć można, iż Rzewuski przeważył szalę wahania tego, szalę, na której ciężył i wpływ Lammenais'ego i rozmów na Monte Pincio, w których ks. Chołoniewski „nowe widoki świata“ poecie ukazywał, a nadewszystko wpływ kwietyzmu atmosfery samego Rzymu, „tego boskiego miejsca, w którem nic nie umiera“ — jak mówi Mickiewicz. I w którem — niech mi to będzie wolno dodać — nic także pełnią życia, nie żyje.

Rzewuski tedy, już w Odessie i w podróży na Krym z poetą zbliżony, zerwał niejako ten urok, to oczarowanie,

jakiemu duch Mickiewicza ulegał w atmosferze owej. Świeżość wrażeń, nowin, tego czegoś swojskiego, co przylega do człowieka i razem z nim na obczyznę idzie, dając niejako nam woń ojczyzny; wielka żywość umysłu, wyborny dar opowiadania, w którem z mozaiki słów tworzyły się odrazu żywe wizerunki i ludzi i rzeczy, rozległa pamięć obejmująca szeroką sferę stosunków i wydarzeń szlacheckiego życia, indywidualność także wskróś szlachecka, z wszystkiemi tradycyami, anegdotami, z całą jowialnością tego typu doskonale obyta i sama wiele tych cech mająca, wszystko to czyniło z Rzewuskiego nieporównanego kompaniona do gawęd „o domu", a zarazem ożywcze źródło, w którem się myśl poety z pyłów wiekowych otrząść i opłukać mogła. Łatwo też zgodzić się z tem powszechnie znanem przypuszczeniem, że gawędy Rzewuskiego, przyszłego autora „Pamiątek Soplicy, miały wpływ — pośredni i dalszy wprawdzie — ale zawsze znaczący, na zawiązek pomysłu „Pana Tadeusza".

Zachwycał nadewszystko Mickiewicza „styl" gawęd jego, który poeta nazywał „świeżo ze wsi wziętym".

„Słuchając go — pisze Mickiewicz do Franciszka Malewskiego — czuję, jak wiele tracę przez niedostatek książek polskich, a co gorsza — polskiej rozmowy. Jakbym chciał wszystkich języków zapomnieć". A do Witwickiego pisze: „Czuję głód rzeczy polskich".

Istotnie, tęsknota poety wzmagała się nietylko przez sam czas, ale i przez takie odnowienie, odświeżenie lubych, swojskich wrażeń.

„Wyjeździł Włochy wzdłuż i wszerz, od Sycylii do Alpów", „obszedł Alpy", „był w środku lodowisk, gdzie się zaczynają Ren, Rodan i wszystkie wielkie rzeki Europy", „był na górach, z których widać dwanaście jezior i kilka krajów"; „słyszał walące się lawiny i grzmiące kaskady" — jak w liście do Czeczota mówi — a tęsknota wciąż rosła i rosła.

„Zaczynam czuć co to wygnanie" — pisze. I znowu pisze: „Częściej niż dawniej napada mnie tęsknota do kraju". I jeszcze: „Tęsknię do śniegów, do lasów", a kiedy opuszcza

Włochy — „z rozkoszą, ze łzami witałem — pisze — północną roślinność, zieloną trawę i jodły".

Tęsknota, jako tło życia poety, była już tłem dawnem; wszak to już szósty rok szedł, od chwili, gdy Mickiewicz Wilno opuścił; ale owo tło i na słońcu południa wyblaknąć nie chciało.

Echa, które z tamtej strony Alpów przylatywały od swoich, od blizkich, żarzyły jeszcze powolny a trawiący ogień nostalgii w poecie. Nowiny nie były z tych, po których wskróś własnego smutku, mówi się z westchnieniem ulgi: „Chwała Bogu, że im choć jest dobrze". Takiemi one nie były. Owszem, nieraz po otrzymanych, gorąco oczekiwanych listach, chciało się poecie biedz, lecieć przez te Alpy, być razem.

„Razem", owo jasne hasło „Ody", powraca teraz do duszy poety męką daremnego pragnienia

„Czyliż tak *po jednemu* umierać będziemy?"

Ta myśl, ta skarga nurtuje w nim jak trucizna.

A i to zaznaczyć trzeba, że znajomość poety z domem Ankwiczów więcej mu zgotowała goryczy, niźli słodkich wzruszeń.

Niewiadomo i nawet wątpić o tem wolno, czy rzeczy te istotnie miały taki przebieg, jak to utrzymują ci, którzy w historyi nieszczęsnego Jacka Soplicy i pięknej Stolnikówny Ewy, chcą widzieć odbicie dramatu rozegranego częścią przy Via Mercede w Rzymie, a częścią w Medyolanie, pomiędzy poetą a rodziną Ankwiczów. To pewna, że owo wspólne zwiedzanie osobliwości rzymskich zimą, a wiosną wspólne wycieczki do Tivoli, do Albano w góry, do Genzano, gdzie powstał ów wiersz o pannie Łempickiej pisany, do Subiaco, że to wszystko nietylko uczyniło poetę poufałym w domu Ankwiczów gościem, ale wznieciło także między nim a córką domu żywą i wzajemną sympatyę.

Nie była to zapewne miłość: ze strony Mickiewicza przynajmniej — nie była.

„W tym lesie, po którym przeszła pożoga", — że przy-

pomnę tu jeszcze słowa Zana — nie łatwo było o zieleń i kwiecie.

Ale, jeśli nie było miłości tak wielkiej jak ta, która się stała tragedyą życia poety, było uczucie dość żywe, dość silne, aby na niem oprzeć zamiary małżeństwa.

Otóż właśnie zdradzenie się poety z zamiarami temi, lubo niejasne, lubo może ograniczające się na tem, co wyraz swój znalazło w wierszu „do mego Cicerone w Rzymie", samo owo zdradzenie się, było prochem rzuconym na starodawną pychę hrabiego Ankwicza. Pychę, której obrazem jest właśnie stolnik w stosunku swoim do Jacka Soplicy.

Jeśli tu więc był dramat, to rozegrał się on na gruncie milczącego starcia się dwóch sił, dwóch ambicyi, równych mocą, chociaż nierównych wartością, dumy poety i pychy utytułowanego pana.

Co do córki, wiemy, iż musiała trochę płakać, albo przynajmniej mówić o płakaniu, skoro Mickiewicz, żegnając ją, już w Porta Pia w danym na pamiątkę notesiku wpisał: „Wyjeżdżamy z Rzymu. Będziemy zdrowi". (Panna Ankwiczówna wątłego była zdrowia). — „Nie będziemy płakać ani we dnie, ani w nocy".

Słuszną uwagę czyni syn poety, że „tak się mówi do rozpieszczonego dziecka" — które zresztą może być bardzo miłem dzieckiem — „ale nie do uwielbianej kochanki".

Uwielbianą kochanką, tą, z którą „tam gdzie płakał, i gdzie się z nią bawił, poeta wszędzie cząstkę duszy swej zostawił" — tą kochanką młodości poety była i pozostała na zawsze Maryla. A kiedy Mickiewicz w jednym z listów, już po tej rzymskiej goryczy z Ankwiczami, pisanym, mówi: „Nikt miejsca jej w sercu mem nie zajął i nigdy nie zajmie" jest to bardzo żywa i bardzo prawdziwa prawda.

Wie o tem Maryla, gdy w odpowiedzi na list ten i dziękując za przysłany sobie różaniec z Rzymu, pisze proste i tkliwe słowa, w których znać, że miejsce dawnego sentymentalizmu zajęło wyidealizowane rozłąką i sławą poety uczucie. Jedyny ślad dawnej Maryli został w słowach: „spal

te bazgroty" — w słowach, kłócących się z czystą i jasną treścią tego listu.

Ale poeta go nie spali.

Napisze on kiedyś na już pożółkłej, kto wie jak długo na sercu noszonej ćwiartce: „Ostatni list Maryi". A napis ten będzie do nas mówił głosem miłości chowanej — do grobu.

XI.

Kiedy Mickiewicz, po zimie w Wielkopolsce spędzonej, na wiosnę 1832 r. do Drezna przybył, zastał tam prócz Antoniego Góreckiego, Odyńca i Garczyńskiego Stefana, także Ignacego Domejkę: mały świat swojski, odrębny, którego zamknięciu się w sobie sprzyjało bardzo ciche Drezno, a który przecież obejmował tak wiele i tak żywych wzruszeń. W myślach, w uczuciach tych zwłaszcza z drużyny, którzy w świeżych wypadkach krajowych osobisty udział brali, zostało jakieś wrzenie, szukające ukołysania w długich rozmowach, w opowieściach zdarzeń, nadziei, zawodów. Szczególnie tragiczną nutę do rozmów takich wnosił Stefan Garczyński, który chory będąc w Rzymie, porwał się nagle i jakby cudem odzyskawszy siły, rzucił się późną jesienią za Alpy. Teraz wrócił. Teraz wypalało się w nim życie żarem beznadziejności z jaką powtarzał: „żyw jestem, ale gdybym wiedział byłbym śmierć przymusił".

Na tle takich to rozmów, dumań, opowieści, powstać miały krótkie, silne w swym nastroju fragmenty, w których poeta, rozpierzchłe barwy słów zbierał w jeden przejmujący obraz. Tak powstać miała „Śmierć pułkownika", „Nocleg", „Piosnka żołnierza", a nadewszystko ta ogniem i dymem buchająca „Reduta", która jest apoteozą i klęski i bohaterstwa zarazem.

Teraz wszakże, szczególnie ważnem dla Mickiewicza było zobaczenie się z Ignacym Domejką. Wracał z nim poecie jakby kawał żywej przeszłości, jakby kawał Litwy, kawał wileńskich i kowieńskich czasów.

W bezpośrednim też związku z tym powrotem stoi niezawodnie podjęcie na nowo przekładu „Giaura“, zarzuconego przez Mickiewicza od owych czasów właśnie. Nawiązała się tym sposobem nić ciągłości pomiędzy światem dawnych, spółczesnych pracy około przekładu tego wrażeń, a obecnym stanem ducha poety. Nawiązanie było tak silnem i tak bezpośredniem, że wiele wypadków lat ostatnich, wydało się teraz Mickiewiczowi snem jakby, po którym zaczynał się wprost dalszy ciąg rzeczywistości, snem owym przerwanej.

Ale w tej podniecającej w wysokim stopniu atmosferze, jaką teraz poeta w kółku przyjaciół oddychał, „Giaur“ nie mógł długo zajmować umysłu jego. Wypierał go Mickiewiczowi z pod pióra nawał przypomnień, myśli, uczuć, nawet pobudzeń twórczych.

Owa nić ciągłości wrażeń, pomiędzy sercem poety a wypadkami z czasów wileńskich nawiązana, naprężyła się nagle, spotężniała, stała się żywą i dźwięczącą struną, po której przelatywał już wicher natchnienia, mający porwać ducha poety w pęd nieśmiertelnych pieśni, stała się struną III Części „Dziadów“.

Część ta, której treścią są wypadki 1823 roku, ze sprawą filarecką związane, odsłania nadto przed nami istotę ducha samego poety, nie w odbiciu pieśni, nie w tem co śpiewa, ale w nim samym, w jego własnej treści, w tem, przez co jest i narzędziem i źródłem pieśni zarazem.

Mamy tu więc przed sobą dwa ogromne światy. Świat wypadków zewnętrznych i świat wewnętrznych przemian i poruszeń ducha. Daje nam w nich poeta nietylko przedmiot i owoc twórczego natchnienia, ale rozjawia przed nami tajnie samego aktu twórczości, tajnie samego natchnienia: daje nam sam siebie. Jakie były bliższe zarysy ogólnego planu „Dziadów“, o tem wiemy nietylko to, co nam powiada poeta, mówiąc: „Chciałbym uczynić z „Dziadów“ jedyne dzieło moje godne czytania“. Wiemy o tem i to także, iż ściany kaplicy wiejskiej, w której guślarz wywoływał duchy, już w tej III Części rozszerzone znacznie, jeszcze bardziej rozszerzyć się miały. Że miały objąć sobą ogromne przestrzenie borealne,

aż do ziem Anhellicznych, i niemniej ogromny obszar cierpień, które w sercu poety ognisko swe znalazły.

Łącznikiem pomiędzy III Częścią „Dziadów“, a temi które dawniej już utworzone zostały, a także temi, które przyjść miały z czasem, lubo już nie przyszły, jest duch samego poety, wielki nieśmiertelny guślarz, wywołujący przed nas nieśmiertelne widma.

Żaden z poetów świata nie wzniósł się do takiej plastyki i bezpośredniości w odmalowaniu przemian swoich duchowych, do jakiej wzniósł się Mickiewicz w tej prostej scenie prologu, kiedy więzień zbudziwszy się ze snu, wstaje i pisze węglem na ścianie z jednej strony:

D. O. M.
GUSTAVUS
Obiit M. D. CCC. XXIII
Calendis Novembris.

a z drugiej:

Hic natus est
CONRADUS
M. D. CCC. XXIII
Calendis Novembris.

Jest to inwencya tak potężna w swej prostocie i w swej doraźności, że równa się wprost jakoby aktom natury samej, które obwieszcza, aktom śmierci i narodzin.

Istotnie, przełom taki w duchu poety był, stał się, istniał, i tylko na rzeczywistej istnienia tego prawdzie oparty, mógł poeta dosięgnąć i prostoty i tej potęgi razem.

Umarł Gustaw. Umarło serce własnym bólom i własnej miłości oddane. Umarł ten, który kwilił i płakał po straconem osobistem szczęściu. A to, co było słabe, ziemskie, rozdwojone w sobie i buntujące się przeciw bólowi życia — umarło z nim razem.

Narodziła się moc życia i ofiara życia. Narodziła się świadomość siebie, potęga, która Boga samego wyzwie do „walki na serce“.

Narodził się Konrad. Narodziła się pieśń nieśmiertelna, która jest oraz nieśmiertelnym czynem. I oto jesteśmy u progu wielkiej „Improwizacyi".

Nie wiemy jak powstawały dzieła Mickiewiczowskie, z rozwagą i świadomością artystyczną tworzone. Nie wiemy, czy i w jakim stopniu były one owocem wysiłku władz twórczych poety. Ale mamy wiele i na przestrzeni długich lat zebranych świadectw współczesnych, że te dzieła jego, do których w pierwszej linii należy wielki monolog Konrada, były wprost wybuchem jednorazowego natchnienia.

Natchnienie to, wylewające się jak wody wezbranej rzeki, jak lawa wulkanu, było nietylko duchowem przemienieniem poety, ale zostawiało na jego obliczu niezatarte piętna. Wszystkie współczesne, dotyczące chwil takich relacye zgadzają się w tem, że wybuch poprzedzała jakby głucha i martwa zaduma, odpowiadająca cofnięciu się w siebie wszystkich władz psychicznych poety. Twarz jego bladła, oczy zdawały się przebijać ziemię, przymkniona i zagasłą źrenicą. Nagle wzrok się zapalał, sypał iskry, oblicze stawało się nieziemskiem prawie, a z ust poety wybuchała pieśń natchniona z potęgą żywiołową, druzgocącą niemal narzędzie samo pieśni, samego poetę. Takim był, kiedy improwizował w Wilnie, w domu przy zaułku Św. Kazimierza. Takim, kiedy u Bułharyna, w Petersburgu wyrzucał potężne rapsody, improwizując dramat o Zborowskim; takim był w innych i jeszcze innych chwilach, które tu pomijam. Takim też będzie w Paryżu, kiedy na uczcie u Januszkiewicza wybuchnie jak wicher i jak płomień, i porwie serca ludzi na wyżyny, z których gdy spadną, nie będą wprost wiedzieli co się z nimi stało. Tylko łzy po twarzy płynące, tylko ramiona w uścisku złączone, tylko jakieś ogromne światła w duszy mówić im będą, że przebyli zaświatową chwilę.

Wybuchy te nie były równomierne. Nie obejmowały też jednej sfery natchnień. Wszystkie przecież powstawały z jednego źródła, wszystkie wytrysły z owych głębokich pokładów uczuciowości, stanowiących grunt i fundamenty duchowego życia poety. Ona to, ta uczuciowość właśnie, była

materyą podobnych wybuchów natchnienia: ona była tą lampą kipiącą z serca poety, razem z życiem zda się.

Więc kiedy nam Odyniec powiada, że rankiem, po nocy tej, w której powstała Improwizacya Konrada znalazł Mickiewicza w omdleniu na ziemi leżącym, nie jest nam to dziwnem. Wiemy już, że przeszedł po nim burzliwy wicher natchnienia, że porwał go, uniósł pędem ogromnego wybuchu uczuć, a wyrzuciwszy z piersi poety pieśń nieśmiertelną, omal, że samego narzędzia pieśni nie zdruzgotał.

Co to jest ta Improwizacya Konrada? Jestto druga scena Drezdeńskiej Części „Dziadów“, w której Konrad zostawiony sam w celi więziennej, zagłębia się w swej istocie, dobywa z niej swoje twórcze siły, ogniskuje siły te w czującem i cierpiącem za miliony sercu, i w najwyższym wzlocie ducha, w najwyższem napięciu uczuć, staje przed Bogiem, w całej potędze geniuszu, miłości i cierpienia, aby wymódz na Nim tą potrójną mocą szczęście dla braci, a „rząd dusz“ dla siebie.

Idea prometejska w zasadzie: tylko, że nie na pożądaniu światła dla wszystkich, ale na pożądaniu szczęścia dla blizkich oparta, i nie podstępem walcząca, ale walcząca miłością. Jakoż pierwiastki uczuciowe, które tę wielką Improwizacyę stworzyły, już dawniej szukały wyrazu dla uzewnętrznienia się.

Datujący z Rzymu jeszcze pomysł Prometeusza, który poetę w czytaniu Eschylosa zagłębił, a miał być pojęty nowocześnie jako walka ducha ludzkiego z sił wyższych potęgą, — ten pomysł już musiał być wynikiem dobywania się na zewnątrz, i żywszego ruchu pierwiastków owych. Ten pomysł to była przygrywka jakoby do Improwizacyi i to przygrywka znacząca.

Wiemy teraz, że kiedy flet Frejenda się odezwie, a „Konrad“ pobladłszy nagle mówić zacznie:

„...wznoszą się... lecę...“

wiemy, że wyleci on:

„Z planet i gwiazd kołowrotu“,

że dojdzie tam,

„...gdzie graniczą Stwórca i natura“

i że ta droga jego będzie prometejską drogą.

Istotnie. Wielka Improwizacya Konrada obejmuje sobą najwyższe pierwiastki prometejskiej dramatyczności i z tego punktu rozważać ją trzeba. Jestto potężny dramat, rozegrany pomiędzy najwyższym z duchów stworzonych a Stwórcą, arena zaś dramatu tego przeniesiona „za granice świata“, godną jest jego nieśmiertelnej akcyi.

Akcya ta, wstępująca po szczeblach coraz wyższej dramatyczności, na pierwszym już z nich uderza potęgą swoją. Ten pierwszy szczebel, to przeciwstawienie się poety reszcie ludzkiego świata; to wieczna kolizya uskrzydlonych i poziomych duchów, kolizya, prowadząca wprost do uczucia osamotnienia, do tej wielkiej Tebaidy wieszczów i myślicieli.

„Samotność! Cóż po ludziach? Czym śpiewak dla ludzi?
Gdzie człowiek, co z mej pieśni myśl całą wysłucha,
Obejmie okiem wszystkie promienie jej ducha?“

A jeśli poeta zapytuje gdzie taki człowiek? — teraz, w lat swoich i pieśni swoich południu, to znać, że szukał on go i dawniej, nieraz może mniemał, że znalazł, zawiódł się i wie teraz, że

„Nieszczęsny, kto dla ludzi głos i język trudzi“.

Ale osamotnienie to nie jest ani narzuconem, ani cierpianem tylko: ono jest dobrowolnie przyjętem, w uznaniu konieczności jego, przy nazbyt wielkich, nazbyt rażących różnicach między duchem poety a światem ludzkim wogóle i w tem właśnie leży tragiczność osamotnienia tego.

„Wam, pieśni, ludzkie oczy, uszy niepotrzebne...“

Ale poeta przeciwstawić musi ducha swego i jego moce nietylko tłumom ludzkim, od których go samotność dzieli. On musi je przeciwstawiać i samemu sobie jako ułomnemu

narzędziu tych mocy. I tu wstępuje poeta na drugi szczebel dramatyczności w swej Improwizacyi.

Treścią, żywiołem jego natchnień jest myśl i uczucie:

„...Myśl, z duszy leci bystro nim się w słowach złamie.
A *słowa* myśl pochłoną i tak drżą nad myślą,
Jak ziemia, nad połkniętą niewidzialną rzeką,
Z drżenia ziemi, czyż ludzie głąb nurtów docieką,
Gdzie pędzi, czy się domyślą?...
Uczucie krąży w duszy, rozpala się, żarzy,
Jak krew, po swych głębokich, niewidomych cieśniach..."

Ile krwi tylko ludzie widzą w mojej twarzy,
Tyle tylko z mych uczuć dostrzegą w mych pieśniach".

Jest to tragiczny stosunek siły natchnień, do ich zewnętrznego wyrazu; siły ducha wieszczego, do środków jakich mu dostarcza materya; siły pieśni, do narzędzia pieśni. Poeta z nadludzką niemal siłą wznosi się ponad ten tragiczny szczebel swego prometejskiego pochodu, w wielkiej, rezygnującej z poklasku świata apostrofie do pieśni swoich, do tych najpotężniejszych, do tych, które nigdy wyśpiewanemi nie będą

„...Płyńcie w duszy mej wnętrznościach,
Świećcie na jej wysokościach,
Jak strumienie podziemne, jak gwiazdy nadniebne".

I oto tym jednym rzutem ducha, tym jednym aktem abdykacyi wzbija się poeta na najwyższy szczyt świadomego siebie natchnienia. Widzi on teraz, ogląda, poznaje i własną moc twórczą, i sam akt tworzenia w warunkach doskonałej odpowiedniości i zgody między siłą inspiracyi a wyrazem jej zewnętrznym. Zgody, której nie znalazł tam, na ziemi, poeta-człowiek, ale którą poeta-duch znalazł tutaj „za granicą świata", gdzie słowa nie pochłaniają ni myśli, ni czucia, gdzie owszem i myśl i czucie same przez się, bezpośrednio stają się muzyką ducha, stają się nieśmiertelną pieśnią bez słów, z dźwięków tylko złożoną, z dźwięków, z których każdy

„razem gra i płonie".

A tak stanął teraz wieszcz-duch w swej Dawidzkiej mocy przed ogromną harfą wszechświata, której struny od gwiazd do gwiazd przeciągnięte, świecą i dźwięczą nieśmiertelnem pieniem. Oto w poczuciu najwyższem własnego szczęścia i własnej mocy wieszcz „śpiewa w sobie".

„Śpiewa samemu sobie,
Śpiewa sam... sam słyszy swe śpiewy
Długie, przeciągłe, jak wichru powiewy"...
...Ty Boże, ty naturo dajcie posłuchanie!
Godna to was muzyka i godne śpiewanie! —
Ja mistrz!
Ja mistrz wyciągam dłonie
Wyciągam aż w niebiosa i kładę me dłonie
Na gwiazdach...
...Milion tonów płynie: w tonów milionie
Każdy ton ja dobyłem, wiem o każdym tonie
Zgadzam je, dzielę i łączę,
I w tęczę, i w akordy i w strofy plączę.
Rozlewam je we dźwiękach i w błyskawic wstęgach...
...Boga, natury godne takie pienie!...
Pieśń to wielka, pieśń-tworzenie.
Taka pieśń jest siła, dzielność,
Taka pieśń — jest nieśmiertelność".

Gdyby najwyższą mocą Mickiewicza był geniusz jego, tutaj, na tej wyżynie uświadomienia sobie swej potęgi twórczej, kończyćby się mogła ta „Improwizacya" i niezawodnie tu by się kończyła, dając naczelne miejsce poecie w wszechludzkim panteonie wieszczów.

Ale geniusz nie był najwyższą siłą Mickiewicza. Jego najwyższą siłą, płomieniem, życiem, duszą geniuszu jego była— miłość. Samo tedy podniesienie się do wyżyn świadomości swej potęgi twórczej, sama rozkosz śpiewania „samemu w sobie i dla siebie" — „czucia nieśmiertelności" i „tworzenia nieśmiertelności", sama rozkosz dobywania z siebie tych dźwięków,

„...które lecą,
Rozsypują się po niebie,
Toczą się, grają i świecą“ —

ta rozkosz nie mogła być celem poety ostatecznym „gdy rzucił ciało i tylko jak duch wziąwszy pióro“ — „wyleciał z planet i gwiazd kołowrotu“. Ta prometejska droga, mogła mu dać na wyżynach nadziemskiego czucia takie odetchnienie, taką rozkosz świadomości pełni sił twórczych, ale ona nie mogła rozkoszą się skończyć. Te wielkie skrzydła, na których wzleciał poeta „za granice świata“ skrzydła, które chciał „od zachodu aż na wschód rozszerzyć“, „lewem o przeszłość, prawem o przyszłość uderzyć“ — to były skrzydła czucia „za miliony“. Nie na szczyt pychy wzleciał on niemi, aby się upajać własną swą wielkością, ale wzleciał na szczyt bólu i miłości. On po promieniach *czucia* wzlata aż do Boga, by „zajrzeć w *uczucia* Jego“. On nawet potęgę Boga na uczucie mierzy:

O Ty, o którym mówią, że *czujesz* na niebie.

Zaledwie też stanął oko w oko z Bogiem, kiedy gasną w nim wszystkie blaski samoupojenia i już nie o sobie mówi, ale mówi o „ziemi gdzie serce jego zostało“. W miłości tej, w tem sercu bolesnem, szuka on teraz usprawiedliwienia z tego, że aż tu zaszedł... Nie chodziło mu o szczęście osobiste, o miłość osobistą, — nie!

Ale ta miłość moja na świecie —
Ta miłość, nie na jednym spoczęła człowieku
Jak owad na róży kwiecie,
Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku,
Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,
Przycisnąłem tu, do łona,
Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec!
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić...
Nie mam sposobu, — i tu przyszedłem go dociec!“

Oto jest i sprawa cała, i samo jądro dramatu.

Kochać tak, tak miłować, i czuć i pożądać — a nie mieć „sposobu na to, aby ten objęty ramionami, i przyciśniony do łona przedmiot miłości mógł być „dźwignięty i szczęśliwy“ — oto najwyższa, bo wyższa od prometejskiej — kolizya. Że wyższa, to nam mówi sam poeta. On staje przed Bogiem nietylko

„...z całą myśli władzą,
Która niebiosom ich gromy wydarła“,

coby go z Prometejem równało. Owszem on wie, że „ludzie myślą dróg Boga kiedyś się dowiedzą“; że „składy broni jego rozumem wyśledzą“, „że przywłaszczą sobie część boskiej potęgi“, wie, że „Bóg myślom oddał świata użycie“. — A to, że o tem wie, zostawia za nim daleko wszelki prometeizm. On staje przed Bogiem bez tej broni właśnie: Lecz ma...

„moc większą, której ludzie nie nadadzą,
„Ma to *uczucie*, co się samo w sobie chowa,
Jak wulkan, tylko dymi niekiedy przez słowa“.

Tę moc, to *czucie* właśnie chce on „wywrzeć na ludzkie dusze“. „Chce je przez nią uszczęśliwić“. On pieśniarz, chce tak „ludzi wiązać jako słowa“. On chce „tak naród, jak pieśń żywą stworzyć“. On, co „myśli nie popsuł, mowy nie umorzył“, gdyby mu Bóg władzę nad duszami nadał,

„Większe niźli Bóg sam on zrobiłby dziwo,
Zanuciłby pieśń szczęśliwą“.

Tego on chce, tego pożąda, o to woła:

„Zaklinam! Daj mi władzę!“

I znowu woła:

„...Ja chcę duszami władać!“ —

I jeszcze woła:

„...Daj mi rząd dusz!“

A woła z tragiczną siłą i bezsilnością zarazem.

Jestże to okrzyk pychy? Jestże to okrzyk tej walki, której starożytne echa brzmią po Dantejskich przepaściach zaświata?

Nie!

Poeta, choć „wyzywa Boga uroczyście“ zapowiada zarazem, że walka jego nie będzie walką szatana:

„...On walczył na rozumy — ja wyzwę na serca“

To jest jego broń jedyna, broń tego, któremu danem zostało:

„...Najkrótsze życie,
I najmocniejsze uczucie“.

Z tą bronią staje on przed Bogiem i „duszę swoją raz jeszcze odkrywa“

„Jam cierpiał, kochał w mękach i w miłości wzrosłem
Kiedyś mnie wydarł osobiste szczęście
Na własnej piersi ja skrwawiłem pięście,
Przeciw niebu ich nie wzniosłem!
...Teraz duszą jam w moją ojczyznę wcielony
Ciałem połknąłem jej dusze —
Ja i ojczyzna — to jedno!
Nazywam się Milion: bo za miliony,
Kocham i cierpię katusze...“

Dość! Taka walka i takie wyzwanie, czy się wygraną, czy przegraną kończy, jest najwyższą tragedyą, do której duch ludzki podnieść się jest mocny. A z duchów świata, z prorockich, i wieszczych duchów jeden tylko Mickiewicz stanął do niej z taką nieśmiertelną potęgą.

Dość! Taka walka i takie wyzwanie, jakkolwiek się rozstrzygnie, jakkolwiek się skończy, przegraną może być tylko dla ducha, co do niej stanął. Ale dla tych, w których sprawie stanął — wygraną być musi.

XII.

Przyjętem jest powszechnie nazywać „Księgi Narodu“ i „Księgi Pielgrzymskie“ *okolicznościowemi* dziełami Mickiewicza.

Nazwa ta, w pewnej tylko mierze trafna, zacieśnia pojęcie „ksiąg“ tych, i pomniejsza niejako ich znaczenie.

To bowiem, cośmy przywykli zwać „okolicznością“, obejmuje zazwyczaj pewną tylko przestrzeń życia i pewną tylko chwilę życia, wyłączając tem samem zasadę powszechności z dzieł ściśle „okolicznościowych“, a także zasadę ich trwałości.

Gdy jednak te Mickiewiczowskie „Księgi“ są wyrazem ideału na całej przestrzeni życia mającego wagę, i gdy aż po dni nasze okazały się być nieskazitelnemi w prawdzie swej i w swojem pięknie, przyjąć należy, iż jeżeli one są okolicznościowemi, to tylko w takiem znaczeniu, w jakiem „okolicznościowem“ jest wszelkie pobudzenie twórcze, działające, jako bezpośredni impuls, w danej chwili i na danem miejscu, impuls, który jeśli działa na geniusz, noszący sam w sobie, i jako swój istotny warunek, zasadę trwałości i zasadę powszechności, musi wydać owoc trwałego i powszechnego piękna.

Warunki, w jakich powstały „Księgi“ te, o ile odpowiadają tak rozszerzonemu pojęciu, w zupełności, o tyle byłyby wprost niezrozumiałe, gdybyśmy je, Księgi te, w zwykłem znaczeniu okolicznościowemi zwać chcieli.

Przedewszystkiem noszą one na sobie cechę ciągłości twórczej, cechę logiki natchnień poety. Z wyżyn, na które Mickiewicz wstąpił w wielkiej Improwizacyi Konrada, nie miał on inaczej zstąpić tylko, jako prawodawca duchów. Mógł Konrad paść przed Bogiem, ale przed ludem paść nie mógł.

Tak Mojżesz, po wielkiej rozmowie z Jehową na Synai szczycie, bez względu na osobistą swoją klęskę, bez względu na to, iż do ziemi obiecanej wejść nie miał, schodzi z tablicami praw w ręku i w dwurożu promienności, jaka mu z tej rozmowy na szczytach myśli ludzkiej i czucia ludzkiego została.

Po za tem, gdy z dwóch wielkich pożądań Konrada, który chciał naród swój:

„...uszczęśliwić“
„Dźwignąć go,“ „...świat nim zadziwić“

pierwsze okazało się niepodobnem do urzeczywistnienia, jak niepodobnem do urzeczywistnienia było złożenie z narodu tego harmonijnej „pieśni szczęścia“, poeta musiał się zatrzymać przy drugiem z tych pożądań, które się przystępniejszem zdawało. Musiał — logicznie biorąc — chcieć naród ten „dźwignąć“. A potem jeszcze, musiał się przekonać, czy to wielkie milczenie Tego, co „czuje na niebie“ nie było przyzwoleniem choć w części na „rząd dusz“, o który — omal że nie walczył z Bogiem. O tem przekonać się poeta musiał. Więcej nawet: on musiał czuć w sobie coś z tej nieśmiertelnej siły, jaką wznieciło w nim już samo pożądanie takiego „rządu“, siły, przez którą pożądanie to, nawet po klęsce owej nieśmiertelnej rozmowy, możebnem się stawało.

Jest to na czole wieszcza owo Mojżeszowe dwuroże światła, z jakiem zstąpił na ziemię z synajskich szczytów natchnienia wielkiej swej Improwizacyi.

Światło musiało świecić, siła musiała się wywrzeć, bez względu na moment, jaki się zszedł z tem zstąpieniem wieszcza.

Wiemy już, iż był to moment klęski, moment rozsypki i upadku duchów. Ale przez to już samo, że był takim, mógł, musiał spotęgować w poecie pożądanie „dźwignięcia“ dusz ludzkich. Musiał stać się wyrazem siły, co śmiała była iść aż przed Boga, by rząd dusz tych wymódz na Nim. Był to więc jeszcze ten sam pęd, była ciągłość tego samego natchnienia: Prometej wracał, a choć nie niósł iskry, którą chciał zdobyć na nieśmiertelnych potęgach, niósł przecież własne, miłością braci gorejące serce.

A tak powstały te „Księgi“.

Przyjrzyjmy się momentowi, który z nich uczynił formę, w jaką się natchnienie owo i owa siła przelały.

Wypadki krajowe wyparły właśnie z granic Polski znaczny odłam jej ludności, tworząc jak gdyby wątki strumień, po za łożyskiem dotychczasowego życia płynąć zmuszony. To była emigracya.

Jest w człowieku zmysł, który najnowsza psychologia „egzystencyalnym“ zowie a którego niewyrobienie cechuje nomadów; zmysł tak stary jak osiedliny grup ludzkich na upodobanym i przyrodzonym sobie niejako kawałku ziemi, zmysł, przez który człowiek wyrwany z ojczystego gruntu, cierpi i który mu wszelkie inne warunki życia, po za życiem w kraju, na własnej grzędzie, uczuwać daje jako nienormalne. Co gorsza, cierpienie wynikłe z pogwałcenia zmysłu tego, samego człowieka niejako nienormalnym czyni, wytrącając go, jeśli nie na zawsze, to przynajmniej na długo z uczuciowej równowagi i z jasności sądów. A to wtedy nawet, kiedy się dla jakichbądź przyczyn, w okolicznościach prywatnego życia źródło swe mających, na pogwałcenie zmysłu owego decyduje, i gdy dobrowolnie, że tak powiem, a przynajmniej z rozmysłem, na owe cierpienia się naraża.

Pomyślmy teraz, jak wielką musiała być suma cierpień, wynikła z wyparcia wielu tysięcy jednostek z łożyska i gruntu narodowego życia. Pomyślmy także, iż siłą wypierającą nie były powody indywidualne, nadające się do aktów rozmysłu i wyboru, ale okoliczności tkwiące w przeważnych zmianach powszechnego bytu, w samem wstrząśnieniu gruntu tego, w którym zmysł ów korzenie zapuszcza, a będziemy mogli choć w przybliżeniu osądzić jaki ferment odbywać się musiał w sercach i umysłach ludzkich i jakie nienormalności musiały być ich udziałem.

Tym także sposobem będziemy mogli wznieść się do bezstronniejszych i jaśniejszych sądów o gorszącej nieraz rozterce żywiołów emigracyjnych, potępianych może zbyt skwapliwie w tych lub innych jednostkach, bez oglądania się na ogólne, koniecznie działające przyczyny ich rozgoryczenia, ich nienormalności.

Pytam się: Co było najpilniejsze do podania rozbitkom owym na brzeg obcy burzą rzuconym?

Nie byłoż to dostarczenie im, choć w cząstce tego gruntu, na którym wzrosły i wykarmiły się ich dusze? Nie byłoż to wprowadzenie dusz tych do ojczystego domu ich zdrowia, ich siły? Stworzenie idealnej atmosfery, jaką dyszeli ci rozbitowie w domu owym? Zasłonienie im niejako i obcego

bizegu i wyjątkowych warunków ich istnienia, przez otwarcie im naoścież przeszłości, w którą ich dusze wkorzenione były, a zaś są wyrwane? Zaprawdę, kiedy Mickiewicz tworzył „Księgi narodu“ nie tworzył on „mrzonki“. On kładł leczącą rękę na duszach tysięcy. On wracał dom tułaczom, aby w nim wypocząć duchem i skrzepić się mogli. On ich wprowadzał do przybytku nieśmiertelnych pociech. Sama już budowa „Ksiąg“ tych opowiada, czem one dla rozbitków emigracyjnych być miały.

„Księgi narodu“, to nie historya polityczna narodu, ani historya społeczna. To jest wyjawienie dróg „Ducha narodu“, to jest suma jego ideałów, to jest teozofja narodowego życia.

To nie jest zbiór faktów, dzieło erudycyi; to nie jest, wogóle, praca historyka. To jest opoka, port, przystań, w której wieszcz z wiary swojej, z miłości swojej gwiazdę jasną i rozpaloną wysoko uczynił, aby nie tonęli ci, co nawałnością rozbicia na morze wyrzuceni byli.

Dom był i jest. Prawda była i będzie. Oto co mówią te „Księgi“, ku pokrzepieniu mdlejących serc stworzone. Stworzone na wtedy, na dziś, i na jutro także. Ich fakty, ich paradoksy nawet, to tylko węzły na linie ratunkowej z pośpiechem wiązane, aby ją ręce tonących łatwiej uchwycić i ufniej zawisnąć na niej mogły. Po za tem, „Księgi“ te są niemal czystym tchem życia w pierś omdlałą tchniętym. I toć jest, przez co nazawsze, tem czem są — zostaną.

Ale wyjątkowe położenie, w jakiem się emigracya w Paryżu, dokąd Mickiewicz „szlakiem jej podążył“, znalazła, było nietylko źródłem cierpień. Ono było także źródłem rozdwojenia. Niedola osobista była tak ciężką, że nikt sił poprostu nie miał do dźwigania na sobie, jako naddatkowego ciężaru jeszcze, odpowiedzialności za powszechną klęskę. Stąd to zaciekłe spychanie z jednych ramion ciężaru klęski tej na drugie, aby nie na sobie je trzymać. Łączyli się ludzie w celu rozpaczliwego spychania tego, tak, jak się czasu pogody i nadziei ku pracy łączyć zwykli. I to się nazywało organizacyą stronnictw. Samo zaś spychanie, nazywano działalnością stronnictw, nie spostrzegając nawet, że ta działalność zawsze ujemna,

i zawsze przecząca, nie mogła być czynem. Lecz gdy nie była czynem, nie mogła żadną miarą ciężaru umniejszyć. Owszem, sam akt spychania musiał dawać go uczuć w równej niemal mierze i ramionom tych co pchali i tych na które spadał, musiał wyczerpywać siły. Może to i nie mogło być inaczej. Może istotnie, żeby nie zwątpić o sprawie, trzeba się było tak namiętnie zwrócić ludziom i stronnictwom przeciw sobie. Może inaczej merita sprawy samej obronionemi być nie mogły. Niemniej prawdą jest, że położenie takie wytworzyło niezmierną drażliwość w umysłach i niezmierną gorycz w sercach, która to drażliwość i gorycz wybuchała przy każdej sposobności z całem rozjątrzeniem niemocy, z całą zaciętością rozpaczy. Walka była tem uporczywszą, tem więcej zajadłą, iż prowadzono ją na słowa, a słowom dawano siłę miecza. Wszystkie nazwy stronnictw emigracyjnych były sprofanowane i równały się obeldze. Co komu przyszło z tego, iż był „Demokratą“ lub „Czartoszczykiem“, kiedy w ustach przeciwnika jedno i drugie znaczyć mogło, że „zdradza najświętszą sprawę“.

Wrzała ta walka przed przybyciem Mickiewicza do Paryża jeszcze; wrzała tem bardziej gdy przybył, gdyż zaogniło ją pytanie: jakie będzie stanowisko poety.

Ale Mickiewicz nie mógł stanąć ani wśród walki, ani też poza nią. On stanął nad nią.

Był to jedyny punkt właściwy dla tego górnego ducha, punkt, który pozwalał poecie „dźwignąć“ serca i umysły zapaśników. Zaraz się też ku niemu zwróciły oczy ludzkie, a także namiętne głosy, przywołujące go do obozów swoich. Jest to wszakże rzecz godna uwagi, iż podczas kiedy Lelewel miał za odstępstwo od starej przyjaźni to, że się Mickiewicz widywał z księciem Czartoryskim, a książę wyrażał obawę, aby poeta „nie lelewelizował“, rzecz, mówię, godna uwagi, iż jedna — tylko młodzież polska w Besançon zebrana, powitała Mickiewicza okrzykiem ufności, śląc mu pierścień i pisząc:

„Przybywasz ozłocić gwiazdą nadziei serca mdlejące w tęsknocie“.

A poeta:

„Poświadczacie mnie tym pierścieniem obrączkowym, bracia, iżem ziemi mej dochował poślubionej wiary. Przyjmijcie ode mnie powtórną przysięgę ślubną: iż jej nie opuszczę aż do śmierci. — Amen".

I zaraz rozległ się głos, który w pierwszem już słowie tępił ostrze walki i znosił szańce stronnictw i obozów, stronnictwom i obozom jedno imię dając, imię: „Pielgrzymów".

Słowo było pełne treści i ożywiające. Bo pielgrzym nie ma na miejscu stać, ani się w obozach szańcować: on iść ma ku nadziei swojej i ku umiłowaniu serca swojego.

Pielgrzym nie jest tułaczem, bo tułacz celu nie ma przed sobą i niema za sobą dachu, któryby swoim zwał, a tak droga jego ani go dokąd przybliża, ani go skąd oddala, podobnym go czyniąc fali pędzonej wichrem, a znów wracającej na głębiny morskie. Ale pielgrzym pielgrzymuje ku świętości swojej. On wie z jakiego progu wyszedł, i gdzie się za czasem powróci. Pielgrzym nie jest sam, jak tułacz. On żyje w duchów obcowaniu. Na progach jego stają blizcy jego, a za pielgrzymem patrzą, mówiąc: oto idzie. A gdy go z oczu stracą, jeszcze stoją i patrzą na drogę, którą odszedł. A czynią tak na każdy dzień, aż się powróci pielgrzym na progi domu swego.

Lecz kiedy poeta w podobny sposób przemawiał, ogniem walki zapalone oczy we łzach gasły, a na serca rozpaczą spiekłe upadała rosa nadziei. Nie są więc straceńcami, nie są tułaczami, nie są rozbitkami. Pielgrzymami są, a zaś się z pielgrzymstwa swojego powrócą. Jaka w tem siła na niemoc! Jaka broń przeciw rozpaczy! I posypały się, jak perły, przepyszne w prostocie swojej parabole.

Ta naprzykład o okrętach i rybackim statku:

„...Płynęły okręty wielkie wojenne po morzu i mały jeden statek rybacki. A był czas burzliwy, jesienny. Rzekli więc ludzie z brzegu: Błogosławieni żeglarze okrętów wielkich. Biada żeglarzom w statku rybackim czasu jesiennego".

Lecz nie dojrzały gwiazdy na niebie okręty wielkie, w wielkość swoją ufające, i zagubiwszy magnes, potonęły. A statek rybacki, patrząc ku gwiaździe swojej nie zbłądził.

A choć się rozbił u brzegu, ludzie uratowali się i unieśli iglicę magnesową. A statek swój znowu odbudują.

Albo ta:

„...Chciał wiązać niektóry gospodarz wierzchołki drzew swoich, iżby cienia zażył. Lecz nie mógł inaczej związać, tylko je nachylić musiał. Nachylcie i wy rozumy wasze, a związą się myśli wasze i uczyniona będzie ochłoda sercom waszym".

Albo ta:

„...Zasługa dla kraju jest jako ziarno. Kto obnosi je w ręku, a pokazuje wszystkim wołając: „oto jest ziarno wielkie!" — wysuszy je i nic z niego nie otrzyma. Ale kto zakopie ziarno w ziemi, a czeka cierpliwie, tedy się doczeka plonu".

Albo ta:

„...Troszczą się niektórzy, jak wielkie będą prawa ich, albo jak wielkie będą granice ich. Zaprawdę, o ile powiększycie duszę waszą, o tyle powiększycie prawa i granice wasze".

Albo ta jeszcze, najpiękniejsza ze wszystkich, która się zaczyna od słów:

„...Leżała pewna niewiasta w letargu i wezwał syn lekarzy, aby ją leczyli" — a wykazuje nicość stronnictw i obozów i mniemań, jeśli nad nie wyższym nie jest miłości duch.

Lekarze bowiem, każdy na swój sposób radząc, kłócili się i mówili: „Niech lepiej ta niewiasta w letargu leży, niżby ją mój przeciwnik ożywić miał". Dopiero kiedy syn w miłości i żałości swojej głosem wielkim zawołał: „O matko moja!" ożyła niewiasta owa i z letargu wstała.

A ludziom, którzy tych paraboli słuchali, zdawało się, że oto znów opowiadaną jest nowina dobrej wieści, że oto znów Jan chodzi po świecie i drogi pańskie prostuje...

Niezawodnie byli tacy, którym się głosy owe, tak bardzo różne od wszystkiego, co mówiły owoczesne książki, zdawać musiały bardzo dziwnemi. Przychodziły one ze zbyt czystych, zbyt podniebnych wyżyn. Sama nawet ich prostota zdawała się niektórym nadzwyczajnością zawiłą i paradoksalną, którą należało zaraz przetłómaczyć na język poli-

tycznych stronnictw i namiętności. Ale ogół, ten który stał poza faryzeuszami i skrybami, jakich ta epoka wydała w obfitości, ten, który cierpiał, tęsknił, bolał, ten ogół niewątpliwie czuł się duchowo podniesiony, dźwignięty tem prawie że nieziemskiem słowem...

Ogół ten emigracyjny, nierozumujący zapewne, ale instynktownie czujący, skąd mu szła pociecha i siła, nazwał „Księgi“ te „Ewangelią Mickiewicza“, a nazwa ta, chociaż powtarzana z szyderstwem przez „różną drobną szuję“ owoczesną, jak mawiał Lelewel, sama już przez się świadczyła, iż poeta osiągnął choć w części ów „rząd dusz“, którego tak namiętnie domagał się w wielkiej Improwizacyi Konrada. Świadczyła nadto, że wtedy już widzieli ludzie w Księgach tych coś trwałego, coś powszechnego, coś, co im się wydało godnem porównania z Ewangelią, nie dla samej formy parabolicznej zapewne i nie dla samego biblijnego języka. Że widzieli w nich coś, co nie im samym miało być pociechą i siłą, ale co mogło być pociechą i siłą dla dalekich także czasów i późnych pokoleń. „Okolicznościową“ tedy była tylko około „Ksiąg“ tych walka, ale nie one same. Nie one, bo ani dzieje ducha narodowego nie mogą utracić ciągłości swojej, ani pielgrzymowanie ku ideałowi sprawiedliwości ustać kiedy może.

Nie były okolicznościowemi tembardziej, iż treść ich i forma bezpośrednio z żądzy „władania duszami“ wynikła, w Dreznie jeszcze, zaraz po Wielkiej Improwizacyi w duchu poety powstała i w ogólnych zarysach rzuconą była, a zatem zdala od ogniska przemiennych zjawisk emigracyjnego życia, i przedtem, nim poeta życie to mógł zblizka osądzić.

Dopełnione i rozwinięte w Paryżu, mogły Księgi te godzić w chwilę, w której się ukazały, gdyż godziły w każdą chwilę, jako owoc nieśmiertelnych natchnień. Nie ta chwila przecież je stworzyła i nie były one stworzonemi na tę jedną chwilę. Zrozumiały ten ich charakter najwybitniejsze duchy i umysły Europy.

Nie sam Garczyński Stefan, na progu śmierci stojący, „uczy się „Ksiąg pielgrzymstwa“, jak Ewangelii na pamięć“. Nie

sam Domejko cieszy się, iż coś „tak wielkiego wyszło z pod pióra Adama“. Michelet mówi, iż jeden Silvio Pellico zbliżył się do Ksiąg tych w swem dziele; Sainte-Beuve nazywa je „ożywczą i zbawienną księgą“. Lamennais wzoruje na nich swoje słynne „Słowa wierzącego“ *(Les paroles d'un croyant)* i nazywa „Księgi pielgrzymstwa“ księgą ludzkości całej.

Montalembert tłómaczy je na język francuski i poprzedza przedziwną przedmową. — „To jest piękne, jak Ewangelia“ — woła on. — „Cudem jest — mówi dalej — tak czysty wyraz wiary i wolności ducha, w wieku niewoli i niewiary“.

Prócz Francyi, przekłada Księgi te Anglia, przekładają je Niemcy. W Rzymie tłómaczy je trzech zakonników na język włoski, łaciński i nowogrecki.

Duch ideału powiał wprost na ludy z tej „Ewangelii wzgardy dla budżetów“. Serca i umysły porywał instynkt prawdy, instynkt prostoty i sprawiedliwości. Stało się po prostu to, co poeta śnił w „Śnie“ swoim drezdeńskim. Stał się głos z góry:

„...Ludy! Do Jordanu!“

A wtedy, wśród tego powszechnego rozbudzenia duchów, padają te ogromnej wagi słowa Maurycego Guerin:

„...Co to za naród, do którego przemawiać można takiemi słowami? I co to za człowiek, od którego słowa takie wyjść mogły?“

A tak stało się, że z trzech wielkich pożądań poety, który na synajskich wyżynach natchnienia sięgnął po „rząd dusz“, aby lud swój

„...uszczęśliwić“, aby go „dźwignąć“ i „świat nim zadziwić“.

dopełniły się dwa ostatnie.

Dźwignięte były serca i dźwignięte duchy, a świat zadziwił się i pytał: „Co to za naród taki?“ On pytał jeszcze: „I co to za człowiek taki?“ ale tego podziwu dla siebie poeta nie pożądał.

Przyćmił on teraz owszem, przygasił prorockie światła

swoje i stanął do codziennej pracy, aby ducha swego tchnąć tem silniej i tem bezpośredniej w pierś braci. I oto pojawia się w „Pielgrzymie polskim“ szereg artykułów, których prawie niepodobna zwać dziennikarskiemi. Jeżeli Księgi pielgrzymstwa „Ewangelią Mickiewicza“ nazwane zostały, te wyjawienia się ducha jego, jakich wyrazem były artykuły w „Pielgrzymie“, słusznie nazwaćby można „Homiliami Mickiewicza“. Ze względu na cel swój stanowią one jakby stopnie między poziomem serc ludzkich a wyżyną „Ksiąg“ stawiane, aby łatwiej i skuteczniej serca te podnosić się mogły. Istotę zaś ich stanowi silne promieniowanie wielkiego ducha na duchy pomniejsze; praca około „powiększania dusz“ około rozjaśniania ideałów.

Ze względu na treść, są artykuły te jakby wielkiem społecznem i politycznem credo ducha, w który „wlała się Historya“, i który ma widzenie rzeczy przyszłych. A zauważyć należy, iż credo owe jest rozwinięciem w pełny kwiat tego, co tkwiło zwinięte w pączku najrańszej już twórczości poety. Cóż to nam bowiem mówią te Mickiewiczowskie Homilie z „Pielgrzyma“?

Mówią nam one, że „pierwszym obowiązkiem wszelkiego politycznego działania, jest częste zazieranie w *serca* i *uczucia* mas narodowych“. Że „mądrze czynią prawodawcy i sternicy narodowej nawy, gdy rozważają *modlitwy* i *wołania ludu:* one to bowiem, te modlitwy i te wołania są wielką petycyą, jaką duch czasu przed ich forum wnosi“.

Mówią nam one, że „*prawda* wzywa zawsze w *imię uczucia powinności, fałsz* często *w imię rozsądku.* Że są to dwa języki bardzo różne, i że póty siły w narodzie, póki drugi przemawiać nie śmie, a obywatele pierwszego słuchają“.

Mówią nam one, że „w czasach kiedy umysły chore są na sofisteryę społeczną albo polityczną, *rozum* chowa się w ostatnim szańcu, *w sercach ludzi czujących,* a wskazówką, iż tam jest, jest wzmożone w nich *uczucie powinności*“.

Mówią nam one, że „złe to są czasy, kiedy ludzie uczciwi nie śmią *radzić się uczucia* swego w sprawach ogólnej wagi, ale biegają po *rozsądek* do głowy. Albowiem *rozsądek* bardzo

w życiu prywatnem potrzebny i na potrzeby codzienne wystarczający, *niedołężny jest*, kiedy mu w sprawach ogólnych wyrokować przyjdzie. Rozsądek liczy pożytki na miesiące, na lata, a życie ludów obejmuje wieki".

Mówią nam one, że „na drodze politycznego działania, *uczucie* ludzi poruszać ma, a powinność nimi kierować, te bowiem tylko nigdy nie zawodzą. W nich tylko tkwi *rozum przyszłości*, to jest taki, który gdy przyjdzie i stanie się doświadczeniem, stanowić będzie *rozum ludzki i rozsądek*. Lecz będzie to właśnie chwila, w której nie zda się on na nic, jako motor i ster tym, którzy dla przyszłości pracują".

Mówią nam one, że „w politycznem działaniu trzeba nadewszystko *wiary*. Nie wierząc w lepszą przyszłość, trudno coś przedsięwziąć, a prawie że niepodobna dokonać".

Pytam się, nie jestże to, od pierwszego do ostatniego słowa potwierdzeniem tego, co nam poeta w zaraniu twórczości swej powiedział w paru prostych wyrazach:

„...Czucie i wiara silniej mówią do mnie,
Niż mędrca szkiełko i oko".

Nie jestże to wyłożonem na język politycznego rozumu, wielkiej filareckiej strofy o stosunku „sił" i „zamiarów?"

„...Mierz siłę na zamiary,
Nie zamiar według sił".

Nie jestże to poświadczeniem tego uczuciowego gruntu, na którym poeta stanął w całem swojem dziele, i z którego wytrysły najwyższe, najpotężniejsze natchnienia jego?

Ale idźmy dalej. Dalej, mówią nam te Mickiewiczowskie Homilie, że „człowiek pełen poświęcenia dla ogółu, może pomylić się tylko względem samego siebie; zaś w stosunku do ogółu jest on zawsze nieomylnym. Albowiem pożytek i dorobek ofary, wynikający z poświęcenia, nigdy nie zawodzi i jest zawsze dorobkiem ogółu. Wszelki zamiar czysty, od widoków osobistych, od chęci wyniesienia się lub poniżenia

innych wolny, przynosi pożytek ogółowi zaraz lub w przyszłości".

Nie jestże to — pytam — echo wielkiej Ody? Echo jej, gdy mówi:

„...I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
Jeżeli poległem ciałem
Dał innym szczebel do sławy grodu..."

I jeszcze dalej idźmy.

„...W całych dziejach ludzkości — mówi poeta — znajduje się zawsze grupa ludzi, którą się ciągle spotyka. W starożytnym Rzymie jak w Atenach, w dawnych czasach jak w dzisiejszych, są oni czynnymi wszędzie, gdzie tylko serca ludzkie biją uczuciem dla ogółu. Nie uczyli się oni historyi, nie wiedzą nawet, że mają poprzedników, a tymczasem wszyscy tak działają, jak gdyby byli członkami stowarzyszenia najzręczniej zorganizowanego. Nie gadali nigdy z sobą, a mimo to wyznają jeden dogmat: nienawiści ku wszelkiemu ruchowi moralnemu. Nie znają się między sobą, a przecież w głębi ich serc odzywa się zawsze ten sam instynkt dla odparcia każdej myśli o szczęściu, o udoskonaleniu ogółu".

„...Skąd oni są i skąd przychodzą? Kto był ich mistrzem? Ich wodzem? Tego nikt nie wie. A jednakże mają oni wspólne hasło, które znają dobrze. Hasłem tem są słowa: „co to przynosi?"

„...Co to przynosi?" — oto pytanie, które zadają każdemu, który ich wzywa, aby jakiś akt woli dla powszechnego dobra uczynili. Na wszystkie wezwania ideału, na wszystkie wezwania obowiązku, uczucia, odpowiadają zawsze zimnem i spokojnem: Co to przynosi?

Tem jednem pytaniem wstrzymują oni wszelki ruch moralny i wszelki społeczny postęp, lub kuszą się wstrzymać".

„To egoiści!"

Kto z nas — pytam raz jeszcze — nie widzi w obrazie tym i w tem potępieniu owego:

„obszaru zalanego gnuśności odmętem,
Nad którego wody trupie
Wzbił się jakiś płaz w skorupie,
Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem,
To się wzbija, to w głąb wali,
Nie lgnie fala do niego, ani on do fali".

Kto nie słyszy w okrzyku: „To egoiści!" — echa wzgardy i oburzenia, jakiem wielka Oda płazy te naznacza, wołając: „To samoluby!"

Ale jeżeli tak jest, to przyjąć musimy jako zasadę, jako punkt, z którego duch poety najjaśniej się nam wyjawia, że *czucie* i *wiara* są niezniszczalnemi, nieprzemiennemi pierwiastkami tego wysokiego ducha, że owszem, są one jego pierworodną, nieśmiertelną siłą, że na nich, jak na fundamencie, oparła się cała jego twórczość, cały czyn jego, wszystka pieśń jego, której słowa i myśli są posiewem czynów.

Czucie i wiara, czucie prorockie i wiara wieszcza — oto są te dwa potężne skrzydła, które młodość podała poecie w wielkiej Odzie jeszcze, gdy zapragnął

„...nad martwym wzlecieć światem,
Kędy zapał tworzy cudy". —

Skrzydła, na których Konrad wyleciał „z planet i gwiazd kołowrotu", i które poeta czuje u ramion, gdy lecąc po „rząd dusz" i „po uszczęśliwienie" narodu swego, woła do Boga:

„...Ja mam je, mam je... mam tych skrzydeł dwoje!
Wystarczą! Od zachodu na wschód je rozszerzę,
Lewem o przeszłość, prawem o przyszłość uderzę,
I dojdę po promieniach uczucia do Ciebie!"

XIII.

„.. Im dalej granic nowogródzkiego i lidzkiego powiatu, tem ciężej żyć" — pisze Mickiewicz w jednym z listów. — I to było prawdą.

Warunki, w jakich poeta żył teraz w Paryżu i tworzył, ciężkie były i coraz się cięższemi stawały. Ramą życia był kraj obcy, obcy ludzie, „obcy żywioł“, wśród którego — skarży się poeta — że „żyje przykro“.

Tłem życia najogólniejszem było rozdwojenie żywiołów emigracyjnych, to wielkie źródło

„niewczesnych zamiarów,
Zapóźnych żalów, potępieńczych swarów“.

Źródło „wypadków“, o których pisał Mickiewicz, że mu „rozbijają duszę tak, iż ją potem w samotności kleić i sztukować trzeba“. Dalszy horyzont, dalszą perspektywę życia tworzyły owe „hałasy Europy“, od których trzeba było „drzwi zamykać“, gdyż nie dolatywał z nich żaden głos słuszności, żaden głos otuchy.

Warunki materyalne też były ciężkie, gdy układ zapewniający Mickiewiczowi skromny lecz pewny dochód tysiąca paruset złotych od wydawców jego, gdy nawet ten układ się rozchwiał, co tembardziej ciążyło poecie, iż pragnął nim uposażyć brata swego Franciszka, który opuściwszy przed rokiem granice Królestwa, jako kaleka, teraz w Wielkopolsce przebywał, gdzie już „rugi niemieckie uczuwać się dawały“.

Najistotniejszą jednak, najgłębszą przyczyną cierpienia poety była tęsknota, która — jak mówi — stała się jego chorobą chroniczną, tęsknota wydzierająca mu okrzyk:

„...Biada nam, żeśmy w czas morowy,
Lękliwe nieśli za granicę głowy“

i która — pominąwszy nawet wszelkie inne trudności, sprawiała, że „im dalej od granic nowogródzkiego i lidzkiego powiatu, tem ciężej było żyć“.

W takich warunkach łatwo pojąć, że „jedynem szczęściem“ poety było,

„...gdy w szarej godzinie,
Z kilką przyjaciół siadłszy przy kominie
Mógł dumać, marzyć o swojej krainie“.

Tych „kilku przyjaciół“ miał Mickiewicz i w Paryżu także, lubo brakło między nimi Odyńca i Stefana Garczyńskiego. Miał Józefa i Bohdana Zaleskich, miał Ignacego Domejkę, który z Sèvres, gdzie mieszkał, często do Paryża zabiegał; miał Cezara Platera, Eustachego Januszkiewicza, miał Karola Różyckiego i innych też miłych. Z nimi to, z przyjaciołmi tymi, którzy mu „w rozmowie“ rzucali słowo po słowie, a często i w samotności także, „wyrywał się poeta myślami do szczęśliwszych czasów“. I „dumał, marzył o swojej krainie“, karmiąc dumaniem tem, tem marzeniem, miłość i tęsknotę.

I to jest, jeśli nie ściśle chronologiczny — gdyż sam pomysł mógł się i w dawniejszych chwilach tęsknoty, tak dobrze w Rzymie, jak w Dreznie, w duszy poety zbudzić — to niezawodnie ściśle psychologiczny moment powstania „Pana Tadeusza“. Genezą tej narodowej epopei, jest potężne uczucie tęsknoty, jest „ciężkość życia wśród obcych“ i wynikająca z ciężkości tej potrzeba, konieczność stworzenia sobie atmosfery ojczystych pól, lasów, wsi litewskiej, ludzi tamtych, wypadków ich życia, ich charakterów, zwyczajów, przygód, całej słowem atmosfery rodzinnego kraju.

I ta to właśnie geneza „Pana Tadeusza“ tłómaczy nam, dlaczego żaden z nowożytnych narodów nie ma równej mu epopei narodowej. Żaden jej nie ma, gdyż żaden, u żadnego z ludów tych poeta, nie mógł, nie miał potrzeby uczuwać tak silnej tęsknoty „ku swojej krainie“, bo żadnemu nie mogła tęsknota tak wielka wyczarować z duszy tak potężnych i słodkich obrazów, bo każdy z nich mógł żyć w swojej krainie i nie potrzebował tylko „marzeniem i dumaniem“ wyrywać się do niej. Nie potrzebował z dumań tych i marzeń tworzyć sobie powietrza, któremby dyszeć mógł, aby żył.

Jakikolwiek mógł być pierwotny pomysł i plan „Pana Tadeusza“: czy miało to być „poema sielskie“, czy też „poema szlacheckie“; czy ów „Legionista“, do którego barwy Mickiewicz w Rzymie jeszcze w rozmowach z Ogińskim i z Rzewuskim zbiera — wszedł do pomysłu tego i planu, jako żywioł rozszerzający pierwotne jego ramy, czy nie wszedł; czy

ksiądz Robak miał się zwać „Żegotą“; czy „Jackiem“, czy postać jego miała być odbłyskiem chwili, w której Mickiewicz chciał księdzem zostać, czy też być nie miała; czy polityczne tło było podmalowane odrazu, czy też domalowane później dopiero; czy kompozycya była jednolitą, czy też naruszoną w tej jednolitości późniejszemi wstawkami, — cokolwiek z tego wszystkiego mogło być albo nie być, — jedno przecież było rzeczą pewną i konieczną: nowe dzieło musiało stworzyć poecie atmosferę rodzinnego kraju. Ono musiało przenosić

„duszę jego utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozłożonych“,

musiało go przenosić „na ojczyzny łono“. Poeta, któremu „im dalej granic nowogródzkiego i lidzkiego powiatu, tem ciężej żyć“, musiał choć „cudem“ znaleźć się wśród swoich, musiał się znaleźć w tych granicach właśnie w wydumanej, w wymarzonej, a „swojej“ krainie.

Ale ta kraina nie mogła być ziemią, nad którą wówczas „huczały lwie ryki“ i „brzmiały głosy trąb“. Ona nie mogła być ziemią „pokoleń żałobami czarnych“, ani dać dyszeć poecie „powietrzem tylu klątwami ciężarnem“. Ona nie mogła być „strefą ulewy i grzmotu“. Takie „pokolenia“, takie „klątw pełne powietrze“, taką strefę ulewy i grzmotu miał poeta w Paryżu właśnie, miał je w wychodźtwie samem. Od nich to wyrywał się myślą „do ciszy, pogody“, od nich uciekać pragnął „w domowe zagrody“.

I Lelewel i Niemcewicz, narzucali wprawdzie Mickiewiczowi tematy współczesne i okolicznościowe, ale poeta odpowiada im wprost, że rany są zbyt świeże, aby ich dotykać, że „niemasz sił“ mówić o tem.

To „łono ojczyzny“, na które poeta pragnął przenosić „cudem duszę utęsknioną“, musiało mu być przystanią ciszy, ukojenia; ono musiało być tą „krainą“, w której jednej tylko „z całej przeszłości i z całej przyszłości“ jest jeszcze trochę szczęścia, to musiał być „kraj lat dziecinnych“.

Tutaj, w tym kraju

„...co zawsze zostanie
Święty i czysty, jak pierwsze kochanie
Niezaburzony błędów przypomnieniem,
Niepodkopany nadziei złudzeniem
I niezmieniony wypadków strumieniem".

Tylko w tym kraju mógł poeta szukać i znaleźć „trochę szczęścia". Do tego kraju lecieć on chce na skrzydłach, które uczynione są z *miłości* i z *tęsknoty*, rozbudzonej „dumaniem, marzeniem". Tam lecieć on chce, wrócić „do swoich".

„...Te kraje radbym myślami powitał,
Gdziem rzadko płakał, a nigdym nie zgrzytał, —
Kraje dzieciństwa!"

A temu okrzykowi *tęsknoty* odpowiada krótki i prosty obraz krajów owych, obraz tak ścieśniony, że cały naraz w sercu pomieścić się może i jednem uderzeniem serca być wydany; obraz, który tylko ogromna miłość namalować mogła. Bo i cóż to był za kraj, który poeta „radby myślami powitał"? Był to

„...kraj szczęśliwy, ubogi i ciasny,
Jak świat jest boży, tak on był nasz własny!
Jakże tam wszystko do nas należało,
Jak każdy kącik ziemi był znajomy,
Aż po granice, po sąsiadów domy".

Ten obraz, to jest wprost objęcie ramionami, wprost przytulenie do serca czegoś bardzo drogiego, czegoś najdroższego.

I cóż to byli za mieszkańce tego „kraju szczęścia", co za obywatele?

„To byli jedni wierni przyjaciele,
Jedni dotychczas sprzymierzeńcy pewni;
Bo któż tam mieszkał? Matka, bracia, krewni,
Sąsiedzi dobrzy!"
„...Gdy kogo ubyło,
Jakże tam czule o nim się mówiło!

Ile pamiątek! Jaka żałość długa...
Tam, gdzie do pana przywiązańszy sługa,
Niż w innych krajach małżonka do męża.
Gdzie żołnierz dłużej żałuje oręża,
Niż tu syn ojca! — Po psie płaczą szczerze
I dłużej, niż tu lud po bohaterze!"

I oto zakreślone są i granice świata owego i jego żywioły. To nie będzie świat podań, jak „Grażyna", ani będzie świat walki tragicznej, jak „Wallenrod". To nie będzie świat obcego piękna, jak „Sonety", ani świat prorockich natchnień, jak „Dziady". To będzie świat uczucia. Uczucia swojskiego, domowego, rodzinnego i obywatelskiego.

A tak, uczucie nietylko jest genezą arcydzieła tego, poczętego z miłości i z tęsknoty; ono zakreśla jego obszar, ono staje się i materyą i duszą dzieła, ono jest także i narzędziem do wykonania dzieła tego służącem. Jak „Wielka Improwizacya" rodzi się z wieszczego ducha poety, tak ta narodowa epopea rodzi się z serca, z miłującego, stęsknionego serca.

A zauważmy, że wszelka narodowa epopea tylko z miłości i z tęsknoty narodzić się może. Tylko miłość bowiem zakląć może uchodzącą a drogą przeszłość w nieśmiertelne kształty piękna; tylko tęsknota może być tą czarodziejką, która ludzi i rzeczy ukazuje poecie pod postacią ich wieczystego charakteru i nieprzemiennego uroku.

„...Dziś piękność twą *w całej ozdobie*
Widzę i opisuję, bo *tęsknię* po tobie",

mówi poeta do „Litwy, ojczyzny swojej", wyjawiając nam w tych słowach najwyższą tajemnicę tworzenia piękna. W tej to genezie właśnie, w tem zrodzeniu z miłości i z tęsknoty, leży czar, przez który i my, wczytując się w to arcydzieło, uczuwamy miłość i tęsknotę każdy za siebie i każdy za wszystkich. To jest talizman, przez który idziemy do księgi tej po łzy i po ogień; gdy oczy nasze oschłe są, a dusze wyziębłe. To jest czar, który sprawia, że w kartach tych

znajdujemy coś jakby dom duszy, dom młodości naszej, zdrój uczuć prostych, silnych, rzewnych.

Nie znam myślącego i czującego Polaka, któryby, jakikolwiek jest rodzinny zakąt jego, bardziej go swoim uznawał i czuł, od tych

„...pól malowanych zbożem rozmaitem,
Pozłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem“,

do których dusze jego i myśli porywa poeta. I choćby z pod Beskidów szedł, choćby z ukrainnych stepów, choćby na Pomorzu bałtyckiem siedział — wszystko jedno! Zawsze on czuć będzie, że mu te słowa ujmują serce właśnie w miejscu zrośnięcia się jego z rodzinną ziemią. I choćby o mil tysiąc oddalony był, choćby go ocean od swoich dzielił, choćby żywcem gdzie pogrzebany trwał, a słowa te czytał, uczuje moc rwącą i obalającą wszelkie zapory, moc, która

„przenosi duszę jego utęsknioną“

wprost jakby „cudem“ na łono ziemi, co mu matką była.

Mylił się tedy Stefan Witwicki, nazywając „roztargnieniem“ Mickiewicza ten okrzyk:

„Litwo! Ojczyzno moja!“ —

Bo nie w wielkości obszaru objętego słowem tkwi moc słowa, ale w sile uczucia obejmującego obszar choćby też najmniejszy.

Gdyby Mickiewicz zawołał był nie „Litwo!“ nawet, ale gdyby nazwał zawołanie najlichszego zaścianka Litwy, najmniejszego szmatka rodzinnego kraju, a wlał w ten okrzyk równą potęgę uczucia i takby się cała ojczyzna w okrzyku tym mieściła, boby się w nim mieściło całe poety serce. I to stanowi właśnie okrzyku tego siłę, od której zapalają się serca nasze, jakby od płomienia.

Jakoż najwyższą siłą „Pana Tadeusza“ jest jego uczuciowa siła. Sam geniusz nigdyby dosięgnąć nie zdołał tej plastyki potężnej w malowaniu ludzi i przyrody, gdyby tych ludzi poeta nie czuł za swoich, za ogromnie blizkich i umi-

łowanych; gdyby tych obrazów przyrody nie miał wprost na sercu wyrytych.

Mickiewicz ludzi swoich w „Panu Tadeuszu“ nie idealizuje. On ich kocha takich, jacy są, z ich krewkością, z ich wadami, z ich błędami i omyłkami ludzkiemi, a takie też tylko kochanie jest kochaniem prawdziwem. W tej ogromnej psychologicznej, jakoby przysięgłej prawdzie, w tej wierności portretowej niemal, stroju, ruchu, gestu, głosu, języka, skali pojęć i temperamentu, tkwi dokumentowa i artystyczna zarazem, wprost bajeczna wartość tej galeryi typów charakterów, postaci i fizyonomii, jakiej równej nie posiada żadna literatura. Kiedy Zygmunt Krasiński chciał dla „Pana Tadeusza“ porównanie stworzyć, musiał sięgnąć po dwa naraz arcydzieła świata: po Iliadę i po Don Quichota. A i tak zdaje nam się że nie domierzył czegoś. Nie domierzył — może samej miary. Do czarodziejstwa bowiem jego uczuciowej siły należy i to także w „Panu Tadeuszu“, że waga wypadków i charakterów nie przechyla się nigdy w akcyi aż na niepowrotną już stronę. Poeta wprost znieść tego nie może, iżby w tym jego drogim świecie były winy i nieszczęścia niepowetowane.

Jest błąd, jest poryw namiętny, samolubny, grzeszny, ale jest i pokuta i zadośćuczynienie.

Po strzale Jacka Wąsala w nieszczęsnej dla jego obywatelskiego imienia chwili napadu na Horeszków zamek, idzie tułactwo, idzie rana pod Hohenlinden, idzie wielka spowiedź Robaka. Po infamii idzie żelazny krzyż zasługi, bogdaj choć na mogile zatknięty, idzie rehabilitacya. Po ekscesach zajazdu i opilstwie szlachty zaściankowej, idzie srogie przebudzenie w dybach i na deszczu.

Owszem, sam ten zajazd właśnie pozwala nam ocenić mistrzowską równowagę, jaką w „Panu Tadeuszu“ wytwarza jego uczuciowa siła.

Poeta poruszywszy na naradzie w zaścianku wszystkie namiętności, wszystkie egoizmy, wszystkie instynkty drapieżne, roznieciwszy żar wybuchu w płomień już prawie, tak przecież kieruje wypadki, że do bratobójczej walki nie przy-

chodzi, a ofiarą mężnych czynów Saka i Konewki padają kabany, wełce, kogutki Zosi i „szurpate kurki“. Strzela wprawdzie Konewka za Woźnym, gdy

„...po konopiach ciemnych jego biała
Konfederatka, niby gołąb przeleciała“,

ale strzał chybił. A jest to przykład pierwszy z brzegu i naprędce brany.

I sam Jacek Soplica nie jest winnym najcięższej i hańbiącej winy, choć

„Odwracali od niego twarz obywatele,
Uciekali od niego dawni przyjaciele“ —

bo to

„fałsz, żeby był w zmowie“

z tymi, którzy

„Stolnika zamek szturmowali“,

bo choć Stolnik zabił, choć go

„okrzyczano zdrajcą“,

on „nie chciał narodowym zostać winowajcą“.

Nawet Telimena w wielkiej scenie zerwania z Tadeuszem, gdy padły między niemi nieodwołalne słowa wzgardy i obelgi

„...której żaden nigdy nie słyszał Soplica“.
„...z dzikiej młodzieńca postawy
Zgadując rozpacz, widząc, że pobiegł nad stawy,
...puszcza się za nim...
Krzycząc:
Stój! głupstwo! Kochaj, czy nie! Żeń się sobie,
Czy jedź! tylko stój!“

Nawet Telimena...

Tak trzymając ciągle u serca swego nić akcyi drgającej to dramatycznym, to tragicznym tonem i potęgując ton ten do najwyższej mocy, nigdy go przecież poeta nie naciąga w „Panu Tadeuszu“, aż do wydania niesfornego zgrzytu.

Słyszymy raz wprawdzie, w koncercie Jankiela zgrzyt taki, zgrzyt, „jak gdyby żelaza po szkle“, zgrzyt, który

„przejął wszystkich dreszczem
I wesołość pomieszał przeczuciem złowieszczem“,

ale ten

„...akord rozdąsany,
Przeciwko zgodzie tonów skonfederowany“,

należy do przeszłości, nie akcyą jest, ale opowieścią niejako, i wnet też pęka „ze świstem struna złowróżąca“.

Panuje tedy w księdze tej sfera pogody, sfera harmonii, sfera świata, który choć błądzi uczuciem, uczuciem też błędy swe naprawia, i który poeta trzyma u serca swojego zrównoważony na złotych wagach miłości. Cały ten ludzki świat choć malowany z mistrzowskim objektywizmem, grawituje przecież ciągle do serca poety, nigdzie i nigdy nie zbaczając w stronę karykatury lub w stronę patosu, zaobserwowanych i opisanych na zimno. W każdym portrecie z tej galeryi archetypów jest ton ciepły, słoneczny, świetlany, jest choćby drobne, choćby ulotne pociągnięcie pędzlem w sercu poety maczanym. Stąd ani jeden z tych ludzi obojętnym nam nie jest. A kiedy na ostatniej zaręczynowej uczcie

„szlachta ciągle pije i wiwaty wznosi
Napoleona, Wodzów, Tadeusza, Zosi“,

czujemy ich tak blizkich, tak swoich, jak tych

„przyjaciół, których kto żywy spamięta
I których zmarłych pamięć pozostała święta“.

Czujemy nieprzeparcie, że to nasz świat. Owszem, mamy ochotę razem z nim i ku niemu zawołać: „Kochajmy się!“

Ale nie mniejszą miłość, niźli w ten świat ludzki, przelał poeta w obrazy przyrody, która mu za tło służy, a nastrojem, wyrazem uczuciowym, kolorytem tak ściśle z akcyą jest związana, iż śmiało powiedzieć można, że w akcyi tej wprost udział bierze.

Jakoż tak jest istotnie. Ten pierwszy zaraz, szeroko, pogodnie malowany zachód słońca, nad owemi polami uprawnemi

„nakształt ogrodowych grządek“,

ten zachód, z którego ostatnim błyskiem

„Cichną i stają sierpy gromadnie dzwoniące
We zbożach i grabiska suwane po łące“,

nietylko nas inicyuje w sam rdzeń trybu życia w domu pana sędziego Soplicy, ale jest po prostu odbiciem jego pogodnej duszy, jego ziemiańskich myśli, uczuć, obyczajów. Tło mówi nam tu tyleż co obraz sam i owszem, żadne tło do obrazu tego lepiej dobranem być nie mogło. Ale kiedy

„Nad Soplicowem słońce weszło i już padło
Na strzechy...“ „kiedy derkacz z łąki wrzasnął“,
A „...ozwał się nad głową ranny wiosny dzwonek,
Również głęboko w niebie schowany skowronek“,
Kiedy „...orzeł szerokiem skrzydłem przez obszary
Zaszumiał, strasząc wróble...“
Gdy „...jastrząb pod jasnemi wiszący błękity,
Ujrzawszy wpośród łąki ptaka lub zająca,
Runie nań z góry, jako gwiazda spadająca“ —
Gdy „...słychać bydła w pole idącego ryki...“

czujemy wprost, że ten młody dzień wstaje tak rzeźki, tak pełny ruchu i świeżości dlatego, że w soplicowskich lasach będzie polowanie, któremu ów „derkacz“, ów „jastrząb łowczy“, ów „orzeł szumiący“, jakby pobudkę myśliwską o wschodzie słońca już grają.

I jeszcze: Czy znalibyśmy samego Tadeusza tak, jak go znamy, gdyby nie rozkrył przed nami swej duszy prostej, lecz umiejącej „czuć i wdzięk przyrodzenia“ w przepysznym obrazie „lasów litewskich“, „drzew ojczystych“, i obłoków „ojczystego nieba?“

Zaiste, ów akt nadania ziemią chłopów w dzień zaręczyn z Zosią byłby nam prawie że w tym młodzieńcu mało

zrozumiały, gdyby się w tych obrazach nie było odmalowało jego głębokie uczucie dla rodzinnej ziemi. Uczucie, które sprawiło, że on,

„...prostak z przyrodzenia
Mógł „patrząc w las ojczysty“ być „pełen natchnienia“.

A teraz dopiero te „knieje“, te „mateczniki“, które zdaje się po to tylko przez setki lat rosły, istniały, żeby wyhodować i wypuścić niedźwiedzia na strzał Bernardyna! A oważ

„chwila ciszy w soplicowskiem domie,
Chwila przed burzą cicha i ponura“.

Ten wieczór, kiedy

„niebo zdawało się zniżać,
Ścieśniać i coraz bardziej ku ziemi przybliżać,
Aż oboje skryli się pod zasłoną ciemną,
W szeptach, w szmerach i słowach nawpół
[wymówionych“.

jak żywy, jak bezpośredni udział bierze w naradach i w zadumie o przyszłych wypadkach! Jak przeczucia i nastrój wzmagają się, rosną, gdy rozważamy w ciszy to gwiaździste niebo, na którem nagle zjawia się — kometa!

A teraz znowu wschód słońca. Jakże inny, jakże niepodobny do tego, co „promieniem drażnił oczy sennych“. Teraz słońce to

„wschodzi odarte z promieni,
Nawpół widne, napoły w czerni chmur się chowa,
Wiatr wzmaga się i pędzi obłoki ze wschodu,
Gęste i poszarpane, jako bryły lodu,
Każdy obłok w przelocie deszczem zimnym prószy,
Z tyłu za nim wiatr leci i deszcz znowu suszy“.

Pytam się, czy ten poranek naprzemian „chłodny i słotny“, nie bierze wprost żywego udziału w doli szlachty, która

„skuta w kłodzie,
Siedziała rzędem, dzwoniąc zębami na chłodzie“.

Więcej nawet: czy ta zmienność chwilowa pogody nie była już zapowiedzią zmienności losów i zwycięzców i zwyciężonych? Czy nie słyszymy już prawie turkotu kwestarskiej bryki i tych ciężko a nie samemi tylko prowiantami ładowanych wozów, którym furmanił „Maciej Rózeczka“, Prusak i Zan z Mickiewiczem?

A burza? Czyliż ta burza nie zmawia się, nie spiskuje wprost z szlachtą w owym dniu, kiedy to w Soplicowie „pożądany był czas jak najburzliwszy“. Czyliż nie ona to, nie ta burza, jakiej równej opisu niema żadna literatura, czyliż nie ona

„boju plac mrokiem okrywszy
Zalała drogi, mosty zerwała na rzece,
Z folwarku niedostępną zrobiła fortecę“.

O tem więc co się działo w obozie Soplicy:

„A właśnie zawisł szlachty los od tajemnicy“.

A ówże przylot ptactwa owej wielkiej wiosny „o której stąd lubią bajać starzy, o której i pieśń dotąd marzy“, ten bocian, co „rozpina u rodzinnej sosny skrzydła białe, jak sztandar“, te „gromadzące się nad wodą jaskółki“, „co nadciągają krzykliwemi *pułki*“, ten szept wieczorny „ciągnącej po zaroślach słomki“, te stada dzikich gęsi, które

„szumią ponad lasem
I znużone na popas spadają z hałasem“.

Te „w ciemnej głębi nieba jęczące żórawie“, ten niepokój „w królestwie skrzydlatem“, ten ruch „zamieszania“, ta „burza“, co te ptaki „tak wcześnie wygania“. Jakże to wszystko przedziwnie malarsko i nastrojowo łączy się z ruchem owych „stad gilów i siewek“ i „szpaków“; — z kolorytem „jasnych kit i chorągiewek“, co furczą — i „ze wzgórków spadają na błonie“. Jest w tem tle i w tym obrazie ten sam lot, szum, pęd, furkot, ta sama barwność, to samo uskrzydlenie, ta sama niewczesność nawet, co „w on czas wyraju, za pta-

ctwem lud ruszyła". Niewczesność, w ślad której idącą klęskę przeczuwały owe

„w ciemnej głębi nieba jęczące żórawie".

Ale oto już

„wschodził uroczysty dzień Najświętszej Panny
Kwietnej. Pogoda była prześliczna, czas ranny,
Niebo czyste wokoło ziemi obciągnięte..."

zdaje się obejmować ziemię tę w ramiona.

„A oko słońca... jeszcze nieco senne,
Siedmią barw błyszczy razem: szafirowe razem,
Razem krwawi się w rubin i żółknie topazem".

Ten ranek nie mógł być inny. To musiał być „dzień uroczysty", aby „pospólstwo mogło z całej okolicy zebrać się już przed wschodem w kaplicy", a tym sposobem zobaczyć owych „sławnych dowódców, których lud znał imiona, tułactwa, wyprawy i bitwy". Musiał to być dzień „uroczysty", bo lud „czcił ich jak patronów". To musiał być dzień „Najświętszej Panny Kwietnej", aby wieśniaczki „niosąc pierwszy dar wiosny, świeże snopki ziela", mogły przybrać tam wszystko „w bukiety i w wianki", aby w powietrzu całem czuć było wiosnę i nadzieję. Słońce nie mogło wzejść inaczej, jak „błyszcząc siedmią farb razem", jak tworząc promienną tęczę pokoju pojednania i między pamięcią Jacka Soplicy, a współziemianami i między assesorem i rejentem, i co ważniejsza między dworem a ludem, przez czyn Tadeusza, czyn, na który wprawdzie kwasi się Gerwazy w obawie, aby to

„nie było coś z niemiecka,
Bo wolność nie jest chłopska rzecz, ale szlachecka",

zgadzał się przecież, „kiedy inaczej nie można". A tak, naprawdę w dniu tym było „niebo wokoło ziemi obciągnięte". Ale ten genialny zestrój przyrody i akcyi, jako tła i obrazu, jako środka pomocniczego w przedziwnem malowaniu momentów i charakterów, nie ujmuje bynajmniej indywidualnej siły

przyrodzie. Jest ona przedewszystkiem, ta przyroda, w „Panu Tadeuszu“ ogromnie żywa, a potem ogromnie swojska.

Tę żywość tchnął w nią poeta przez mistrzowskie odtworzenie jej ruchu, jej czucia, przez przedstawienie jej w stanie czynnym zawsze.

Słońce gdy wschodzi, bywa „jeszcze senne“
Ono *drżąc wstrząsa* swe rzęsy promienne“.
To znowu „z wilgotnego *wykrada* się mroku,
Wiodąc świt bez rumieńca, dzień bez światła w oku“.
I niewesoło *idzie*, a po drodze *drzemie*“.

Kiedy się wypogadza, —

„wiatr *rozwija dłonie*
I mgłę *muska, wygładza, rozściela* na błonie,
A słońce „z góry tysiącem promieni
Tło *przetyka, posrebrza, wyzłaca, rumieni*“.

W lasach litewskich:

„Ożyna czarne usta *przytula* do malin,
Drzewa i krzewy liśćmi *biorą się za ręce*.
Dąb, *włożywszy* pięć wieków na swój kark garbaty,
Wspiera się na swych przodków skamieniałych trupach,
A sędziwe buki i matrony topole,
Siedząc w milczeniu, *patrzą* na dzieci i wnuki“.

Któż z nas nie widzi, jakoby żywej tej brzozy, która

„gdy *ręce załamie, rozłoczy*
Po ramionach strumienie warkoczy,
Niema z żalu, postawą, jak wymownie *szlocha*“.

Albo kto ich nie widzi, jak żywych owych obłoków, co to „*ściskają się, grubieją, rosną*, dostają krzywych karków, *rozpuszczają* grzywy, *wysuwają* nóg rzędy i po niebios sklepie *przelatują*...“

Kiedy Wojski gra, drzewa *wysłuchują*

„rogowej arcydzieło sztuki“,
Poczem „*powtarzają* je dęby dębom, bukom buki“.

„Słońce, „robotnik boży“ *schodzi* z nieba“ tak właśnie, jak gospodarz z pola. Czasem znowu „*spuszcza* głowę, *zasuwa* obłok i *westchnąwszy* ciepłym powiewem — *usypia*“, a kiedy przyjdzie mrok, dwa stawy —

„podwójnym *odezwą* się chórem,
Jeden z nich modrą piersią *jęk wydaje* cichy,
A drugi „swym gardzielem mętnym,
Odpowiada mu *krzykiem* żałośnie namiętnym“.

Aż uczyni się noc i

„Księżyc srebrną pochodnię *zanieci*,
Wyjdzie z boru, i niebo i ziemię *oświeci*“.

Otóż ten ciągły ruch, ten ciągły stan czynny przyrody sprawia, iż nam się wprost zdaje, jakoby ona sama przez się brała udział w akcyi na mocy głębokiego współuczuciowego związku z ludźmi; sprawia, iż nawskróś całej tej księgi, od pierwszej do ostatniej jej karty, tętni życie przyrody, żywej naprawdę, a nie malowanej. Ale oprócz tego, że jest żywą, jest ona także ogromnie swojską.

O Mickiewiczu mogła śmiało powiedzieć Telimena to, co mówi o Orłowskim. I poeta, jak malarz, miał „gust Soplicowski“. Owszem obu im

„była wspólną Sopliców choroba,
Że im oprócz ojczyzny nic się nie podoba“.

Światło miesięczne leje się w strugę tak, jakby u stawu siedziała „*świteziankа*“. Strumień wybiegłszy rowem, na równinie rozkręca się,

Jako piękny „*wąż żmudzki zwany giwajtosem*“
Co choć zdaje się drzemać, leżąc między wrzosem,
Pełznie, bo na przemiany srebrzy się i złoci“
Mgła wisi nad ziemią“
jak „strzecha ze słomy
Nad ubogą Litwina chatką“

Kastor i Polluks, zwący się niegdyś u Słowian Lele i Polele,

„teraz w zodyaku gminnym znowu są przechrzczone:
Jeden wyraża Litwę a drugi Koronę".

„I to wiadomo także u *starych Litwinów*, że Lewiatan" jest nie „wężem lecz rybą", że zdechł z niedostatku wody po potopie,

„...i że go zawieszono tak na niebios stropie,

jak *pleban mirski* zawiesił w kościele,

„Wykopanych olbrzymów żebra i piszczele".

Kiedy w ów poranek mgły spadły i „ziemię całą wiatr tumanami osnuł a słońce dzierzgało", wiatr i słońce czynią to „jak para mistrzów *w Słucku* pas lity wyrabia".

Jeżeli chodzi o zwierza, to o takiego, co siedzi w „*puszcz litewskich* przepastnych krainach", jeśli o wiekowe drzewa, to będzie to *Wielki Baublis*,

„w którego ogromie
Wiekami wydrążonym, jakby w dobrym domie,
Dwunastu ludzi mogło wieczerzać za stołem..."

Poeta zapytuje to o

„...*gaj Mendoga* pod farnym kościołem",

to o lipę „...*na Ukrainie*, czy dotąd się wznosi
Przed Chołowińskich domem, *nad brzegami Rosi*",

to opiewa olbrzymy odwieczne, co rosną w puszczach

„...*Białowieży, Świtezi, Ponar, Koszelewa*".

Tęskni do tych „przyjaciół starych" i do nich też woła z przejmującą tęsknotą:

„...czy dotąd żyjecie,
Wy, koło których niegdyś pełzałem jak dziecię?"

Niepodobna mi wszakże mnożyć tu przykładów. Dość książkę wziąć do ręki, żeby poczuć, iż ta burza, te wschody i zachody słońca, te lasy, pola, te gaje, ta ziemia, to niebo, nie są jakąbądź burzą, ani jakimbądź lasem, ani jakąbądź ziemią lub niebem; ale że to wszystko jest nasze, ogromnie i tylko nasze, że to owszem jest ten

„kraj ubogi i ciasny“,
co „...jak świat jest boży, tak on jest nasz własny“.

Niekiedy poeta zdaje się niedowierzać uwadze czytelnika, jego przenikliwości, jego czuciu swojskiego piękna. Tworzy on wtedy te przecudne antytezy swojskiej i obcej przyrody, antytezy, które zawsze wypadają na korzyść przyrody swojskiej. Tak kiedy Telimena i Hrabia

„Zaczęli więc rozmowę o niebios błękitach
Morskich szumach, i wiatrach wonnych i skał szczytach,
Mieszając tu i owdzie, podróżnych zwyczajem,
Śmiech i urąganie się nad ojczystym krajem,
A przecież wkoło nich, ciągnęły się lasy
Litewskie, tak poważne i tak pełne krasy!“
„...Tadeusz nie przestawał dąsać się i zżymać,
Nakoniec nie mógł dłużej od gniewu wytrzymać.
Był on prostak, lecz umiał czuć wdzięk przyrodzenia
I patrząc w las ojczysty, rzekł pełen natchnienia:
— Widziałem w botanicznym wileńskim ogrodzie
Owe sławione drzewa, rosnące na wschodzie
I na południu, — w owej pięknej włoskiej ziemi:
Któreż równać się może z drzewami naszemi?
„...*Czyż nie piękniejsza nasza poczciwa brzezina?*

Albo

„...to państwa włoskie niebo, jak o niem słyszałem,
Błękitne, czyste. Wszak to jak zamarzła woda;
Czyż nie piękniejsze stokroć wiatr i niepogoda?
„*U nas* dość głowę podnieść: ileż to widoków!
Ileż scen i obrazów z samej gry obłoków!“

A kiedy Hrabia

„powiada, że to jest znakiem barbarzyństwa
Polować *tak, jak u nas*, bez żadnego względu
Na artykuły ustaw, przepisy urzędu,

i kiedy się „żali, że cywilizacya większa“ jest gdzieindziej, tam, gdzie „o polowaniu są ukazy, i dozór policyi“, poeta

kładzie w usta Telimeny przewyborną opowieść o losach jej „Bonończyka“, którego portret ma w biurku i o śledztwie Kiryła Gawrylicza, mającem rozsądzić, czy „rozkoszna psina“ przez psy „małego czynownika“ „na daczy“ uszczuta, jest „łanią kotną“, czy „domowym zwierzem“.

Ale bywa i tak, że poeta nie bawiąc się w antytezy po prostu, powiada nam naprzykład, że

„*Żadne żaby nie grają tak pięknie jak polskie*“.

albo, że

„*Na Litwie*“ jest „Gatunek much osobny...“

A jest to ta sama metoda, którą przenosząc na rzeczy domowe, powiada nam, że „*Takiej kawy jak w Polsce niema w żadnym kraju*“. No, i ta sama pobudka także.

Otóż to życie przyrody, ta jej swojskość, to uczucie, i — co tu długo mówić — ta dusza wprost, którą w nią poeta tchnął tak potężnie, iż obrazy te nietylko widzimy, ale je czujemy także, to wszystko sprawia, iż przyroda w „Panu Tadeuszu“ nigdy, nigdzie, żadną swoją cząstką nie stoi samotna, obojętna i niezestrojona z akcyą. Że owszem wszystkie jej mistrzowsko wyrażone momenty, jej radości, jej zasmucenia, jej gniewy, jej cisza, jej melancholia, że wszystkie one wchodzą i mieszczą się w wielkim uczuciowym kręgu, którym poeta objął świat swej epopei.

Nie należy nam tedy uważać, z niektórymi krytykami razem, iż przyroda i społeczeństwo są w „Panu Tadeuszu“ *dwoistem* źródłem natchnienia. Tak nie jest. Źródło natchnienia jest tu jedno tylko, a tem jest serce poety, jest uczucie obejmujące kraj rodzinny cały, z jego ludźmi, z jego przyrodą, z jego ziemią i niebem razem.

Nie chcę ja krzywdzić czytelników moich przypominaniem im osnowy „Pana Tadeusza“. Wszak mamy ją wszyscy przed sobą, jak żywą. Wiemy, że ta osnowa około „ostatniego zajazdu na Litwie“ osnuta, opiera życie domowe, rodzinne o zrąb wielkich wypadków dziejowych, tak silnie i tak bezpośrednio, że echo gromów w zrąb ten bijących, wstrząsa

do głębi także owem życiem, które, związane z niemi już czynnie, już biernie, ruch swój i kierunek z nich bierze. W tych to wypadkach ogólnej, dziejowej wagi, tkwią sprężyny całej akcyi „Pana Tadeusza“. W nich tkwią przyczyny, które wywołały jej zawiązek, aż do drobiazgów, aż do imienia

„młodzieńca, który nosił Kościuszkowskie miano
Na pamiątkę, że w czasie wojny się urodził“.

One to, te wypadki ogólnej i dziejowej wagi tworzą i całe szerokie, przepyszne tło akcyi i cały ogromny horyzont, całą perspektywę epopei, a to począwszy od tych nowin, które

„nagle, niby kamień z nieba,
Spadały na Litwę...“

a które przyniósł czasem

„Dziad żebrzący chleba,
Bez ręki i bez nogi...“

a kończąc na owym wielkim roku, który

„...lud dotąd zowie rokiem urodzaju,
A żołnierz rokiem wojny...“

To ścisłe połączenie wypadków, publicznej, europejskiej wagi, z życiem domowem, to tkwienie wprost, że tak powiem, organiczne „cichej wsi litewskiej“ w dziejowym momencie świata i kraju, tworzy drugi, potężny krąg uczuciowy epopei, krąg uczuć obywatelskich. Jakoż zauważmy, że nikt na przestrzeni całej księgi tej, nie trwa, nie żyje w zasklepieniu wyłączności spraw własnych, w obojętnym kwietyzmie ciasnego samolubstwa. Ziemia drży — i drżą serca: taki jest stosunek ludzi tych do dziejowego momentu. Tak Jacek Soplica, jak Jankiel, tak Sędzia, jak pan Podkomorzy, tak Tadeusz, jak Hrabia, tak dwór, jak zaścianek, tak kościół, jak karczma: nikt i nic nie żyje tu, nie działa w obojętności na sprawy publiczne. One to, te sprawy publiczne, pośrednio

albo bezpośrednio zadzierzgają i rozplątują wszystkie węzły akcyi, te nawet, które jak romans, jak miłość, niezależnemi się od nich na pierwszy rzut oka być zdają.

One to, w pierwszej linii, zawiązują tragicznie, a rozwiązują wzniośle losy Jacka Soplicy, którego wielka postać w mniszym, pokutnym kapturze, jest sercem akcyi, sercem bijącem najsilniej uczuciowem tętnem miejsca i czasu. One to, te sprawy są treścią historyi „ostatniego z Horeszków“ i co za tem idzie, pierwotną przyczyną spotkania Tadeusza z Zosią w domu stryja.

Niemi wre karczma, kiedy tam w niedzielę

„Robak wsparty na stole współgłośno rozprawia,
Tłum szlachty go otacza i uszy nadstawia“

i kiedy tabakiera Bernardyna otwiera się razem z zamysłami jego, tym przepysznym Skołubom, Wilbikom, Jurahom, Żaglom, Birbaszom, którzy choć o krój taratatki lub czamary do oczu sobie skaczą, przecież na lada cicho wymówione słowa:

„„Ziemia włoska“, „Tabaka z Polski“, „Częstochowa“,
„Jakby myśl z myślą, wyraz sam zbiegł się z wyrazem,
Tak wszyscy jednogłośnie, jak na dane hasło
Krzyknęli...
Wszyscy się uścisnęli: chłop z tatarskim hrabią,
Mitra z krzyżem, Poraje z Gryfem i Korabią,
Zapomnieli wszystkiego, nawet Bernardyn,
Tylko śpiewali, krzycząc...“

One to, te sprawy „Maćka nad Maćkami“, co „wrócił do swej chaty pokłuty jak sito“, stawiają na czele całego zaścianka; one są linią i barwą, któremi nam poeta, w jednem, w dwóch słowach maluje owych Kluczników, Woźnych, Prusaków, Buchmanów, Chrzcicieli, Kropicieli, Brzytwy i Różeczki. Wszyscy oni chociaż wrą kipiątkiem swarów, mają w sercu i na myśli

„...co ksiądz Robak bąkał
Choć nigdy nie dokończył i zawsze się jąkał“.

A ich uczucia, ich podniety, jakże wymownie tłómaczy Skołuba:

„Kiedy nas zapraszano z naszego zaścianka,
Mówiono nam, że wielkie rzeczy dziać się miały,
Że tu nie o Dobrzyńskich tylko idzie“,

więc nie o prywatę, nie o interes własny, osobisty, drobny, samowtór chodzący, ale o sprawy publiczne.

One to, te sprawy publiczne i związane z niemi uczucia stworzyły tę przedziwną rozmowę Sędziego z Robakiem, w której Sędzia chwyciwszy za szyję Bernardyna „co siły“ wołał ze łzami:

„...Czy to tylko prawda?
Mój kochany Robaku, czy to tylko prawda?“

Rozmowę, w której przez to pozorne zaniedbanie rymu, pokazał nam poeta cały gwałt tych uczuć właśnie, cały ich gwałt aż do łez, aż do niedbania, w jaki się wyrażą sposób.

Na nie to wzgląd, na sprawy te i na te uczucia, godzi powaśnionych w stanowczej chwili zajazdu, łącząc i napastników i poszkodowanych w jednym porywie obrony. One to, te sprawy, stanowią tło tego „niewymownego przeczucia“, z jakiem „cały lud litewski“.

Poglądał każdej nocy na ów cud niebieski,
Na kometę pierwszej wielkości i mocy,
Co zjawion na zachodzie, leciał ku północy“.

One to, te sprawy, ogarniają

„Serca Litwinów razem z wiosny słońcem
Jakiemś oczekiwaniem tęsknem a radosnem“,

one to, te sprawy i związane z niemi uczucia, zgromadzają w kaplicy w dniu rehabilitacyi Jacka i przybycia wodzów, pospólstwo z całej okolicy.

One chylą starego Rębajłę do nóg Kniaziewicza; one sprawiają, że nawet ów serwis dobyty z skarbca dla uświetnienia uczty przez Wojskiego, choć to

„...machina nudna, staroświecka,
Chociaż ma pozór niby zabawki dla dziecka“,

że nawet ten serwis, jako pamiątkę

„...owych biesiad sławnych,
Które dawano w domach panów starodawnych,
Gdy kraj zażywał szczęścia“,

że i on zajmuje nietylko Henryka Dąbrowskiego, ale i nas także.

One to rodzą tę najpiękniejszą scenę, w której Tadeusz zapytuje zaręczonej sobie Zosi:

„...Co wieśniacy zyskają z tą szczęśliwą zmianą?

i w której mówi dalej:

„...Oddajmy im w dziedzictwo posiadanie ziemi,
Na której się zrodzili, którą krwawą pracą
Zdobyli, z której wszystkich żywią i bogacą“.

One wreszcie, te sprawy i te uczucia są melodyą, są duszą, są czarodziejskim wyrazem owego wielkiego „Koncertu nad koncertami“, po którym Jankiel,

„...Jakby sam swojej dziwił się piosence,
Upuścił drążki z palców, podniósł w górę ręce,
Czapka lisia spadła mu z głowy na ramiona,
Powiewała poważnie broda podniesiona,
Na jagodach miał kręgi dziwnego rumieńca,
We wzroku ducha pełnym błyszczał żar młodzieńca,
Aż gdy na Dąbrowskiego starzec oczy zwrócił,
Zakrył rękami, z pod rąk łez potok się rzucił,
— Jenerale — rzekł — ciebie długo Litwa nasza
Czekała, jak my żydzi Mesyasza...
Ciebie prorokowali dawno między ludem
Śpiewaki...
...O ty nasz!...“

. . . . . .

Trzeci krąg uczuciowej siły w „Panu Tadeuszu", która jest zarazem jego twórczą, jego dynamiczną, a także jego odtwarzającą, jego malarską siłą, stanowią uczucia rodzinne, domowe. Tutaj to mieści się właśnie

„...Ten kraj szczęśliwy, ubogi i ciasny,
Co jak świat — boży, tak on jest — nasz własny".

Kraj, o którego obszarze wyraźnie mówi nam poeta, iż się rozciąga

„...Aż po granicę, po sąsiadów domy".

Ale jeżeli ten trzeci uczuciowy krąg epopei nie jest tak, jak dwa poprzednie rozległym, moc jego niemniejszą jest przeto. Owszem, ściśle rzeczy biorąc, on to właśnie stanowi jądro, stanowi sam rdzeń dzieła. On też był przedmiotem najdotkliwszej tęsknoty poety, którego głęboka uczuciowość cierpiała wśród obcych głód i chłód, będący przyczyną, „iż im dalej granic" owego ubogiego i ciasnego świata, „tem ciężej było mu żyć". Jakoż zdaje się chwilami, że konieczność ogrzania serca i nasycenia tych właśnie domowych i rodzinnych uczuć, decyduje o samej budowie dzieła, o tem, co ma iść naprzód, a co ma iść potem. Że z niej to właśnie wynika, iż pierwszym obrazem otwierającym akcyę epopei, jest powrót Tadeusza pod dach ojczysty, jest radość i rozrzewnienie na widok rodzinnego domu. Że jest to wprost zaspokojeniem tego, co było najpilniejszem, najbardziej przez poetę upragnionem. „Dawno domu nie widział", mówi poeta napozór obojętnie, krótko. Ale ileż szalonej tęsknoty uczujemy w tych słowach, gdy pomyślim, że pisał je Mickiewicz, mierząc oczyma we łzach i w ogniu przestrzeń lat dziesięciu, przestrzeń czasu i miejsca, jaka go od domu dzieliła, i że wtedy już nie widział swej powrotnej drogi.

Wszystkie barwy, wszystkie linie, całe oświetlenie tego pierwszego obrazu, wzięte są bezpośrednio i żywcem ze wspomnień poety. Inne obrazy mógł poeta odtwarzać z opowieści tylko; on mógł je tworzyć tylko. Ten wszakże ma swoje osobne miejsce. On należy do grupy momentów dzieła —

przeżytych. Jakoż, kiedy Tadeusz wbiega do domu, gdy „okiem chciwie ściany starodawne ogląda czule, jako swe znajome dawne“; gdy widzi

„Też same... sprzęty, też same obicia,
Z któremi się zabawiać lubił od powicia“;

gdy ze ścian patrzą na niego „też same portrety“ wodzów-bohaterów, gdy u wnijścia do alkowy poznaje w drewnianej szafie stojący stary zegar kurantowy,

„I z dziecinną radością pociąga za sznurek,
By stary Dąbrowskiego usłyszeć mazurek“;

gdy

„...biega po całym domu i szuka komnaty
Gdzie mieszkał dzieckiem będąc“ —

wiemy już, że to jest jeden z wileńskich powrotów poety do Zaosia i do Nowogródka.

Wiemy także, iż poeta, tworząc obraz ten, zaspakaja wprost głód serca, „chce się napić, nadyszeć“ uczuć rodzinnych, domowych.

Jakoż nie same „ściany starodawne“ witają wracającego młodzieńca. Oto

„Pan Wojski poznał zdala, ręce rozkrzyżował
I z krzykiem podróżnego ściskał i całował.
Zaczęła się ta prędka, zmieszana rozmowa,
W której lat kilku dzieje chciano zamknąć w słowa
Krótkie i poplątane, w ciąg powieści, pytań,
Wykrzykników i westchnień i nowych powitań“.

I któż to jest ten Wojski, co z takim gwałtem uczuć przyjmuje „Pana Tadeusza“? — „Daleki krewny i przyjaciel domu“. Oto skala serca tego wprost nadzwyczajnego świata,

„...gdzie do pana przywiązańszy sługa,
Niż w innych krajach małżonka do męża,
Gdzie żołnierz dłużej żałuje oręża,
Niż tu syn ojca...“

Antytezą tego momentu jest powitanie pana Sędziego z synowcem. To było krótkie i milczące. Pan Sędzia dał Tadeuszowi „poważnie rękę do pocałowania“ i „w skroń go ucałował“. Ale ta powaga, ta krótkość powitań, to tylko wzgląd na gości, na obecnych, bo

„Widać było z łez, które wylotem kontusza
Otarł prędko, jak kochał pana Tadeusza“.

Jakoż w ciągu całej osnowy dzieła to „kochanie“ przebija, niby złota nitka. Pan Sędzia, lubo zaprzątniony i gospodarstwem, i gośćmi, i sądem granicznym, ciągle ma na oku losy Tadeusza. Wprost wyznaje Telimenie, że ma o niego „niemało niespokojności“, i mówi:

„Jestem bezdzietny, stary; ten dobry chłopczyna
Wszak to moja na świecie pociecha jedyna,
Przyszły dziedzic fortunki mojej...“

Gdy ojciec Tadeusza „chce go słać w legiony“, pan Sędzia jest tem „okropnie zmartwiony“.

On zawsze ma dla młodzieńca rodzicielskie serce i pobłażliwość ojcowską, a chociaż fuka trochę, gdy mu mały jego „palec powiedział“, że Tadeusz ma jakieś „kabały z damami“, przecież mu i te kabały przebacza i tłómaczy sam, on, „który też był młody“, byle tylko młodzian był szczęśliwym. A ta miłość wszędzie jest dyskretna, nigdzie nie objawia się despotycznie, głośno, nie ma też pychy rodowej na celu, ale tylko Tadeusza szczęście.

Ta dyskrecya, ta wstrzemięźliwość, ten półcień, że tak powiem, stanowi naczelną cechę uczuciowości pana Sędziego Soplicy. Nie słyszymy, naprzykład, żeby rozprawiał o kwestyach społecznych, o obowiązkach dworu dla ludu, o przywiązaniu do ludu: a przecież dowiadujemy się w Dobrzyńskim zaścianku, że

„on pierwszy zabraniał,
Ażeby chłop się przed nim do ziemi nie kłaniał“,

że „...u niego gromada
Chłopska nieraz do stołu z nim razem zasiada“,

że „...płaci za włość podatki“.

To znów dowiadujemy się od ekonoma, że

„...kiedy w chłopską jarzynę
Wskoczy chart, a otrzęsie dziesięć kłosów żyta“,

pan Sędzia „oddaje mu kopę“.

A kiedy na zaręczynowej uczcie ma grać kapela z wodzami przybyła, „pan Sędzia w ucho rzekł do jenerała“, żeby wpierw „wiejskim muzykom zagrać pozwolono“, bo jeśli

„...ich odprawi, będą biedni płakać,
A lud przy innej muzyce nie potrafi skakać“
„...niech się i lud podweseli“.

Nic też przez długi czas nie wiemy dlaczego pan Sędzia trwa w bezżennym stanie. Dopiero gdy Tadeusz musi „unosić głowę za Niemen“, chce Sędzia to serce „młode i podróżne“ uchronić od „tentacyi różnych“ pierścieniem zaręczającym młodzieńca z Zosią. Dopiero wtedy, i to tylko dla wykazania jak „wielką władzę ma ślubna obrączka“, przypomina ten „afekt“, jaki miał dla panny Wojszczanki przed laty trzydziestu; dopiero wtedy dowiadujemy się historyi tego pełnego tkliwości serca:

„...Byliśmy zaręczeni, Bóg nie błogosławił
Związkowi temu i mnie sierotą zostawił“.
„Pozostała mi tylko pamiątka jej cnoty,
Jej wdzięków, i ten oto ślubny pierścień złoty.
Ilekroć nań spojrzałem, zawsze ma nieboga
Stawała przed oczyma: i tak, z łaski Boga,
Dotąd mej narzeczonej dochowałem wiary,
I nie bywszy małżonkiem, jestem wdowiec stary,
Chociaż Wojski ma drugą córę dość nadobną
I do mojej kochanej Marty dość podobną!“

„To mówiąc, na pierścionek z czułością spozierał
I odwróconą ręką łzy z oczu ocierał".

Krwawą wprost, pełną zduszonego żaru kartą jest miłość Jacka Soplicy dla syna.

Że czuwa nad nim, że „ciągle nim zarządza", że chce go to „w legiony słać", to znów chce, „by w domu pozostał i żeby się ożenił", — wiemy to z rozmowy, jaką pan Sędzia ma z Telimeną „we brzozowym gaju". Razem wszakże z panem Sędzią zaniepokojeni, podrażnieni jesteśmy tem, iż

„Jacek Bóg wie gdzie się kryje!
Nawet nie chce synowi oznajmić, że żyje".

Jestże to obojętność? Bynajmniej! To dramat. I oto poeta daje nam samym widzieć jedną dramatu tego scenę, scenę, która nam nigdy z pamięci nie wyjdzie, a jest tem bardziej przejmującą, iż wiemy, że jest przedśmiertną i ostatnią w tym dramacie sceną. Pan Sędzia dawniej już poznał był w Robaku zginionego Jacka. On poznał go nocy owej, kiedy Tadeusz

„Chodząc jako wartownik około drzwi stryja...
Słyszy wewnątrz szlochanie; nie trącając klamek,
Ostrożnie dziurką klucza zagląda przez zamek.
Widzi rzecz dziwną. Sędzia i Robak na ziemi
Klęczeli, objąwszy się, i łzami rzewnemi
Płakali... Robak ręce Sędziego całował,
Sędzia księdza za szyję, płacząc, obejmował".

Zgadzał się on wówczas na czasowe dochowanie tajemnicy Jacka; zgadzał się, żeby Jacek żył i umarł

„...Bernardynem,
Nie wydając nazwiska nietylko przed gminem,
Ale nawet przed tobą (Sędzią) i przed własnym synem".

Teraz wszakże, kiedy przyśpieszone przez zajazd wypadki splątały całą robotę Robaka, kiedy sam Robak wziął kulę tam, „gdzie miał strzał dawniejszy", strzał jeszcze z „pod Jena", a Tadeusz, „za Niemen mając unieść głowę"

„...stryja obejmował
Ze łzami, i Robaka w rękę pocałował...
Robak, ku piersiom chłopca przycisnąwszy skronie
I na głowie mu na krzyż położywszy dłonie,
Spojrzał ku niebu i rzekł: „Synu! z Panem Bogiem".
I zapłakał, a już był Tadeusz za progiem.
„...Jakto? — zapytał Sędzia — nic mu brat nie powie
I teraz?... Biedny chłopiec! jeszcze się nie dowie
O niczem? Przed odjazdem!..."
— „Nie... — rzekł ksiądz — o niczem...
(Płacząc długo z zakrytem rękami obliczem)".

Jakie to proste, silne, a jakie krwawe! Ta postać Jacka Soplicy to cały świat uczuć gwałtownych, rwących, burzliwych, namiętnych, a także świat uczuć rzewnych i niewieściotkliwych. Żyją one w nim, pałają i cierpią niepogodzone od pierwszej do ostatniej chwili. Gdybyśmy tedy chcieli dać imię tej, tak złożonej uczuciowości, musielibyśmy nazwać ją: rozterką. I w tej-to właśnie rozterce, w tem bojowaniu z sobą tak potężnych, a tak różnych uczuć, tkwi dramat tej duszy, a także dramatyczny węzeł epopei. Zauważmy bowiem, że same podniety uczuciowe i wywołują czyny Jacka i niszczą je także.

Kocha Ewę, córkę stolnika Horeszki; przecież, opętany pychą, udaje przed szlachtą, że

„drwi z magnatów
I z córek ich..."

Kocha Ewę, szaleje z miłości, ale nie wyjawia swych uczuć. Duma nie pozwala narazić się na to, aby mówiono, że

„Soplicy Horeszkowie odmówili dziewkę!
Że mnie, Jackowi, czarną podano polewkę..."

I tak się już dalej spowiada:

„W końcu, sam już nie wiedząc jak sobie poradzić,
Umyśliłem ze szlachty mały pułk zgromadzić

I opuścić nazawsze powiat i ojczyznę,
Wynieść się gdzie... na Tatarszczyznę
I zacząć wojnę...“

To on. A ona?

„Biedna, słysząc o moim odjeździe, pobladła,
Bez przytomności, ledwie że trupem nie padła;
Nie mogła nic przemówić — aż się jej rzuciły
Strumieniem łzy: poznałem jak byłem jej miły!“
„Już chciałem znowu upaść ojcu jej pod nogi,
Wić się jak wąż u kolan, wołać: Ojcze drogi,
Weź za syna lub zabij!...“

Jacek chce potem uciec sam od siebie, od tej wojny, która się w nim zapaliła:

„Miałem za sobą Dobrzyn i cztery zaścianki“
„Gwałtem porwać? Wszak mógłbym; z za krat i z za [klamek
Wydarłbym ją, rozbiłbym w puch ten jego zamek!“

Ale ten płomień gwałtu gaśnie w niewypowiedzianej czułości, z jaką rozważa słabość Ewy: „Słaba, lękliwa! był to robaczek motyli“

„...tak ją zagrabić,
Dotknąć ją zbrojną ręką, byłoby ją zabić...“

Ten twardy szlachcic, ten gwałtowny Jacek Soplica wprost topnieje, gdy Ewa spojrzy nań błagalnie, gdy zblednie jej lice... On, coby się pokrzywdzić nie dał i królowi — a nie dopieroż Stolnikowi! —

„...on zły i wściekły milczał wtedy jak owieczka,
Jak gdyby *sanctissimum* ujrzał“.

Nagle mu „szatan pomsty inne plany rai“. Jacek żeni się „z pierwszą lepszą ubogą dziewczyną“, choć jej nie kocha; udaje, że serce zmienił, i czeka chwili zemsty na magnacie.

Ale ta nowa rozterka uczuć, to ożenienie się z niekochaną, pcha go na dno rozpaczy. „Zacząłem pić...“ Przecież

„nie mógł zapić pamięci na chwilę...“ Aż przychodzi szturm na zamek Horeszków, a z ręki Jacka pada ów tragiczny strzał, który jest także owocem rozterki jego uczuć. „Bardziej“ bowiem „niźli z miłości“, zabił z „głupiej pychy“. Ale ten strzał nie przynosi mu ukojenia: owszem, nową rozterkę w nim wyradza.

Bo oto przylega do niego imię zdrajcy „jako dżuma“, i „jako plama w chorem oku“; wije się ono przed nim „od rana do zmroku“. On przecież „narodowym“ nie był „winowajcą...“, chociaż go miano gwałtem za swego stronnika.

„Uciekłem z kraju...
„Gdziem nie był! Com nie cierpiał!“
„...wszedłem między mnichy...
Ja, niegdyś dumny z rodu, ja, com był junakiem,
Spuściłem głowę; kwestarz, zwałem się Robakiem,
Że jako robak w prochu...“

Ale i teraz wewnętrzna rozterka uczuć nie daje mu ukojenia. Oto stoi na rozdrożu zamiaru i czynu. Czyn, „cel wielki, który mu życie zaprzątał, ostatnie jego ziemskie uczucie na świecie“, wybucha wcześniej nad zamiar i gaśnie bezsilny, może przez samego Jacka zbytkiem żarliwości przyśpieszony... Może... I tak zastaje go śmierć niepogodzonym z sobą i nieukojonym.

Nie mamy w naszej literaturze — a i w innych, poza opowieścią Franczeski w Boskiej Komedyi, szukalibyśmy daremnie — tak skoncentrowanego, tak pełnego dramatycznej siły obrazu miłości jak ten, który Mickiewicz stworzył w wielkiej spowiedzi Robaka. A to mimo jego pozornej luźności. Luźność ta bowiem nie jest osłabiającem wrażenie rozproszeniem treści. Owszem, ona sama jest i dramatyczną i tragiczną siłą obrazu; tkwi w niej bowiem przedewszystkiem ogromna różnolitość pierwiastków uczuciowych, składających się i na miłość tę i na jej klęskę — pierwiastków takiej żywiołowej mocy, że każdy z nich mógłby być zawiązkiem przejmującego dramatu. Każdy też z nich odzywa się, woła swoim własnym namiętnym głosem, a głos każdego kona w wes-

tchnieniu, w jęku. Wszystkie struny uczuciowe są tu szarpnięte, wszystkie wydają zgrzyt i wszystkie się skarżą. Ta różnolitość, to bogactwo żywiołowe tej miłości i jej kollizyi, i jej dziejów, sprawia, że uczucie Jacka zaledwie ma czas wyjawić się nam, jakgdyby w błyskawicach tylko; zaledwie ma czas, a nawet wprost nie ma czasu, wypowiedzieć swej siły, swego bólu, ogromu swej klęski.

Ale luźność ta tkwi nietylko w tym psychologicznym momencie; nietylko w gwałcie, w nagłym wybuchu długo tłumionych a tak różnolitych i złożonych uczuć. Ona, ta luźność, ma także przyczynę swoją wprost fizyologiczną. Ona tkwi w uchodzeniu sił życia, w gaśnięciu płomienia życia, ona tkwi w agonii Robaka, ona sama jest tej agonii obrazem. A tak i z tej strony także wzmaga i pogłębia tragiczną siłę tej wielkiej spowiedzi pękniętego serca.

Zato miłość Tadeusza i Zosi — to samo życie, sama świeżość, sama wiosna. Wciąga ją niejako Tadeusz w siebie razem z wonią tych fijołków, tych stokroci, któremi oddycha, pochylony w oknie dawnej swej komnaty; wciąga ją w siebie razem z widokiem białości sukienki owej, świeżo z kołka zdjętej, z widokiem zostawionego na piasku śladu nóżki, co

„...bez trzewika była i pończoszki".

Śmiało powiedzieć można, że nim młodzieniec zobaczył Zosię, był już w niej zakochany.

Tak właśnie przychodzi wiosna. Nie widział nikt jak szła, a oto jest i kwitnie. Każde też zetknięcie się z sobą tych dwojga ma coś wiosennego w sobie. „Nietylko młodość ich sama, ale i poeta tworzy dokoła nich tę wiosnę. On z wiosną spiskuje poprostu i wyłudza od niej różne tajemnice. Naprzykład, ta nieświadomość, niepewność przedmiotu miłości w Tadeuszu, a nieświadomość samej miłości w Zosi: jaka w tem wiosna!

Fijołki gdzieś pachną; gdzieś w powietrzu pachną, gdzieś w trawie — ale ich nie widać. Może samo powietrze jest kwiatem...

Tadeusza ta nieświadomość plącze w pomyłkę, w romans z Telimeną. Zosia w stanowczej chwili wie o sercu swojem tylko to, co

„...Panny mówiły w Wilnie".

a panny mówiły, „że jest zakochana". A jeśli mówiły, no, to chyba tak musi być! Chyba musi być zakochana.

Ilekroć Zosia ukazuje się Tadeuszowi — a chwile te są i krótkie i rzadkie, tak właśnie jak odetchnienie prawdziwą wiosną i życia i ziemi, — zawsze w tem ukazaniu się jest coś polnego i coś majowego. Samo to już niewykończenie ubrania przy pierwszem spotkaniu, te nierozwite z papilotów włosy, czy nie jest to, jakby kto zobaczył kwiat w pączkach cały, jeszcze niedomalowany przez słońce? A potem widzi ją Tadeusz na parkanie: tak właśnie jakby mógł zobaczyć pierwszego wiosennego motyla, pierwszą pliszeczkę polną. Wlatuje wreszcie Zosia przez okno tak, jak wlatuje powiew wiosny świeży, „cicha, nagła i świecąca".

Ale słońce podniosło się już wyżej. I barwy Zosi, te pierwsze blade i nikłe pierwiosnkowe barwy, nabierają światła i koloru. Z tą rączką, zastawioną od słońca, które się jej przez palce sieje rubinowe, z temi szeroko otwartemi oczami, które senny Tadeusz widzi nad sobą w wykrojonem okiennicy sercu, z tym koralem ust roztulonych, z tą twarzyczką płonącą od słonecznych blasków — czy nie jest ona pierwszą różą, jaka się rozwinęła owej wiosny? Ale i koleje tej miłości, jej troski, jej niespokojności, jej łzy, to wiosenne chmury i dżdże też wiosenne. Samo nawet jej zakończenie zaręczynami, a nie małżeństwem, zachowuje jej ten charakter wiosny.

Owszem, sam nawet romans Tadeusza z Telimeną jest jakby przysłonieniem tej miłości przed pożądań żarem, przed skwarem lata. Poeta wprost rozłamał to uczucie tak, że na część Zosi przypadła — sama wiosna.

Ta prosta, pogodna, ta wpół dziecinna jeszcze miłość Tadeusza i Zosi jest szczęśliwą antytezą tragicznej miłości Jacka Soplicy ku Ewie. Jest ona także jakby żywym i roz-

kwitającym kwiatem, w przeciwstawieniu do tego nieśmiertelnika, który, trochę sztywny, trochę suchy, ale jeszcze mówiący wspomnieniem aż do wywołania łez, nosi pan Sędzia w sercu, po swej Marcie.

Ale do tego świata uczuć rodzinnych, domowych, należą także przepyszne typy starych sług, domowników, którychby raczej przyjaciółmi zwać trzeba. A także tych zaściankowych „szaraczków", co to gromadą stawali za panami, i sprawy ich za własne swe mieli. Tu należy ten wyborny Protazy woźny, co to na swoją rękę urządza intromissyę do spornego zamku, a choć stanowisko jego w Soplicowie jest takie, że pomaga panu Sędziemu pas wiązać i rozwiązywać, nie mówi przecież o kontrowersie między Soplicami a Horeszkami inaczej, jak „*nasz* zamek", „*nasze* prawa". „*My* — powiada — do zamku *nabyliśmy* prawa". „*My wzięliśmy* od dzisiaj zamek w posiadanie".

A przypominam tu tę postać umyślnie z tej tylko strony, ze strony uczuciowej. Jakże ją dobitnie maluje ta stara wokanda, co Protazemu,

„niby złoty ołtarz służy,
Z którą się nie rozstaje w domu, ni w podróży".
„Dla ludzi jest ta księga tylko imion spisem",

ale dla niego to modlitewnik, na którym serce jego wspomnieniem się modli.

A potem Gerwazy, — Klucznik, Rębajło, Półkozic, Mopanku! — co to za typ, co to za postać cała na uczuciu oparta!

„Szlachcic to był, służący dawnych zamku panów,
Pozostały ostatni z Horeszków dworzanów"
„Dawniej pomiędzy szlachtą z wesołości słynął,
Ale od bitwy, w której dziedzic zamku zginął,
Gerwazy się odmienił...
Odtąd jego dowcipnych żartów nie słyszano".

Ten nie ma własnej historyi życia swego; on żył życiem swych panów, a teraz jest „Puszczykiem", nakręcającym

stare zegary, które nie biją mu już godzin życia; jest „Klucznikiem“, otwierającym mogilne wieka wspomnień.

Co to za wspaniała scena, kiedy Gerwazy oprowadza Hrabiego, potomka Horeszków („chociaż po kądzieli!“), po zamku i mówi:

„Słuchaj pan historyi swej własnej rodzinnej“.

Jakże nam tu do głębi pokazał poeta źródło tradycyi domowych! Chowały je nawet serca sług starych, „przywiązańszych do panów, niż w inszych krajach małżonka do męża“.

Nie wymyślił tego stanowiska sług starych poeta. Sam Gerwazy je czuje, wie, że jest jego godnym. Jakże wspaniale, w poczuciu tem, stary klucznik kończy opowieść swą o tragicznej śmierci Stolnika:

„Tak zginął pan potężny, pobożny i prawy,
Który miał w domu krzesła, wstęgi i buławy, —
Ojciec włościan, brat szlachty. *I nie miał* po sobie
Syna, któryby zemstę poprzysiągł na grobie!...
Ale miał sługi wierne!“

Miał sługi wierne... Do tego okrzyku nic dodać nie można, chyba to, że

„Gerwazy umilkł i łzami się zalał“.

Taki to jest ten świat uczuć prostych, silnych, żywych, na które poeta znajduje zawsze równie żywy, prosty i silny wyraz, już to w ruchu pojedyńczych postaci w „Panu Tadeuszu“, już to w przedziwnym ruchu mas, który to ruch stanowi właściwe życie epickiego dzieła.

Ta siła, ta żywość uczuć jest przecież niekiedy tak potężną, że wybucha z duszy poety bezpośrednio, niewcielona w żadną z figur epopei, w żaden moment jej właściwej akcyi, i wielką siłą swoją rozpiera epickie ramy dzieła na rzecz indywidualnych uczuć poety, a zatem na rzecz liryki.

Taką jest, oprócz wstępnej „Inwokacyi“, apostrofa do drzew domowych, a także do drzew „Białowieży, Świtezi, Ponar, Kuszelewa; takim jest mianowicie okrzyk:

„Ja tylko jednę taką wiosnę miałem w życiu!“

Jest to jak gdyby zapamiętanie się w uczuciu tak silnem, tak żywem, iż siłą swoją i żywością przenosi ono miarę wszystkich dusz w tej epopei czujących. Jest to okrzyk na na miarę duszy samego poety.

Przez ten to okrzyk, przez tę apostrofę a także przez wielką Inwokacyę wstępną jest poeta naprawdę sam i w swej własnej osobie przytomny akcyi całej, i w dziele swem jawnie obecny. Przez nie to powiedzieć on może naprawdę, że „był tam“, że „pił miód“ słodyczy i „wino“ upojenia, razem i z tą przyrodą ojczystego kraju i z tym orszakiem nieśmiertelnych, przez siebie stworzonych postaci.

Tu słowo. Może się komu wydawać, że ludzie w tej epopei płaczą zbyt często, zbyt wiele. Istotnie: płacze sędzia, poznawszy Jacka w Bernardynie; płacze jeszcze, patrząc z czułością na swój pierścień ślubny; płacze Robak, kiedy się żegna z Tadeuszem; i Tadeusz płacze, obejmując Sędziego, a kiedy mu Sędzia chce zaręczyć przed odjazdem Zosię, „chłopiec młody“ czując, że jej niegodzien teraz, wymawia się... aż tu zaświeciły, „jakby dwie wielkie jagody pereł, dwie łzy na wielkich błękitnych źrenicach i stoczyły się szybko po rumianych licach“.

Nawet Zosia przy rozstaniu się z Tadeuszem „sypie łzami jako brylantami“.

Zauważmy przecież, że nie wszystkie te łzy są łzami cierpienia, że przyczyny ich są bardzo rozmaite i bardzo złożone, i że, co za tem idzie, niema w nich powtarzania się, niema jednostajności.

Kiedy Sędzia „otarł prędko“ łez kilka „wylotem kontusza“, witając się z synowcem, to dlatego, że bardzo „kochał pana Tadeusza“.

Kiedy w rozmowie z Robakiem „łzy mu się w oczach

zakręciły", to z niepewności „czy to tylko prawda", co mu Robak powiedział o Napoleonie.

Jankiel kiedy „szlocha", to dlatego, że Polskę, „jako Polak kocha". Kiedy stary Rębajło przed Kniaziewiczem „klęczał", objął go za kolana i ze łzami „jęczał", to pewno nie ze smutku, ale z radości, że jego „scyzoryk" („a to piękny scyzoryk, istny miecz katowski!"), że jego scyzoryk nie będzie po nim „sierotą". Wszak go Kniaziewicz

„...lekko jakby szpadę dźwignął,
I nad głowami gości błyskawicą mignął,
Przypominając polskie fechtarskie wykręty".

A jeżeli tak jest — przykłady zaś ledwo że natrącam, nie wyczerpując ich zgoła — jeżeli tak jest, to dowód, że łzy te, płynące z tak różnych powodów i w tak różnych momentach, są uważane przez poetę za naturalny wyraz wszystkich silnych wzruszeń, za wyraz, jaki własnym jego wzruszeniom poddawała jego głęboka uczuciowość, i że — w logicznym wyniku — łzy te nigdzie nie są obmyślanym na zimno efektem, ale, że im poeta daje płynąć w takich chwilach, w którychby niezawodnie i sam był zapłakał. Istotnie. Nigdy on w ludzi swoich tych wzruszeń nie wmawia; on im ich z siebie użycza. Kto wie czy dalekim będzie od prawdy ten domysł, że sam nieraz przy tworzeniu tych momentów uczuciowych czuł łzy pod powieką. Wszak mówią nam biografowie, że wzruszenie Mickiewicza nieraz się objawiało łzami; że znał on i gorycz i słodycz łez, ich ogień i rosę także. Jakoż łzy są nietylko w „Panu Tadeuszu", ale w całem Mickiewiczowskiem dziele wyjawieniem się duszy tkliwej i mocno czującej. W epopei zaś, która nas w tej chwili zajmuje, nie daje poeta łez w chwili wzruszenia tylko istotom płytkim, powierzchownym, a także tym wszystkim, którzy coś utracili ze swojskości charakteru i mało są ze swojskością wogóle związani.

Jakoż nie widzimy, aby płakał — Hrabia, mimo, że go widzimy „mocno wzruszonym". Wszak w całej scenie opo-

wieści Gerwazego w zwierciadlanej sali nie znalazł Hrabia ani jednej łzy w oku, choć znalazł „*sujet*“ do rycerskiego romansu. Nie widzimy także łez w pięknych oczach Telimeny. Owszem, z nią jest gorzej jeszcze niżeli z Hrabią: ona udaje, że płacze. Kiedy Hrabia odjeżdża, chcąc być „bohaterem“ i biorąc „kolory“ pięknej pani klęka i całuje jej rękę,

„...Telimena zbliżyła do oka
Chustkę, a drugiem okiem pogląda z wysoka
Na Hrabię, który żegnał ją mocno wzruszony.
Ona wzdychała, ale ruszyła ramiony“.

Tak to dar łez uważał poeta za właściwość natur prostych, szlachetnych i silnie czujących.

Tu może jest właściwe miejsce do powtórzenia tych głęboko odsłaniających nam duszę poety słów, które Mickiewicz wyrzekł o księdzu Lamennais:

— „To jest jedyny w Paryżu człowiek, którego łzy widziałem“.

XIV.

Jest to znamiennem w „Panu Tadeuszu“, iż spotykamy się w nim po raz pierwszy i jedyny w całem Mickiewiczowskiem dziele z pożądaniem osobistego szczęścia.

Bo jakże! Pierwsze pieśni swoje tworzy Mickiewicz dla celów „filareckich“, że tak powiem, jak niemniej „Odę do młodości“, która jest hasłem społecznej pracy i jej pieśnią razem.

Ballady tworzy, już to, aby dać wyraz tej mocy, z jaką „czucie i wiara“ do niego mówią, już to, aby „straszyć Marylę“. „Grażyna“, uwieczniając bohaterstwo niewieściej duszy, uwspółrzędnia ją z duszą męzką.

Konrada Wallenroda czyny opiewa poeta, abyśmy

„Chwilę jednę tak górnie przeżyli,
Jako przodkowie niegdyś całe życie“.

Z „Dziadów“ chce uczynić „jedynę dzieło swoje warte czytania“, a wiemy już, że „takie tylko dzieło uważa za godne czytania, z którego się czegoś nauczyć można“. Najpotężniejsza zaś ich część, wielka Improwizacya Konrada, ma wyraźnie postawiony cel swój, swój prometejski tragiczny cel: zdobycie „rządu dusz“ na Tym, „który czuje w niebie“. Ten sam rząd dusz i „dźwignięcie ludu“, są natchnieniem „Ksiąg Narodu“ i „Ksiąg Pielgrzymstwa“ także. Cała tedy twórczość poety ma zawsze na względzie jakiś duchowy utylitaryzm, jeżeli tak powiedzieć można. Chce on, mianowicie, w każdem dziele swojem osiągnąć jakiś cel, nie ku sobie, ale ku dobru ludzi-braci zwrócony. Zawsze chce naród swój „dźwignąć, uszczęśliwić“, chce „nim cały świat zadziwić“.

Ale w „Panu Tadeuszu“ pojawia się pierwiastek uczuciowy nowy, nowy bodziec twórczy; pojawia się pragnienie „szczęścia“ dla siebie. W „Panu Tadeuszu“ wogóle mówi się dużo o „szczęściu“ i wiele myśli, wiele zwrotów około szczęścia się obraca. Weźmy na uwagę wstęp tylko. Tam:

„Jedyne *szczęście*, kto w szarej godzinie,
Z kilką przyjaciół siadłszy przy kominie...
...Wyrwał się myślą do *szczęśliwszych* czasów“.

I znowu:

„Dziś dla nas, w świecie nieproszonych gości,
W całej przeszłości i w całej przyszłości
Jedna już tylko dziś kraina taka,
W której jest trochę *szczęścia*...
Kraj lat dziecinnych!...“

I jeszcze:

„...Te kraje radbym myślami powitał,
Gdziem *rzadko płakał, a nigdy nic zgrzytał*“.

I jeszcze znowu:

„...Ten kraj *szczęśliwy*, ubogi i ciasny,
Jak świat jest boży, tak on był nasz własny“.

Nie słyszymyż tu ciągle targanej struny serca, które łaknie szczęścia? Szczęścia, jakieby serce to znaleźć mogło w ograniczonym zakresie pragnień, w sferze „ciszy i pogody“, w sferze „domowej zagrody“, w tym „ubogim“ i „ciasnym“ kraju, który jest przecież krajem „szczęśliwym“? I czyż nie odpowiada temu naczelnemu pożądaniu jedynego „*szczęścia*“, które w samym akcie twórczości miało być „wyrwaniem się myślą do *szczęśliwszych* czasów“, to zaciszne także i pogodne życzenie, życzenie nieprzechodzące granic „domowej zagrody“, jakie poeta wyraża, stawiając cel tej twórczości w słowach:

„O, gdybym kiedy dożył tej pociechy,
Żeby te księgi zbłądziły *pod strzechy!*“.

a także przekładając nad „laur Kapitolu“

„Wianek rękami wieśniaczek usnuty
Z modrych bławatków i zielonej ruty“.

„Domowa tedy zagroda“, „sfera ciszy i pogody“, świat „ubogi i ciasny, ale własny“, przedstawiający się poecie, jako kraj *szczęścia*,

„Niezaburzony błędów przypomnieniem,
Niepodkopany nadziei złudzeniem,
Ani zmieniony wypadków strumieniem“ —

jest jakby cichą upragnioną przystanią, do której poeta dąży i której pożąda, jako — szczęścia.

Otóż mniemam, iż nie będzie to domysłem fałszywym, że jest w tym całym nastroju coś, co wywołało parokrotne dopytywanie się Mickiewicza w listach „czasu owego pisanych“, o „Celisię“, córkę fortepianistki, Maryi Szymanowskiej, w Moskwie i w Petersburgu widywanej często przez poetę; że owszem, nastrój ten wzmógł się jeszcze w czasie pisania „Pana Tadeusza“ i stał w mniej więcej ścisłym związku z tworzonemi w tem dziele obrazami uczuć rodzinnych, domowych; że wprost stał w związku z faktem, iż się Mickiewicz po napisaniu „Pana Tadeusza“ ożenił.

Ożenił się z panną Celiną Szymanowską, więcej zapewne ze skłonności w owym czasie do samego małżeństwa niżeli do osoby oblubienicy, którą znał i widywał, gdy prawie dzieckiem jeszcze była.

Jakoż to, że się ożeni, postanawia poeta już wcześniej: „Postanowiłem był tego roku zdecydować się ostatecznie, czy mam się ożenić, czy bezżennym pozostać. Obrałem łatwiejsze“ — pisze w jednym z listów. Łatwiejszem zdało się poecie ożenić się, i to też wybiera, „nie czując do trudniejszego dosyć siły“. Później zaś dopiero do tego już zrobionego postanowienia dobiera, że tak powiem, osobę przyszłej małżonki i pisze: — „Gdyby tu była Celisia Szymanowska, tobym się z nią ożenił“.

I tak się stało. Ale stało się wprost w odwrotnym temu porządkowi stosunku. Znalazł bowiem Mickiewicz w żonie wszystko, czego mu było potrzeba; znalazł „śmiałą, wesołą, na wszystkie przygody odważną towarzyszkę życia“. Samo wszakże małżeństwo, bez względu na zalety żony i mimo tych zalet, stało się grobem poetyckich natchnień Mickiewicza, a źródłem trosk o losy ukochanych.

Teraz trudne warunki, w jakich Mickiewicz żył i tworzył dotąd, jeszcze trudniejszemi się stały. Teraz trzeba było podejmować prace, któreby zapewniały chleb powiększającej się rodzinie. Teraz trzeba było myśleć o artykułach dziennikarskich, jak ten „O sztuce religijnej u Niemców“, drukowany w *Revue du Nord*, albo ten w *Le Globe* o „Puszkinie“, któreby dać mogły zarobek doraźny; o literackich drobiazgach, jak ów „Miesiąc miodowy rekruta“ *(Semaine de miel d'un conscrit)*, który, choć śliczny, już przez to samo, że pisany w języku obcym, musiał ciężyć poecie jako coś narzuconego okolicznościami. Bo jak tu — pytam — pisać nie po polsku o wielkim dniu „pod Stoczkiem“ i o tym młodym ochotniku, zakochanym w swojej armacie, jak w pannie? Ochotnik — tak, to jeszcze-by uszło. Ale dzień? Ten dzień, tak pełen uczuć, które tylko w ojczystym języku wypowiedziane być mogą?... Czy to nie musiało być sto razy branem, sto razy rzucanem, zanim się pisać dało?

A wszakże w takich samych warunkach powstają „Konfederaci Barscy“ i „Jakób Jasiński“.

Powstają jako dramaty, lubo tak ich materya, jak i sama natura twórczości Mickiewicza, domagały się dla nich formy epickiej raczej. Chociaż bowiem poeta posługuje się formą dramatyczną w „Dziadach“, ale się formą tą nigdzie nie krępuje. Jakoż panuje przy niej w „Dziadach“ najwyższa luźność liryczna, sprawiająca, iż II Część poematu jest prawie że udramatyzowaną balladą, a Część IV prawie że monologiem, zuważywszy, iż osoby poza Gustawem stojące, odgrywają tylko rolę chóru z Części II. Widzieliśmy już zresztą, że jest to dramat osobistego cierpienia na jedną rolę, tak, jak Część III, jest dramatem zbiorowego cierpienia na ról kilka, zawsze z ogromną przewagą liryki, z całą jej, niekrępującą się żadnemi względami, dowolnością. Nie można wątpić, iż sytuacye i kollizye dramatyczne Mickiewicz czuł, że każde dzieło jego ma jakiś mniej więcej silnie splątany węzeł dramatyczny, a to aż do Ballad nawet. To wszakże, co nazwać-by można strategią dramatu, obcem było jego twórczości. Potężna jego uczuciowość stawała na przeszkodzie temu dziełu rozmysłu, rozwagi, które plącze i rozplątuje węzły dramatyczne przez akcyę, a nie przez moc czucia, wyrażającą się w lirycznych wybuchach.

Ale teraz wypadło się poecie stosować do tej strategii właśnie. Teraz chodziło o to, aby i „Konfederatów“ i „Jasińskiego“ wprowadzić na scenę — i utrzymać na niej. Na scenę francuską. Teraz chodziło o to, żeby obcej i obojętnej publiczności dać uczuć głębię i ruch podniet obojętnych i obcych dla niej; żeby jej wzrok i słuch przykuć do ludzi, którzy temi podnietami żyją i pod ich wpływem działają. Teraz trzeba było stosować miarę porywających natchnień do wymagań sceny, do miary przeciętności widzów. I wszędzie przytem to ziębiące czucie, że się mówi do obcych, że się duszę własną na obcy język tłómaczy! Chce wprawdzie Mickiewicz obejść to czucie, zbliżyć się do tej publiczności, wprowadzając do Konfederatów Francuza de Choisy; ale wie, że to nie jest

węzłem dostatecznym. Pierwszy też raz poeta sędzią dzieła swego być nie umie.

Radzi się o nie pani Georges Sand, radzi się Alfreda de Vigny, radzi się aktora Bocage, i jeszcze, i jeszcze...

Ale co tu po radzie? Tu rady żadnej być nie mogło. A to samo już, że poeta szukał tej rady, dowodzi, że całe przedsięwzięcie pisania dla Francuzów, po francusku, polskiego dramatu, nie leżało w naturalnych granicach twórczości Mickiewicza; że, owszem, w samem tem przedsięwzięciu tkwił zasadniczy, pierworodny błąd dzieła. Jakoż radcy owi, choć wszyscy chwalą wyborny język, bogactwo charakterów i uczuć, wszyscy uważają przecież, iż to rzecz nie sceniczna i nie dramatyczna. Ściśle biorąc, była ona szalenie dramatyczna, ale dramat tkwił w tem, co Mickiewicz mówi o niej w liście do Odyńca: „Piszę to dla chleba". To był dramat właśnie.

Zrozumiał to Kajsiewicz, gdy w oburzeniu swem na wieść o biedzie, w jakiej żyje wielki poeta, woła w jednym z listów swoich z Rzymu pisanych: „Zgorszenie to wołające o pomstę, aby takiemu człowiekowi brakło na kawałek chleba".

Dla nas „Konfederaci" i „Jasiński" poza dokumentowem i biograficznem znaczeniem swojem mają wartość potężnego torsu. Z „Konfederatów" zostały tylko dwa pierwsze akty, z „Jasińskiego" mniej jeszcze, bo tylko cztery sceny pierwszego aktu. Czy rozproszyło się to i zaginęło po rękach ludzkich, czy poeta sam pracę swą zniszczył tak, jak zniszczył „Historyę przyszłości", nie jest to pewnem. Tak czy owak się stało, szkoda jest ogromna. Bo jeśli nawet dramaty te nie miały w sobie dość żywej akcyi scenicznej, aby przykuć do siebie uwagę Francuzów, mają one przecież tę silną lirykę, którą geniusz Mickiewicza tak często czynił wyrazem najwyższej dramatyczności.

Prawie jednocześnie, lub mało co przed francuskiemi dramatami, zaczyna Mickiewicz pisać swoją Historyę Polski, która nigdy nie miała być skończoną. Fragmenty wszakże te, co do nas doszły, niezmiernie są interesujące.

Zamierza w dziele swem Mickiewicz „zerwać z wszelkiem kłamstwem historycznem". Historyczną zaś prawdę za-

mierza osiągnąć przez bystre i pilne wpatrzenie się w rysy plemienne swojego narodu, tak, aby je odtworzyć mógł w całej ich czystości. Stąd idzie plan dzieła ogólny. Zamierzył sobie poeta mianowicie: zacząć od fizycznego i moralnego rozgraniczenia Polski wśród plemion słowiańskich; wykazać czem się ród nasz różni od innych Słowian w języku, w podaniach, i obyczajach; w każdej epoce oceniać nadewszystko zmiany pierwotnych rysów plemiennych przez obce, postronne wpływy. W epoce Piastów wpływ wiary na życie polityczne, społeczne i domowe; w epoce Jagiellonów wzajemne wpływy Litwy i Polski na siebie: spływ plemiennych rysów Litwy z rysami plemiennemi Polski; za Wazów niemieckie, francuskie i inne wpływy, każące czystość rysów narodowego oblicza; za Sasów zmącenie oblicza tego przez moralną i umysłową anarchię szlachty, która poniża stan królewski, a także duchowieństwo i włościan. Poczem pierwsze ślady odrodzenia plemiennego za Jana Kazimierza i Jana III, aż po najdobitniejszy rys tego odrodzenia w akcie Konstytucyi z r. 1791. Jako źródła do tej olbrzymiej pracy mają Mickiewiczowi służyć nadewszystko mówcy, kaznodzieje, a także poeci. Więc Modrzewski, Skarga, Klonowicz, Kochanowski: „bo w nich bije serce cierpiące narodu".

Rzecz prosta, iż na tak ogromną skalę założone dzieło nie mogło być robotą łatwą; nie mogło być nią z dwu powodów: najpierw dlatego, że Mickiewiczowi, mieszkającemu wówczas dla oszczędności na wsi, w Domant, brakowało co chwila podręcznych książek i źródeł do tej pracy; a powtóre, i więcej stokroć nawet dlatego, że umysł poety, z natury swej syntetyczny, i to do najwyższego stopnia, a zatem obracający się w szerokich uogólnieniach, nużył się drobiazgowością poszukiwań, tą całą wikłaniną faktów, które bądź cobądź czerpać trzeba było poza mówcami, kaznodziejami i poetami już to z kronik, już to z wcześniejszych historyków także. Owszem, z samego założenia dzieła, z samego punktu wyjścia tej pracy rosły nowe trudności. Nie mógł się bowiem Mickiewicz, w poszukiwaniu zasadniczych i pierwotnych rysów plemiennych swego rodu, zadowolnić wizerunkiem już jasnym narodowego

oblicza; a, co za tem idzie, nie mógł rozpocząć pracy swej od jakiejś już pewnej, już historycznie ustalonej epoki dziejowej. On te rysy postanowił wypatrzyć i określić sam. Stąd ta zmudna droga, jaką Mickiewicz przebywa, poszukując znamiennych rysów plemienia swego od chwili wyjścia Słowiańszczyzny z Azyi, wśród zupełnego niemal pomroku czasów, które przecież umie rozjaśniać nagłemi rzutami światła, czerpanego z podań.

Jakoż praca nad „Historyą“ ciągnie się lata całe. Mickiewicz skarży się w listach, że mu ta robota jest ciężką. To skarży się w liście do Domejki, „że mu ciężej dokopać się prawdy, niźli Domejce żelaza“. To pisze do Odyńca, iż „trudno co zrobić, bo u nas historyę strasznie sfałszowano“. To do brata pisze, że „trudno mu idzie, i że wielu rzeczy musiał się uczyć na nowo“. To wreszcie traci odwagę i wyznaje Kajsiewiczowi, że „wdał się podobno nie w swoje rzeczy“.

Bądź cobądź, zostały trzy księgi dzieła skończone.

Pierwsza z nich obejmuje dzieje Słowiańszczyzny od wyjścia z Azyi do czasów Lecha, Czecha i Ruryka.

Druga, dzieje Królestwa polskiego w rodzinie Piastów, do podziału państwa.

Trzecia przedstawia Polskę w podziałach, czyli „rząd panów“, aż do śmierci Kazimierza Sprawiedliwego w r. 1194.

Aby dokończyć dzieła — pisze Mickiewicz, że czeka „szczęśliwszych czasów i natchnienia“ — a w tem powiedzeniu tkwi oraz cała charakterystyka tego, co dokonanem zostało. Istotnie, trzy te księgi są często dziełem „natchnienia“, choć nie brak w nich śladów owej ciężkiej zmudnej pracy, o której mówi poeta w swych listach. Nad „pracą“ tą znać wszakże, iż Mickiewicz „ślęczał“, jak sam mówi. Dopiero kiedy materya obudza „natchnienie“, kiedy historyk może być poetą, tworzy przedziwne karty, od których bije wprost światło jasnowidzenia. Takiemi to rzutami światła są wielkie syntezy poetyckie, wysnute z zamierzchłych podań. Takiemi są obrazy przyrody, obrazy pełne ruchu i życia, bijącego z ziemi, wód i powietrza, — życia ogromnych puszcz, rozle-

głych równin, wielkich cieków wód; ruchu zwierza, ptactwa, i pór roku.

Zauważyć tutaj należy, iż sam punkt wyjścia dla całego zamiaru, dla całej osnowy dzieła, owo „wpatrzenie się w plemienne rysy narodowego oblicza“, nie inaczej dokonanem być mogło, jak przez przyjęcie za dokument podań ludowych, języka ludowego i ludowego obyczaju. Że zatem i tu „czucie i wiara“ ludu musiały do poety mówić silnie, silniej, „niż mędrca szkiełko i oko“, które poeta obwiniał właśnie o „sfałszowanie historyi“. A jeśli dodamy do tego, iż poeta w dziele tem „mierzył dzieła człowieka na skalę potrzeb i dążeń całej ludzkości“, uderzyć nas tu musi podobieństwo haseł wielkiej strofy filareckiej pieśni, strofy o „mierzeniu sił na zamiary“, tak, że słyszymy niemal echa jej, wskróś lat ubiegłych i wskróś oddalenia. I spostrzegamy tu rys naczelny Mickiewiczowskiego ducha: wieczną młodość jego i wieczną jego żywotność.

W zaraniu twórczości poety objawił się duch ten w hasłach, które miały w sobie całą moc, całą skończoność trwałych podstaw życia. Wtedy-to już wytrysnął zdrój prawdy ducha tego, zdrój tak obfity i żywy, iż starczy on i na cały genialny wyraz tego ducha i na wyraz wszystkich duchów, które za poetą szły, idą i iść będą ku ideałowi.

Ta jednolitość, ta trwałość, ta ciągłość haseł Mickiewiczowskich czyni dla nas z ducha jego i z dzieła jego to, co naród w poecie swoim, według słów Mickiewicza wyrzeczonych o Puszkinie, znaleźć i posiąść powinien: „punkt oparcia się“ i „sumienie swoje“.

Tymczasem praca dla chleba, rozbijająca wszelki zamiar poetycki, koniecznością podejmowania odręcznych dziennikarskich zajęć, miała jeszcze jeden skutek, i to ważny.

Tworzył się mianowicie w duchu poety martwy jakby kapitał wrażeń, uczuć i myśli, które, nie znajdując właściwego naturze swej ujścia w poetyckiej twórczości, stały się nieprzerobioną, fermentującą, że tak powiem, materyą, która, nurtując duchowy organizm poety, sprowadziła w nim ważne, psy-

chologiczne zmiany. Zmiany te objawiły się przedewszystkiem w mistycyzmie Mickiewicza.

Przyjętem jest powszechnie przez biografów poety utrzymywać, iż mistycyzm ów rozbudziły w Mickiewiczu pisma St. Martina i Jakóba Böhme. Ale jest to złudzenie tylko. Jest to złudzenie oparte na powierzchownem zestawieniu faktów, które, lubo są współrzędne sobie, okazać się przecież może, iż stają do siebie w stosunku przyczynowym wręcz odwrotnym.

Jakoż o pismach St. Martina pisze Mickiewicz do brata, iż „są rzadkie bardzo“, i radzi mu, aby je „wyszukał“. A jest to niezawodnie droga, którą sam poeta przebył dla poznania pism tych. On niezawodnie „szukał“ ich, bo tylko w ten sposób mógł nabyć przekonania, iż są „bardzo rzadkie“. Ale jeżeli ich szukał, znaczy to, iż w nim samym tkwił powód szukania tego, a mianowicie, że tkwiła w nim pokrewność duchowa, ku pismom tym ciążąca — że więc nie Jakób Böhme, ani nie St. Martin uczynił Mickiewicza mistykiem, ale, że Mickiewicz przez to, co w nim było mistycyzmem, wprost, wrodzonym, szukał Jakóba Böhme i St. Martina i poddał się ich wpływowi.

Jakoż nie mogło być inaczej. Każdy poeta jest mniej lub więcej mistykiem, a to świadomie, albo nieświadomie. Sam już akt poetyckiej twórczości, sama poetycka inspiracya daje poecie mniej lub więcej silnie uczuwać coś, jakby odrywanie się od ziemi, coś jakby dech, jakby wicher z za świata, rzucający go w pęd i w lot, poza warunki rzeczywistości, poza tryb i sposób powszedniego bytu. Otóż gdy każdy taki poszczególny akt i każdy taki poszczególny moment przynosi z sobą czucie niewidzialnych, więc wydających się cudownemi, węzłów z zaświatem, summa aktów takich i takich momentów musi wytworzyć w duchu poety żywiołowy niejako pierwiastek mistycyzmu, polegający na silnem, bo narastającem przez wielokrotność swoją, czuciu węzłów owych. Niezawodnie i ta sprawa jest prostszą, niż się to poecie wydaje. Niezawodnie nawet, lubo w stosunku do przeciętnej psyche ludzkiej zawikłana i niezwykła, przecież w stosunku do jego

wyjątkowej psychofizycznej organizacyi jest ona zupełnie prostą. Gdy przecież sam akt inspiracyi poetyckiej polega na odrywaniu się od realnych warunków życia, nie dziw, że poeta utraca z oczu zależną od warunków tych złożoność przyczyn samego momentu natchnienia, że wprost je za nic liczy, a całą wagę zjawiska przenosi właśnie na owe zaświatowe wpływy.

Ale jeśli jest to prawdą w stosunku do każdego poety, prawdą też być musi w stosunku do Mickiewicza — z tem zastrzeżeniem, że potęga jego geniuszu dawała momentom inspiracyi jego taką ciągłość, tak ogromną wyrazistość i siłę, iż ów „zaświat“ stał się wreszcie dla poety realniejszym prawie, niżli sama rzeczywistość, że stał się wprost jego światem, domem ducha jego. Jakoż w wielkiej Improwizacyi Konrada pokazuje nam poeta sam akt poetyckiej twórczości, sam moment wieszczego natchnienia z takim, że tak powiem, realizmem, jakby ta sprawa miała miejsce, nie w nim, ale nazewnątrz niego, jakby się odbywała przed oczyma jego. Otóż dopóki Mickiewicz tworzył, dopóty mistycyzm jego, jako czucie związku z zaświatem, spoczywał na dnie uczuciowości jego, „dymiąc tylko niekiedy przez słowa“; a to począwszy od wyznania, iż „czucie i wiara silniej mówią“ do niego, „niż mędrca szkiełko i oko“, aż do wulkanicznego wybuchu w Improwizacyi Konrada, po którym poeta do równowagi powraca.

W Petersburgu już poznaje Mickiewicz Oleszkiewicza, a przecież wpływom jego nie ulega; owszem, tworzy wkrótce potem arcydzieło plastyki i realnego żywego piękna, tworzy „Sonety krymskie“. W Dreznie czytuje Mickiewicz St. Martina; a przecież mistycyzm jego nie przeważa szali. Jakoż tam już obmyśla, a później tworzy poeta „Pana Tadeusza“, który całą swą doskonałą pięknością trzyma się wprost ziemi, z niej rośnie, nią dyszy, i w którym ani jeden wiersz, ani jeden wyraz mistycznemi nie są, którego owszem naczelnym rysem jest genialna równowaga, znajdująca na każdą myśl, na każde wzruszenie doskonale odpowiedni, zewnętrzny wyraz w malowaniu przyrody i charakterów ludzkich.

Dopiero kiedy twórczość poetycka Mickiewicza w pełni sił swoich zatamowaną została, gdyż wyczerpaną nigdy nie była; kiedy wrażenia i uczucia poety, nieprzerobione na dzieła piękna, nurtowały pierś jego — nadczułe i bolesne: wtedy dopiero ten nadmiar niezużytej na poetyckie kreacye energii twórczej wyżłobił sobie, że tak powiem, niezależne od nich drogi i, spłynąwszy niejako w wewnętrzne, najgłębsze pokłady ducha poety, rozbudził drzemiący tam mistycyzm, wzmógł go, natężył i stan jego bierny na czynny zamienił.

Odtąd mistycyzm ten szukać będzie dla siebie zewnętrznego wyrazu w życiu i w czynach poety. Odtąd zerwie on równowagę ducha jego i stanie się jego naczelnym żywiołem.

Odtąd zagłębi się Mickiewicz w karmiących mistycyzm ten dziełach Jakóba Böhme, St. Martina i Anioła Szlązaka. Odtąd zacznie szukać nowego pozaświatowego punktu wyjścia dla swych zamiarów i czynów. Poweźmie myśl tłómaczenia Ojców Kościoła, stanie się podnietą do założenia Zakonu „Braci Zjednoczonych"; całą tragedyę rozgrywających się wypadków krajowych, sprowadzi do winy i upadku ducha w jednostkach i w odrodzeniu jednostek położy wielką nadzieję swego życia: nadzieję narodowej pomyślności.

Aż przyjdzie chwila, w której duch poety od zetknięcia się z Towiańskim buchnie jak płomień.

XV.

Rok 1839 rozbudził w Mickiewiczu nadzieję jaśniejszej przyszłości.

Otrzymał, mianowicie, poeta uniwersytecką katedrę literatury łacińskiej w Lozannie, gdzie miał zarazem w gimnazyum kantonalnem wykładać historyę literatury starożytnej. Uposażenie nie było znaczne, ale stanowiło ów „grosz pewny", o który było tak trudno. Przy tych tysiącu ośmiuset frankach, za które oddawał teraz poeta swój czas i swoją pracę, można było bez trwogi myśleć o najbliższem jutrze

dla swoich. Ale niepodobna nie uznać, że przyjęcie owej profesury lozańskiej równało się aktowi abdykacyi z wszelkiego poetyckiego zamiaru; że, owszem, odsuwało ono Mickiewicza od zamiaru takiego na dalszą jeszcze metę, niż dotychczasowe dorywcze jego prace literackie „dla chleba". Po doświadczeniach kowieńskich jeszcze wiedział Mickiewicz, że go „lekcye na cały dzień paraliżują".

A tu przecież było jeszcze zupełnie coś innego, niż kowieńskie lekcye. Tu w przyjętych zobowiązaniach tkwił ogrom pracy, która dla poezyi zupełnie straconą być miała. Ściśle rzeczy biorąc, Mickiewicz do podjęcia tych wykładów dostatecznie przygotowanym nie był. Nie żył, nie obracał się w tej materyi od lat wielu, od czasów wileńskich i od lekcyi Grodka. W znajomości przedmiotu sam spostrzegał mnóstwo braków, mnóstwo niedostatków, które tylko nadzwyczajną pracą mógł dopełnić z dnia na dzień niemal.

— „Po całych dniach nie wstaję od stołu — pisze w jednym z swych listów poeta — a czasem i do pierwszej w nocy rozbieram jaki trudny metr łaciński". Prócz tego brakło mu rutyny, nie miał tego zżycia się z przedmiotem, jakie posiada nieraz w wysokim stopniu mierny nawet filolog, wdrożony do jednostajnych, całemi latami powtarzanych interpretacyi tego lub owego pisarza, tej lub owej epoki.

Ale genialny umysł poety obejmował niezawodnie rzecz swoją z tak wysoka, tak ją błyskami głębokich myśli, spostrzeżeń i porównań oświetlał, tak szerokie horyzonty otwierał przed słuchaczami, tak nieraz jednem słowem malował przedziwnie i tło i postacie rozsnuwanego przed nimi obrazu, że właściwie takich tylko wykładów, jak owe Mickiewiczowskie, słuchać warto. Kryła się pod tem praca, ogrom pracy; ale jej w wykładach nigdy widać nie było. Notaty obszerne, owoc owego ślęczenia „po dniach całych, a często i w nocy", czyniły niezawodnie sam przedmiot poufalszym poecie, ale nie przydawały mu się podczas wykładów na nic. Gdy tylko wszedł na katedrę i spojrzał na słuchaczy, mówca brał w nim górę nad profesorem. Cała ta czarna robota, cały ten olbrzymi nakład pracy służył wtedy Mickiewiczowi tylko za balast,

który go mniej więcej przy ziemi, to jest w obrębie faktów, trzymał. Raz wszakże przez tę przygotowawczą pracę przyswoiwszy sobie przedmiot, dawał się już unosić wprost improwizacyjnemu natchnieniu, roztaczając, już to w potężnych syntezach, już to w subtelnej analizie, całe bogactwo swego, w najwyższym stopniu intuicyjnego, umysłu. Każda więc taka lekcya to była wprost wspaniała improwizacya, porywająca w nowe światy myśli i czucie słuchaczy, a różniąca się od zwykłych wykładów, jak zdrój żywej wody różni się od zastałej sadzawki.

Że tak właśnie odbywały się te lekcye, to wiemy ze źródeł urzędowych, a zatem najmniej do zapału i przesady skłonnych: mianowicie z raportów, składanych Radzie kantonalnej przez rektora uniwersytetu i dyrektora gimnazyum w Lozannie. Bo rzecz dziwna: nietylko uczniowie byli porwani duchem bijącym z Mickiewiczowskich wykładów, ale i sami starzy profesorowie lozańscy, przysłuchujący się zrazu nieufnie trochę lekcyom cudzoziemca, wnet zostali oczarowani tak, jakby im samym po parę dziesiątków lat z karku spadło.

Rozwinięto ostatniemi czasy starania, aby znaleźć bądź notaty Mickiewicza, bądź zapiski słuchaczy jego kursu. Ale, chociażby je znaleziono nawet, byłby to suchy, najsuchszy skielet tego, co biło życiem w jego wykładach, co miało kolor, światło i woń tego życia. Mniemam też, iż pewniejszą charakterystykę lozańskich lekcyi wyczerpać można z raportów takiego Salomiaca i takiego Monnarda, aniżeli z zapisków owych, gdyby się nawet dały odszukać.

Pierwszym raportów owych skutkiem było to, że Rada kantonalna postanowiła podwoić pensyę Mickiewicza i zamianować go zwyczajnym profesorem swego uniwersytetu. A i to jest ujmującem niezmiernie, iż ci poczciwi Szwajcarzy nietylko pragną go uposażyć najwyższą, jaką rozporządzają płacą, ale nadto, z szczerością przynoszącą im prawdziwy zaszczyt, wyznają, iż sama obecność poety tak wielkiej, tak szerokiej sławy w ich mieście, już na to miasto sprowadza blask i chlubę.

Gdy wszakże zewnętrzne okoliczności tak się pomyślnie składały, duch poety wypalał się niszczącym go płomieniem tęsknoty ku poetyckiej twórczości, ku tej „ziemi obiecanej“, jak ją nazywa Mickiewicz, dodając: „patrzę na nią jak Mojżesz i wiem, że do niej już nie wejdę“. Zrywa się i teraz jakaś burza uczuć w duchu poety. Uczucia wołają o głos, o formę, o życie. Snują się wizye czarujące, to pierwszej Części „Dziadów“, to dalszych ich fragmentów, to jeszcze jednej księgi „Pana Tadeusza“, ale „trudny metr łaciński“ nie puszcza od siebie.

Przykuty do obowiązkowej pracy, do „pracy dla chleba“, podczas gdy duch jego rwie się „w rajską dziedzinę ułudy“, poeta walczy z sobą i z natchnieniem, „jak Jakób walczył z aniołem“. — Rozdwojenie — oto wyraz malujący obecny stan jego.

Oto jak się modli w tych lozańskich czasach:

„...Gdy mnie spokojnym zowią dzieci świata,
Burzliwą duszę kryję przed ich okiem;
I obojętna duma, jak mgły szata,
Wnętrze piorunu pozłaca obłokiem:
I tylko w nocy, cicho, na Twe łono
Wylewam burzę, we łzy roztopioną“.

Oto co mówi znowu i wyraźniej jeszcze:

„...Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada,
W oczy zagląda i głośno zagada, —
Dusza wówczas daleka, ach, daleka!
Błąka się...“

Jaka w tem prosta, a przejmująca i głęboka tragedya! Biegnie teraz poeta do samotności,

„...jak do wody,
Z codziennych życia upałów;
Z jakąż rozkoszą padam w jasno-czyste chłody
Twych niezgłębionych kryształów!...“

Ale wnet powracać musi do swych „łacińskich metrów“, do „pracy na chleb“. Mniejsza o to, że duch rozbity, rozbita już i nawa: zagłębia się i tonie. On wie, że musi „płynąć, płynąć i płynąć“, aż przyjdzie chwila, w której obejrzy się ku brzegom dalekim, najdalszym; że w tej mglistej perspektywie zobaczy i dom rodzinny i nowogródzkie czasy, i wileńskich druhów, i marzenia, i miłość swoją. I posłyszy i pieśni filareckie i modlitwę swoją w Ostrej Bramie, owego ranka, kiedy w świat wyruszył. I ujrzy wielkie postacie Wallenroda, Gustawa, Konrada — i cały, świeżo dobyty z serca, świat swej epopei, przypomni zamiary, nadzieje, a wtedy jęknie:

„Polały się łzy me czyste, rzęsiste
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie,
Na moją młodość górną i chmurną,
Na mój wiek męski, wiek klęski —
Polały się łzy me czyste, rzęsiste...
. . . . . .

W Paryżu tymczasem powstał zamiar utworzenia przy kollegium francuskiem katedry literatur słowiańskich. Inicyatywa, jaką w sprawie tej wziął Leon Faucher, ożeniony z Wołowską, krewną żony Mickiewicza, tudzież poparcie, jakiego zamiarowi temu użyczał w ministeryum oświecenia ks. Adam Czartoryski, dowodzą iż rzecz cała skierowaną była ku temu, aby katedrę tę objąć mógł Mickiewicz: owszem, chodziło tu głównie o to, aby Mickiewicza do Paryża sprowadzić, „na grunt odpowiedniejszy jego sławie“, jak to w listach swoich pisze Leon Faucher.

Ustalenie zamiaru, przyjęcie go przez sfery decydujące, oraz propozycya uczyniona poecie, przypadają właśnie na chwilę mianowania Mickiewicza profesorem zwyczajnym w Lozannie, z najwyższą, jaką Rada kantonalna rozporządzała, pensyą 3000 franków. Prawdopodobnem jest nawet, że pośpiech, z jakim ofiarowano poecie te korzystne zmiany, wywołały właśnie pogłoski o agitującym się w Paryżu zamiarze utworzenia owej katedry słowiańskiej. Mickiewicz walczył z sobą; walczył nawet z serdecznie sobie oddanym Wit-

wickim, który mu powrót do Paryża odradzał ze względu na rozstrajające poetę stosunki emigracyjne, pełne zawsze jeszcze

„...niewczesnych zamiarów,
Zapóźnych żalów, potępieńczych swarów".

Żal było Mickiewiczowi tej cichej przystani, jaką znalazł w Lozannie, tego pięknego kraju, który, choć nadeń przekładał „pejzaż litewski, gdzie można było odrazu usiąść, albo się położyć", niemniej musiał oczy jego czarować. A o ludziach pisze poeta, iż tam „byli dobrzy". A to jest rzecz niemała. Przykrem mu też musiało być i to, że robi zawód poczciwym Szwajcarom, którzy go już za swego liczyli. Znając tych ludzi, tak mało na blichtrze słów zasadzających, można było wierzyć, że kiedy prosili Mickiewicza, „aby przyjął ich ojczyznę i ich serca", „aby na ich wolnej ziemi rozbił swój namiot burzą targany", „aby rodzina jego znaleźć mogła pod ich niebem spokój i szczęście", kiedy go prosili: *Soyez notre frère* — można było wierzyć, że czynią to naprawdę z serca.

Dwa przecież względy przemawiały za Paryżem: niepokój żony Mickiewicza, aby ich „Misia" nie została oszpecona, miejscową ludność trapiącem, a do lokalnych warunków przywiązanem, „wolem", i drugi, samego poety niepokój, wyrażony w liście do Witwickiego w tych słowach: „Będę musiał przyjąć, żeby Niemiec jaki nie wlazł i na nas stamtąd nie szczekał".

Opuścił tedy Mickiewicz Lozannę w listopadzie 1840 r. z żoną i z trojgiem dzieci; a już w grudniu zainaugurował lekcyą wstępną objęcie paryskiej katedry. Po tej to lekcyi nastąpiła owa pamiętna uczta u Januszkiewicza, na której zmierzyły się dwa wielkie duchy poetyckie — jeśli nie jak „wrogi", to jak „dwa na słońcach swych przeciwnych bogi": zmierzył się Mickiewicz ze Słowackim.

Znaną jest powszechnie historya zatargu pomiędzy nimi.

Słowacki czuł się dotkniętym w rodzinnych swoich stosunkach z powodu wprowadzenia przez Mickiewicza do czę-

ści drezdeńskiej „Dziadów“ figury, o której wiedział nie on sam tylko, iż przedstawia drugiego męża matki Juliusza, doktora Becu, nagle zabitego piorunem. I to był powód, dla którego Słowacki pisał do matki o Mickiewiczu „nienawidzę go“. Przynosi to wszakże zaszczyt Słowackiemu, iż tej, tak mocno i gwałtownie na razie uczutej niechęci, którą sam za nienawiść brał, nie chował względem Mickiewicza długo i zawzięcie. Jakoż zaraz po poznaniu „Pana Tadeusza“ zmienia się owa niechęć w podziw, w uwielbienie dla tego arcydzieła, zmienia się tak dalece, iż Słowacki nie wymawia się od obecności na uczcie wydanej na cześć Mickiewicza, co już samo przez się było aktem przyłączenia się do czcicieli jego.

Liczne są, acz bezładne, uczty tej opisy. Pisze o niej Witwicki Stefan, pisze Koźmian Jan, pisze Eustachy Januszkiewicz, że pominę artykuły dziennikarskie, na podstawie tych pierwotnych opisów tworzone. Ze wszystkiego jednak, czego się z pośrednich albo bezpośrednich źródeł dowiadujemy, jedno tylko da się ustalić z zupełną pewnością, a mianowicie, że improwizacya Mickiewicza porwała słuchaczy na taką zawrotną uczuciową wyżynę, iż się ludzie wprost opamiętać nie mogli, co się z nimi stało.

Improwizacya Mickiewicza była odpowiedzią na wspaniałe strofy Słowackiego, których odbicie znajdujemy w „Beniowskim“. „Syn pieśni, syn królewski rwał serce swe w kawały i zmieniał w piorun“. Piorun grzmiał i błyskał, a w grzmocie tym słychać było podziw dla wieszcza, co „jak Bóg litewski, z ciemnego sosen powstał uroczyska“. Strofy były świetne, lecz zimne. Zadziwiły też, lecz nie wzruszyły słuchaczy. Uczuł to Słowacki w poklasku, jakim go darzono, on, co na poklask miał ucho tak czułe, a wtedy, „ulegając szczęśliwemu natchnieniu“, powrócił na miejsce swoje i wyrzekł te trzy czy cztery przedziwnie miękkie i prawie że pokorne strofy, których nam treść Koźmian zachował:

„Na łodydze mego życia dwa błyszczą kwiaty: jeden — niechęci ku tobie: ten więdnie i opada; drugi — przyjaźni:

ten rozwija się z pączka. Jakkolwiek nizko zakwita, schyl się, aby go zerwać".

Poczem powstał Mickiewicz i w głębokiej ciszy improwizować zaczął. Zgadzają się wszyscy świadkowie tego momentu, iż twarz poety uczyniła się spokojną, piękną i jasną. Januszkiewicz dodaje, iż „skronie jego otoczyła niepojęta światłość". „Powstali wszyscy — mówi dalej — jakby na zjawienie się bóstwa. A on wypuścił z ust swoich rzekę słów, najcudowniejszych myśli i rymów, z niewstrzymanym pędem, który nam oddech tamował". Już znamy ten pęd. Wiemy, że był to pęd natchnienia — ten sam, który unosił Farysa, ten sam, który uniósł Konrada aż tam, „gdzie graniczy Stwórca i natura".

Jakoż w kilka dni potem, w liście pisanym do Bohdana Zaleskiego, tak mówi o chwili tej Mickiewicz: „Wyzwany przez Słowackiego improwizacyą, odpowiedziałem z natchnieniem, jakiego od czasu pisania „Dziadów" nigdym nie czuł. Duch poezyi był ze mną".

Czem wszakże była: „ta rzeka słów", te sto lub półtorasta wierszy", o których mówią opisy? Był to wybuch zdroju żywej wody, z tych uczuciowych głębin, z których szło wszelkie natchnienie poety. Była to, wypowiedziana „w cudownych słowach i rymach", wielka tajemnica twórczości, tajemnica „władania duszami". Było to wyznanie, raz jeszcze uczynione z niezmierną siłą i prostotą, że „czucie i wiara" jest wszystkiem. On wierzył — i oto ma siłę przemawiać do obcych narodów w ich języku. On wierzył i czuł — a oto serca ludzkie poszły za nim ...choć „rymów nie dobierał i wierszy nie składał".

Bo dla poety — jedna tylko droga:
W sercu szukać natchnienia i dążyć do Boga".

„Staliśmy w osłupieniu — pisze Januszkiewicz — milczenie było grobowe... Kiedy skończył, jeden okrzyk uwielbienia wyrwał się z piersi, wszyscy zaleli się łzami, wielu padło na kolana. Jakieś uczucie wspólnej miłości ogarnęło serca wszystkich; mało znajomi ściskali się jak dawni przy-

jaciele, kasztelan Plater omdlał ze wzruszenia, wszyscy czuli w sobie jakąś siłę, której im geniusz użyczał.

„Nie wiem, czy kiedy Adam wzniósł się tak wysoko, ale też i nigdy takiego tryumfu nie miał".

A Witwicki dodaje: „Ta improwizacya to było coś wielkiego, dziwnego, nadprzyrodzonego. Wszyscy są tem jak pijani. Widziałem już kilkanaście osób z tych, co były obecne. Nie sposób sobie wystawić z jakiem wzruszeniem wszyscy o tem mówią.

„Twarz Adama miała być w tym momencie jak anielska jasna. Dość powiedzieć, że Kaszyc całą noc płakał, a Szadurski, który także entuzyastą nie jest, wczoraj mi jeszcze przysięgał, że gdyby mu Adam kazał wtedy skoczyć z najwyższej wieży, skoczyłby natychmiast..."

Dziś, kiedy czytamy te słowa, kiedy się dowiadujemy o tych łzach, o tych omdleniach, o tych wzruszonych sercach, o tych rzucających się sobie w objęcia ludziach, widzimy w tem, poza ekstazą chwili, dwie ważne prawdy. Po pierwsze: widzimy, że ów nagły błysk natchnienia to było objawienie niezmiernych, niewyczerpanych bogactw poetyckich ducha Mickiewiczowskiego, które, nagromadzone w nim, zalśniły, zaświeciły znienacka w tej improwizacyi, jak ważne, czyste złoto przez uchylone skarbca podwoje.

I — po drugie: widzimy, iż owo domaganie się Konrada z „Dziadów" „rządu dusz", „władzy nad duszami", „rządzenia czuciem", ta prawie że walka o nie z Bogiem, to nie był akt pychy, ani urojenie poetyckie; to był akt wyjawienia się, w potężnym wybuchu woli, tej wewnętrznej, w duchu uczuwanej siły, która jest

„...prawdziwą mocą ruszania światem".

. . . . . .

Ale po tym poetyckim wybuchu na wigilijnej i na późniejszej, noworocznej uczcie u Januszkiewicza, nastąpił cały szereg świetnych improwizacyi prozą w kollegium francuskiem. Nie czem innem bowiem, jak potężną improwizacyą były owe lekcye, wygłoszone przez poetę z nowo-utworzonej

katedry literatur słowiańskich. Przynosił wprawdzie i tu Mickiewicz z sobą, jak w Lozannie, „karteluszek“, że posłużę się nazwą, jaką Witwicki krótką notatę lekcyi tych określał; nietylko wszakże mówił z pamięci, ale natchnienie wprost decydowało o tem, jak, w jaki sposób, a często — i o czem, mówić będzie. Jeżeli bowiem już w Lozannie natchnieniu unosić się dawał, tutaj ulegał mu w jeszcze wyższym stopniu. Ten świat starożytny, świat klasyczny, który odsłaniał słuchaczom swym w Lozannie, nie był jego światem. Zainicyował go niegdyś w świat ów Grodek i wileńskie lata nauk — to prawda; cała wszakże natura ducha Mickiewiczowskiego miała się ku niemu odpornie.

Ale świat słowiański to był świat jego ducha właśnie. On go czuł, rozumiał, pojmował i był sam jego doskonałym wyrazem. Mogło poecie braknąć źródeł, podręczników, wiadomości, o które istotnie w Paryżu było arcy-trudno; ale nie brakło mu wewnętrznego światła do rozjaśnienia przedmiotu, nie brakło mu intuicyi, nie brakło czucia i widzenia rzeczy, o których miał mówić.

Jest to powszechnie przyjętem przez biografów Mickiewicza, ów niedostatek przygotowania poety do paryskich wykładów, a także niedostatek książek i źródeł rękopiśmiennych, wskazywać jako przyczynę tej improwizacyjnej cechy, jaką miały wykłady paryskie.

Otóż mniemam, że przeciwstawić temu należałoby, owszem, wręcz odmienne twierdzenie; to mianowicie: iż gdyby nawet Mickiewicz znalazł był w Paryżu cały materyał bibliograficzny, jakiego mógł potrzebować, i gdyby ten materyał był przyswoił sobie w zupełności, i wtedy jeszcze byłby wykłady swe — improwizował. Znaczy to: nadałby im, z wiedzą lub bez wiedzy, ten charakter bezpośredniości, ogólności, swobody, luźności nawet, jaki właśnie miały. Byłby je snuł z siebie, powiewem ducha unosić się dając w stronę obrazów, myśli, zestawień i hypotez najśmielszych, interpretacyi najgłębszych, najniespodziewańszych i nietylko zupełnie od owego materyału niezależnych, nietylko z owych studyów niewynikłych i z jakimkolwiek planem niezwiązanych, ale o których sam poeta

przed chwilą wiedzieć nie mógł, że je z siebie dobędzie, że one same wprost przyjdą do niego na mocy genialnych asocyacyi i potężnie w nim działającej syntezy.

W nim samym, w nim tylko, tkwił powód, który sprawił, że wykłady te były takie właśnie, jakie były. W nim tkwiły porywające ich zalety i ich niedostatki także.

Nie będzie też pewno zbyt śmiałem twierdzeniem, gdy powiem, że Mickiewicz nigdy prawdopodobnie i przy żadnych bibliograficznych ułatwieniach i pomocach nie byłby słuchaczy swoich nauczył właściwej historyi literatur słowiańskich. Ale zawsze i przy wszelkich brakach tych ułatwień i tych pomocy, nauczyłby ich tego, czego ich właśnie nauczył: czuć ducha Słowiańszczyzny, odrębne rysy oblicza plemion słowiańskich rozpoznać i obaczyć jak się w nich duch ten odbija; pojąć związek tych plemion z ziemią i z pieśnią, zrozumieć zasadę ich duchowego istnienia, ich ideały, dążenia, tęsknoty, nadzieje, ich „czucie — i wiarę". Na tem polu poeta w wykładach swoich stał: to był jego punkt ciążenia, to był zarazem program, który mu się sam narzucił, i z którego — nie pilnując się nawet — Mickiewicz wyjść duchem nie mógł, ponieważ był to właściwy obwód jego ducha, to była właściwa ducha jego sfera.

Program ten spełniając, uczynił Mickiewicz z tej katedry literatur słowiańskich więcej, niż zamierzali jej twórcy. On z niej uczynił „prawdziwą trybunę słowiańskich ludów".

„Nie głos to jednego człowieka — pisał Lèbre, francuz — słyszymy z niej te ogromne tłumy ludów, które były długo nieme i przemówiły nareszcie. To geniusz słowiański przerywa swe milczenie i odsłania swoje tajemnice".

A potem, wbrew twierdzeniu biografa, który utrzymuje, że Mickiewicz do wykładów lozańskich więcej był, niźli do tych paryskich, przygotowany, śmiało powiedzieć można, że było — na ogół — przeciwnie. Cały bowiem bogaty i stosunkowo świeżo przemyślany materyał etnograficzny i historyczny, jaki Mickiewicz w wykładach swoich rozwinął, był w umyśle poety gotowym niejako i już zebranym po owych niedawnych studyach dla napisania „Historyi Polski" podję-

tych. Był to znaczny zasób obserwacyi oraz faktów, owszem, był to już niemal zarys historyozoficzny, na którym poeta mógł się oprzeć, ilekroć zachodziła tego potrzeba.

Niebezowocnym także był pobyt kilkoletni Mickiewicza w Rosyi. Poeta, który stworzył potężne obrazy malujące i „jedyny heroizm“ Słowianina, i tę krainę, która jest

„...pusta, biała i otwarta,
Jak zgotowana do pisania karta“,

mógł niezawodnie wyczerpnąć z własnych wrażeń i spostrzeżeń więcej, niżby znaleźć zdołał w jakiejkolwiek bibliotece.

Nie widzimy go też nigdy „ślęczącym całemi dniami, a często i w nocy“ nad przedmiotem paryskich wykładów, jak to miało miejsce w Lozannie. Owszem, na ostatniej prelekcyi wyraźnie powiada Mickiewicz, że wziął sobie za prawidło nie przychodzić na wykłady z mowami przygotowanemi, że „spuszczał się na przypadek“. Ten „przypadek“, to było natchnienie poety, to była inspiracya wysokiego ducha, która czyniła z Mickiewicza więcej niż profesora, i więcej niż mówcę, — która czyniła z niego „proroka“, jak mawiał o nim Michelet. Sam już widok natłoczonej aż po kurytarze sali, aczkolwiek pstry i z bardzo różnorodnych żywiołów złożony, musiał udzielać poecie tych wzruszeń, które się u niego objawiały wysokim nastrojem ducha i potęgą słowa. Co było w Paryżu najwyższej inteligencyi, co w nim gościło burzą wypadków politycznych zagnane, to wszystko biegło na wykłady tego cudzoziemca, który przecież i w tem trudność znajdować musiał, że narzędziem wykładów swoich miał język obcy, język, „na który sam siebie zmuszony był słuchaczom tłómaczyć“.

O tym języku pisze pani Sand: „Jest to instrument, który robi na słuchaczu z początku wrażenie, jakby był opornym, lecz wkrótce, opanowany siłą natchnienia, staje się posłusznym i skarby swoje wydaje. Poeta ten posiada coś więcej niż znajomość języka francuskiego: on go odgaduje i zmusza, aby się przed nim odsłonił“. A tę uwagę pani Sand potwierdza Michelet w tych słowach, do Quineta zwróconych

podczas jednej z lekcyi Mickiewicza: „Słyszysz? On stworzył nowy język francuski, który, dalibóg, piękniejszy jest i dobitniejszy niźli ten, którego my używamy". I w tem tedy narzędziu myśli i uczuć poety nie znajdowała publiczność paryska nic, coby ją szczególnie raziło.

„...Amfiteatr Mickiewicza — pisze Lucas, redaktor dziennika *Le Globe* — staje się punktem zbornym dla znakomitości. Ampère po własnym wykładzie przychodzi jako słuchacz zająć miejsce wśród uczniów. Montalembert, Salvandi, Sainte-Beuve, Georges Sand, Michelet śpieszą w imieniu cywilizacyi objąć tę nową sferę myśli, którą im uczony Polak odkrywa".

Ale poza znakomitościami była młodzież, tłum młodzieży, porzucającej bliższe studyom swym wykłady, aby słuchać Mickiewicza. Jej to zapał, jej szczery entuzyazm był niezawodnie bodźcem i źródłem najszczęśliwszych natchnień dla poety.

„Z rozkoszą biegnę słuchać Mickiewicza, — pisze Dumesnil. — Odkrywa on przed nami świat zupełnie nieznany, świat ludów słowiańskich, i ozdabia swoje poglądy filozoficzne, oparte na najgłębszej nauce, świetnemi wyrażeniami poetycznemi, które są wyłączną własnością umysłów genialnych".

I znowu pisze: „...Jest to jeden z tych umysłów, co pojmują i zgłębiają wszystko. Nie znam jego poezyi, a pewien jestem, że to wielki poeta, bo to wielki historyk, na wysokości historycznej wiedzy, a może i górujący nad nią".

A inny słuchacz dodaje: „...Mickiewicz jest jednym z tych umysłów wybranych, których przejście zostawia po sobie w epoce szeroki smug światła".

Co do rodaków, to, chociaż większość emigracyi chodziła na wykłady po to, żeby, według słów Mickiewicza, „zobaczyć, czy on demokrata, czy arystokrata" i „aby się gniewać, że im o polityce nie gada", była przecież między nimi znaczna liczba takich, co nie ustępowali cudzoziemcom w admiracyi dla poety swego.

„...Lekcye Adama są wspaniałe, nawet coraz znakomitsze — pisze Jan Koźmian do księdza Semeneńki do Rzymu. — Liczba słuchaczy obcych wyraźnie się zwiększa".

Zaś Walery Wielogłowski mówi: „...Mickiewicz pierwszy otworzył skarbiec ducha słowiańskiego przed cudzoziemcami i zadziwił ich, że pod naszą strzechą takie są bogactwa, jakich Zachód w pałacach nie mieści, że słowo Boże, rozwinięte w obyczajach naszych i w literaturze, bujniej się niż u nich rozrosło".

A Goszczyński: „...Kto mówił, że Mickiewicz porzucił poezyę? Toż wykłady literatury słowiańskiej są najwspanialszym poematem".

Ale kiedy tak poeta zachwycał obcych i swoich, „na tej katedrze, z której każde słowo świat słyszy", a napaści drobnych koteryi milczeniem pobłażliwem zbywał, w życiu jego domowem zaszły tymczasem wypadki, które i do tych prelekcyi wprowadziły wywołane przez siebie zmiany.

Żona Mickiewicza, od dłuższego już czasu podlegająca chwilowym objawom rozstroju umysłowego, zapadła tak silnie, iż poeta stracił nadzieję, aby wyzdrowieć mogła. Złe nie przychodziło po raz pierwszy. Znał on już te ciężkie chwile, kiedy trzeba było dzieci do obcych ludzi rozdawać, a żonę w domu zdrowia leczyć. Ale teraz zapowiadało się to gorzej jeszcze. Teraz zdawało się, że ognisko rodzinne, życie domowe poety ulegnie beznadziejnemu rozbiciu. Pochylił się Mickiewicz pod tym niezmiernym ciężarem, a włosy jego zasrebrniały przedwczesną siwizną. Po niespanych nocach trzeba było biedz na wykłady, a troje drobnych dzieci „piszczało i marniało" w domu. Wtedy to obudziły się obawy przyjaciół i blizkich poety przed jakimś jego czynem ostatniej rozpaczy. Wtedy, czuwając z nim kolejno nad chorą, zanim ją Mickiewicz zdecydował się powieźć do domu zdrowia, strzegli i jego samego, jak o tem ślad w listach do Domejki pisanych pozostał.

W takim to momencie, w momencie upadku ducha i sił fizycznych, jakiemu równego w życiu Mickiewicza nie znamy, przybył do Paryża i wszedł w dom poety Andrzej Towiański. A wszedłszy, nietylko dał się Mickiewiczowi poznać, jako człowiek mający do spełnienia ważną duchową misyę względem emigracyi, ale i żonę poety uzdrowił. Okoliczności towarzyszące uzdrowieniu temu nazbyt są znane, aby je tutaj

obszernie przywodzić. A i to jest znanem, że nieraz zaprzeczano ich autentyczności w tym albo owym szczególe.

Nie to wszakże jest ważnem w uzdrowieniu tem, jak się ono istotnie odbyło, ale to jest w niem ważne, jak się ono przedstawiało samemu poecie. Otóż samemu poecie przedstawiało się to uzdrowienie jako cudowne.

„...Uzdrowieniu mojej żony — pisze Mickiewicz w liście do jenerała Skrzyneckiego — towarzyszyły okoliczności *cudowne*". Oto jest punkt wyjścia dla wiary Mickiewicza w posłannictwo Towiańskiego i w jego naukę. Mniejsza więc o to, czy relacya Scovazzego, czy Melegarego, czy Leonarda Rettla jest w szczegółach najwierniejszą i czy wogóle którakolwiek z nich jest wierną. Mniejsza czy te lub inne osoby były zebrane, kiedy Mickiewicz żonę „w zupełnem pomieszaniu, w kanikułę i w burzę" z domu chorych, wbrew zaklęciom lekarzy zabrał. Mniejsza też, jakie to były te słowa, które Towiański pani Celinie szepnął, po których padła chora na kolana przed nim i, powstawszy uzdrowiona, „zaczęła ściskać męża i dzieci". Dla nas wystarczającem i jedynie ważnem jest to, że Mickiewicz uznał w wypadku tym „cudowność".

„Cudowność" nie była żywiołem duchowi Mickiewicza obcym. Wiemy już, że uznanie jej jako siły działającej niezależnie od porządku świata zjawisk tkwiło w mistycyzmie wrodzonym poecie. A i to przypomnieć sobie możemy, że uznanie działania cudowności spotyka się w twórczości poetyckiej Mickiewicza na całej niemal przestrzeni jego dzieła. Spotyka się mianowicie w tem wszystkiem, co bezpośrednio i w chwili najwyższego natchnienia wyszło z ducha jego, jako wyraz samej ducha tego istoty, że przypomnę tu tylko wielką Improwizacyę Konrada. I jeszcze jedno: pierwiastku cudowności nie uważał Mickiewicz jako coś działającego w wyjątkowych tylko momentach poetyckiego tworzenia. On ją w „Księgach Narodu" i w „Księgach Pielgrzymstwa" ukazuje jako moc czynną w dziejach całych narodów. On już w tych Księgach rozpalał jej mistyczne światło tam, gdzie gwiazdy nadziei pogasły. A teraz ta cudowność przychodziła, że tak powiem, wcielona w człowieka, który się powiadał być

zwiastunem całego szeregu przeobrażeń w duchu i w świecie zewnętrznym. Teraz stała ona upostaciowana w tym „szlachcicu litewskim“ przed poetą i miała głos, miała wyraz, miała język, którym ogłaszała zamiary i cele. Ku tym to celom, ku dopełnieniu obietnic najdroższych nadziei, buchnął duch poety jak płomień.

Byłoby rzeczą wdzięczną zbadać: kto właściwie, Towiański czy Mickiewicz, ów pierwiastek cudowności i tkwiącego w niej mistycyzmu w wyższej posiadł i wyjawił mierze. Bo kiedy się tak patrzy w te karty, w te szorstkie, twarde, i zawsze — choćby o ogniu mówiły — zimne słowa Towiańskiego, i kiedy się porówna z niemi te ogromne wylewy rozrzewnionego, roztopionego w jakieś łzy wewnętrzne, w jakieś wewnętrzne żary, ducha Mickiewiczowskiego, pierwszą rzeczą, która uderza, jest to, że w Towiańskim tkwił racyonalizm, utylitaryzm mistycyzmu, jeśli tak powiedzieć można; podczas gdy w Mickiewiczu grało potężne czucie mistycyzmu i cały jego idealny poryw do czynu, do ofiary. Towiański wszedł z doktryną swoją do ducha poety tak, jak wchodzi górnik z zapaloną lampą do zamkniętego już oddawna szybu. Buchnęło płomieniem powietrze szybu od płomienia lampy. Górnik uszedł, a szyb gorzał.

Niepodobna tutaj, w krótkim nawet zarysie, przedstawić doktryny Towiańskiego, doktryny, która, przechowana częścią w pismach, a częścią w tradycyi, i teraz jeszcze, po wielu próbach rozświetlenia jej, zupełnie jasną nie jest. Dla naszego wszakże celu wystarczy, gdy uprzytomnimy sobie to, co Mickiewicz wyczerpnął z niej jako zasadę tej epoki swego życia.

Jednego bowiem na drodze tej możemy być pewni: tego, mianowicie, że będzie to część doktryny tej najszczytniejsza, najwięcej wymagająca ofiary i prawdopodobnie jedyna, która — poza zewnętrznemi oznakami — w duchu pojętą i pełnioną była.

Kiedy Mickiewicz w liście do Seweryna Goszczyńskiego powiada: „Działanie nasze jest religijno-polityczne, ton Chrystusowo-Napoleoński“, to mamy w wyrazach tych całą zasadę

Towiańszczyzny — jako czynu, zasadę jej etyki, że tak powiem. Ofiara i bohaterstwo, odradzające świat, dobycie nowych sił, nowych pobudzeń z wiary, nowych pędów z drzewa życia, nowych kształtów ze stosunków międzynarodowych: oto cel tego działania i wykład tego „tonu“. Etyka ta musiała mieć za sobą powagę „dogmatu“, jak zresztą wszelka etyka, bez względu na to, czy dogmat z niej się wytworzył, czy też ona z dogmatu wyszła.

Dogmatem nauki Towiańskiego była metempsychoza — szereg żywotów ziemskich, w których duch, pełniąc naznaczone sobie przed wiekami dzieło i służąc mu pośrednio albo bezpośrednio, oczyszczał się i doskonalił aż do wydania „tonu“ bóstwa z siebie. Duchy wydające już z siebie ton bóstwa to wielcy założyciele religii, wielcy bohaterowie i prorocy.

Dogmat ten wyrażony został w tych słowach Mickiewicza: „Błądzi człowiek, gdy mniema, że żyje na rachunek własny: on żyje na rachunek Boga“. Pełnienie dzieła Bożego, „Bożej sprawy“, jak Towiańczycy mówią, nie ustawało ze śmiercią człowieka. Duch jego, ze sprawą związany, był natchnieniem, bodźcem, pomocą dla żywych, którzy ją prowadzili dalej. Nie mniejszy też był obowiązek żywych względem siebie: silniejsi, doskonalsi powinni byli „dociskać“ duchem swoim słabszych i zimniejszych do czynu, do doskonalenia się, do „tonu ofiary“.

To życie „na rachunek Boga“, czyli na rachunek dzieła Bożego, nazywało się „realizacyą słowa“. Było to hasło wyrzeczenia się „słów“ na rzecz „czynu“, który to czyn, jak wiemy, miał mieć ton Chrystusowo-Napoleoński, a zatem ton ofiary i ton bohaterstwa. Takie były w najogólniejszym zarysie prawdy i nadzieje, jakim się teraz duch poety naoścież otworzył; takie też było radosne to hasło, które Mickiewicz przesłał Bohdanowi Zaleskiemu w przecudnej strofie:

„...Słowiczku mój, a leć, a piej,
Na pożegnanie piej,

Otartym łzom, spełnionym snom,
Skończonej piosnce twej!“

A prozą, do listu tego, który jest jak uśmiech duszy, dodawał: „...U mnie w domu i w sercu wiosna, radość i kwiaty...“

Jakoż było tak naprawdę. Jakaś siła, jakaś świeżość weszła w pierś poety. Domowy spokój, domowa pogoda wróciła, nadzieje kwitły. Idea wzajemnego obowiązku „dociskania dusz“ do tonu doskonałości i ofiary, zdawała się mieć w sobie siłę zaklęcia dotychczasowych rozdwojeń emigracyjnych, a „realizacya“ słowa w czyn, i to w czyn blizki, gdyż „epoka realizacyi“ według nauki Towiańskiego była już zaczętą, czyliż nie dawała nadziei skrzydeł do dalekiego, dawno już utęsknionego lotu? Jeśli dodamy do tego, że „sprawą“ epoki, miała być sprawa najdroższa poecie, że zapowiadana przez Towiańskiego „realizacya słowa“ miała być spełnieniem najżywszych pożądań Konrada z „Dziadów“, gdy chciał lud swój

„dźwignąć, uszczęśliwić“,

to nie będzie nam dziwnem ani, że poeta naukę Towiańskiego bez zastrzeżeń przyjął, ani też, że, gdy ją przyjął, nastała w duszy jego „radość i wiosna“.

Nic błędniejszego bowiem nad mniemanie, że nauka Towiańskiego padła odrazu na umysł poety jak ciężka, mroczna i gnębiąca zmora. Bynajmniej! Mickiewicz wyczerpnął, owszem, zrazu z tej nauki ogromną ożywczą i budzącą siłę. Mistycyzm, jakim doktryna Towiańskiego tchnęła, zbyt był poecie poufałym, jako ważny składnik własnego ducha jego, aby go miał przytłaczać obcą jakąś mocą i umysł jego mgłami osnuwać. Poeta obracał się w sferach mistycyzmu od nazbyt już dawna, aby tak odrazu drogę swą w nich stracić. Owszem, nietylko ta piosnka Bohdanowi Zaleskiemu rzucona i nietylko ten list wiosennych nadziei, ale nadewszystko to, co w pierwszych momentach towianizmu poeta poczynał, nosi cechę nagłego przypływu energii, nagłego rozjaśnienia duszy.

Bo mniejsza o to, że cała nauka Towiańskiego mogła

być błędem; jeżeli tylko dawała wiarę, dawać musiała i siłę: to rzecz prosta.

Jakoż dawała ją.

— „Kurs tegoroczny ważniejszy od przeszłorocznego — pisze Bohdan Zaleski do ks. Hubego — Adam nasz rozwija przeszłość naszą narodową i plemienną i *rozjaśnia* ją takiem światłem, jakiem jeszcze nigdy nie jaśniała".

A pisze to poeta, który nietylko Towiańczykiem nie był, ale którego dawna z Mickiewiczem zażyłość właśnie z powodu różnicy zdań w tym przedmiocie na dłuższy czas oziębioną została.

Niezawodnie, spostrzegano teraz w tych prelekcyach jakiś nowy żywioł: „Zarys tegorocznego kursu — pisze *Dziennik Narodowy* — obejmuje zadania, nietylko same przez się ważne, ale w taki sposób, jak gdyby zamierzał mówić nie o samych rzeczach przeszłych, nie o kwestyach oderwanych, ale o widokach na przyszłość, o drgających już w sercach nadziejach".

Ale już z tych słów widać, że nowy ten żywioł nie był zaciemnieniem zadań Mickiewiczowskich wykładów; że owszem, dawał im jakąś jędrność, jakiś kształt dotykalny, pewny, jakąś żywotność, która z dawnych, zamroczonych przez wieki, dziedzin przeszłości schodziła na grunt wypadków i pojęć współczesnych, a to w taki sposób, który, poruszając wiele serc i wiele umysłów, musiał mieć w sobie coś wspólnego z temi sercami i z temi umysłami, coś ogólno-ludzkiego, coś obejmującego potrzeby momentu dziejowego w najszerszem znaczeniu. Nie mógł tedy być, i niezawodnie nie był, wyrazem mglistej i zamkniętej w sobie doktryny, ale był i być musiał wyrazem ducha, który z wszelkiej doktryny chleb życia wydobyć potrafi.

Potwierdzają to zdania słuchaczy obcych, Francuzów, najmniej zapewne skłonnych do uznania tego, coby tchnęło mistyczną ekstazą.

— „Wymowa poety — pisze Lèbre — jest surowa, energiczna, wypływająca z przekonania. Jest to wymowa męskiej piękności, natchniona szerokiemi poglądami na świat".

A w innem miejscu: „Słowa tych wykładów panują nad duszą. Nietylko, że chwilowo budzą zachwyt, ale pozostawiają po sobie poważne postanowienia prawego życia. Nigdy w tej mowie niema: „ja“, a zawsze jest człowiek. Słuchacz czuje się szczęśliwym, że jest pod wpływem szlachetnego ducha. Jest tam jak gdyby wzywanie do bohaterstwa, do wysokich postanowień, do poświęcenia, do szlachetnych wysileń. W tym głosie podniesionym bez emfazy i energicznym czuje się surową powagę, której samo krasomówstwo nie daje, ale którą nawet prosty człowiek mieć może, gdy obowiązek jest pierwszą jego troską“.

Cała też młodzież z Quartier latin ciśnie się na wykłady Mickiewicza. — „Jest tam jakby kongres narodów słowiańskich“ — „W ciasnym obrębie amfiteatru zbiera się kilka wielkich ludów. Każdy ma tam przynajmniej swych przedstawicieli. Przynoszą oni z sobą swe namiętności, swe rywalizacye. Aby przepłynąć między skałami i mieliznami tych drażliwości, trzeba więcej niż geniuszu: trzeba sprawiedliwości i równowagi“.

A nie sama młodzież tak sądzi. „Ci, co nie słyszeli autora „Ksiąg Pielgrzymstwa“ na katedrze — mówi Noël — nie mogą mieć wyobrażenia o tej wymowie, równocześnie mistycznej i rozsądnej, wzniosłej i podającej praktyczne wskazówki życia“.

A Michelet dodaje:

„...Co znamionowało te wykłady, to dążność wydobycia z historyi, nie doktryny tylko, ale pierwiastków czynu; dążność rozwijania więcej niż umysłów, bo woli i dusz“. Uważano wprawdzie, że „silne przekonania działają w nim bardziej dziś niż kiedykolwiek“, ale uznawano zarazem, że właśnie w tych przekonaniach „czerpie wymowa poety siłę podnoszącą duszę, dającą młodość woli i pobudkę do szlachetnego żywota“ — jak pisze Lèbre, bardzo zresztą, jako kalwin, od wszelkiego pochylania się ku mistycyzmowi daleki.

Otóż wszystkie te przytoczenia — a biorę tu tylko cząstkę materyału zgromadzonego przez syna poety — wszystkie te przytoczenia dowodzą, że jeśli w drugorocznym i trzecio-

rocznym kursie Mickiewiczowskim objawiał się mistycyzm, to tylko w znaczeniu wzmożonego zapału ku ideałowi, ku doskonaleniu, odrodzeniu duchów. Nie jest też rzeczą nieprawdopodobną, iż Mickiewicz zostawiony samemu sobie, w tej właśnie idealnej sferze, która z wykładów jego czyniła tak dzielne źródło szlachetnych pobudzeń, utrzymałby się, mógłby się utrzymać w sferze tej i dłużej także. Może tak długo nawet, jak długo prowadziłby wykłady swoje. Nie miał bowiem poeta w samym sobie materyału na propagatora.

„...Oddasz mi sprawiedliwość — pisze Mickiewicz do Zaleskiego Bohdana — że szanowałem w tobie i w drugich zawsze wolność ducha, jedyną, którą wysoko cenię". A gdy to mówi, spostrzegamy, iż owa strofa

„Słowiczku mój, a leć, a piej"

nie była narzuceniem doktryny. Spostrzegamy, że była ona raczej okrzykiem przepełnionego „wiosną i radością" serca, od czego jeszcze bardzo daleko jest do propagandy. Owszem, kiedy Aleksander Chodźko tak blizki, tak bardzo sercu poety miły, lgnął ku „sprawie" tak, że, na wieść o niej samą, chciał rzucić i miejsca, gdzie przebywał, i stanowisko jakie posiadał, aby do Paryża pospieszyć, Mickiewicz napomniał go „aby lekko nie wchodził na drogę, na której każdy krok kosztuje kilka kropel *potu ducha*". A jeżeli takim był względem blizkich i najbliższych sobie, niewątpliwie wolno jest wnioskować, iż sam z siebie, „niedociskany", nie rzuciłby się poeta na tory propagandy z katedry, której audytoryum było mu i obcem, i tak niezmiernie różnolitem w sobie. Dopiero Towiański, ze swoim racyonalizmem i utylitaryzmem doktrynera, zmusił niejako Mickiewicza do propagandy takiej. Kiedy Towiański, po wydaleniu z Paryża, a także po niepomyślnej podróży rzymskiej do Szwajcaryi wracał, z Marengo już dopytuje się poety listownie o zamiary co do najbliższego kursu. Rzecz prosta, że nie szło mu o zamiary literackie. Owszem, to: „co zamierza z lekcyami swojemi?" — jest przypomnieniem, insynuacyą, iż lekcye te powinny stać się

narzędziem doktryny. Jakoż pod koniec 1843 roku wyraźniej już i z większem naleganiem pisze: „W lekcyach twoich musisz dalej posuwać się, a szybkość dzieła tylko wedle okoliczności modyfikować".

„*Biesiada* (rozmowa Towiańskiego z jenerałem Skrzyneckim spisana, a obejmująca naczelne punkta doktryny), *Biesiada* — mówi dalej Towiański — jedynem jest pismem publicznem, mogącem za przedmiot rozbioru z katedry służyć... Rzecz wielką uczynisz; sama miłość tonu, który z katedry przekazywać będziesz, złe wytężające się pokona".

Jakoż w grudniu tegoż roku *Biesiada* owa, z katedry rozbierana, dała „ton" ostatnim prelekcyom poety. Już w styczniu rozbiera Mickiewicz w duchu towianizmu „Sen Cezary" i „Legendę" Zygmunta Krasińskiego, a Towiański, ucieszony, pisze: — „Lekcya twoja jest epoką w sprawie. Piorun Boży wypuszczony. Dzięki tobie za wzniesienie tonu z katedry. To myśl Pańska, aby tą drogą wola jego szerzyła się". Że po tej lekcyi miał Koźmian donieść księdzu Semenence do Rzymu, iż „nigdy jeszcze dzikszych wrzasków w emigracyi na Mickiewicza nie było, jak teraz" — to prawdopodobnie Towiański przewidywał, pisząc, iż „ciężki krzyż" poecie na ramiona kładzie. On sam możeby go dźwigać nie chciał. On sam możeby właśnie był „szybkość dzieła modyfikował według okoliczności", jak to mądrze i zimno zaleca poecie. Ale Mickiewicz, który według świadectwa Zaleskiego Bohdana „wierzył z całą abnegacyą i z całym zapałem", do takiego doktrynerskiego oportunizmu najmniej właśnie był zdolny. On, raz wszedłszy na drogę „wyznawcy", nie cofał się ani przed „dzikiemi wrzaskami", ani przed „krzyżem", który mu narzucił Towiański, choć wiedział, że „ciężki". W każdej sprawie lepsi giną. Jest to doznana prawda, która się i w tym wypadku potwierdza.

— „Jeśli prawda — pisze pani Georges Sand — że wielki poeta sam się unicestwia wobec nieznanego nam Natchnionego, nie zadziwia to nas. Kto zna prostotę, skromność i zaparcie się, które czynią z Mickiewicza człowieka wyjątkowego, postać niemającą równej sobie w tym wieku osobi-

stych próżności i pychy, kto zna tego człowieka genialnego, a posłyszał, że ten duch wielki a prosty narzucił sobie kierunek „Mistrza“, ten powie wzruszony: „To zupełnie do niego przystało“.

A Krasiński Zygmunt pisze: — „Adam — to olbrzym, pan Andrzej to magnetyzer, co ma w swej mocy olbrzyma“.

Tak się zaczęły i tak prowadzone były lekcye ostatniego roku. Mówi teraz Mickiewicz „mało o literaturze Słowian, a wiele o ich cierpieniach“ — jak świadczy Lèbre. — „Nietylko odtwarzając fizyonomię tych ludów, ale docierając aż do dna ich duszy, wylewa z serca światło — świadczy inny słuchacz — które bez niego nie doszłoby do nas i zostałoby ukryte w jego litewskiej północy“.

Bo dziwna rzecz! Podczas kiedy w części emigracyi podnosiły się „dzikie wrzaski“, Francuzi trwali w uwielbieniu dla tego wielkiego umysłu, który zachował entuzyazm niewyziębiony wiekowem wątpieniem Zachodu, — „którego mistycyzm był serdeczny, męski, nakazujący działanie“.

„...Widzieliśmy go czasem nadludzkim — pisze Michelet o poecie. — Żywy płomień, łzawe błyskawice buchały z jego oczu. Jest to człowiek, którego głowę otacza aureola. To już nie poeta: to prorok“.

A w innem miejscu: „...Jeżeli dusza męczenników i świętych Polski nie jest z nim, to nie wiem gdzieby była“.

Nie przytaczam tego na dowód wzniosłości doktryny Towiańskiego; przytaczam to na dowód, że wysoki duch poety, jego potężna uczuciowość dobyć mogły, i dobywały istotnie, wzniosłość z przedmiotu swej wiary. I tak to właśnie rozumiał Bohdan Zaleski, gdy — nie podzielając zresztą tej wiary — mówił: „...Adam wierzy z zupełną abnegacyą i z niesłychanym zapałem... Jako Polak i poeta ma serce pełne przeczuć cudownych“.

Siła „tych cudownych przeczuć“ była tak wielką, iż niektórzy, jak Olizarowski np., mniemali, że się zaczął nowy peryod twórczości Mickiewicza, i, jak Olizarowski, wołali ku niemu:

„...Zagraj, zagraj, a zaśpiewaj,
. . . . . .
Z serca w serce pieśń przelewaj!“
. . . . . .

Mickiewicz wszakże cały był duchem w stronę „realizacyi“, głoszonej przez Towiańskiego, porwany, a wypadki oczekiwane tak mu się zdawały blizkiemi, iż mniemał, że zaskoczą go „pieśnią żywą“, „pieśnią czynu“. — „...Przyszedł czas — pisał do Bohdana — że natchnienie musi być czynem, a czyn musi być natchnieniem, bo w dziele Bożem, jak w piorunie, uderzenie jest jedno: błysk i cios rozdzielić się nie dają“.

Takie było usposobienie umysłów, taki był wzajemny do siebie stosunek poety i słuchaczy, kiedy ministeryum, zaniepokojone owym, mało przychylnym dla Burbonów „tonem Napoleońskim“, postanowiło wykłady Mickiewiczowskie zawiesić. Postanowienie to wobec zapału młodzieży przedsiębrano wykonać z możliwą ostrożnością.

„Tutejsze Ministeryum — pisze poeta do brata swego Franciszka — dałoby mi pensyę powiększoną znacznie, bylebym chciał przestać służyć sprawie, której służę. Mógłbym już drogo przedać się“. Tak pisać o jakiejś propozycyi można, rzecz prosta, tylko po jej wzgardzeniu. Jakoż Mickiewicz, wiedząc o grożących sobie i swoim zmianach, gotował się do ostatnich lekcyi.

„Francuzi — pisze Michelet — patrzyli na Mickiewicza, jak sekundanci na pojedynkującego się, który gardzi wszelkiemi ostrożnościami“.

— „Jesteś bohaterem, tom wiedział“ — dodaje, zwracając mowę do poety po lekcyi, na której Mickiewicz, w imię ogólno-ludzkich oraz międzynarodowych interesów cywilizacyi i sprawiedliwości, zwalczał Burbońską zasadę: Francya dla siebie i u siebie“.

A Noël pisze w tym samym czasie do przyjaciela: „...Mickiewicz skończy prześladowaniem, a może męczeństwem: przekonasz się“.

W takich to warunkach odbywały się te lekcye, o których jeden ze słuchaczy, Czumikow, pisze: „...Wyraźnie pamiętam tę pełną dramatyczności chwilę, gdy Mickiewicz wchodził do audytoryum. Te jego siwizną przypruszone włosy, zarzucone i w nieładzie spadające na ramiona, ta postać znużona i cierpiąca, ten tłum emigracyi płci obojej, mężczyźni ubrani w ciemne, wytarte czamarki, kobiety arystokratyczne i strojne,— wszystko to dziwnie uosabiało losy narodu, o którym mówił".

A Clabel w wiele lat później pisał: „...Dobre to były czasy, kiedy się biegło do Collège de France, słuchać porywającego wykładu Mickiewicza! Mówił nieco o literaturze Słowian, a wiele o ich nieszczęściach. Słuchacze powstrzymywali oddech. Naraz powstawali wychodźcy. Byli bladzi; łzy im spływały po długich wąsach. Podnosili ręce, wołając: Niech żyje Francya! A Francuzi zrywali się z okrzykiem: Niech żyje Polska! Jakiś ogromny Anglik siadywał opodal w milczeniu i, cisnąc kapelusz do piersi, płakał jak inni".

Co jest ciekawem, to zachowanie się „Mistrza" w tych okolicznościach. — „Położenie krytyczne Mickiewicza — mówi syn poety — nie zdawało się obchodzić Towiańskiego. Nadawał on Mickiewiczowi taki kierunek, jakby cud jaki miał się spełnić. Może tę wielkoduszną ofiarę poety uważał za pożyteczną dla „sprawy". To pewna, że narażanie się Mickiewicza nie mąciło jego medytacyi". Istotnie. Posyłał on teraz ze Szwajcaryi Mickiewiczowi krótkie rozkazy, niemotywowane a stanowcze, właśnie jak wódz niebiorący udziału w bitwie, lecz placem boju zdaleka rządzący.

„...Sądził może — pisze syn poety — iż ryzyko przegranej nie uwalnia Mickiewicza od stoczenia bitwy". Jakoż stoczył ją poeta i, po ludzku biorąc — przegrał. Nam jednak, gdy tak z oddalenia czasu patrzymy na ten tłum wzruszony, na te wyciągnięte do przysięgi ręce, na te łzy, na to niesłychane uniesienie tylu dusz, przegrana ta, a nawet samo podjęcie bitwy, wydaje się jakimś bajecznym tryumfem, po którym mniejsza co nastąpi.

Nie należy mniemać, iż ostatni wykład Mickiewicza był

kulminacyjnym punktem wzmagającej się egzaltacyi umysłu oczadzonego mistycyzmem. Bynajmniej. Egzaltacyi uległa tylko wola poety, poddającego się pod kierunek Mistrza. Świadczy o tem choćby samo otwarcie tej lekcyi, o której Mickiewicz wiedział, że jest ostatnią, odczytaniem statutów katedry, a zatem dokumentu prawnego, potwierdzającego użyteczność badań ducha narodów słowiańskich. Otóż śmiało twierdzić można, że żaden „illuminat" na ostatniej schadzce z „adeptami" na czytanie postanowień ministeryalnych czasu-by nie tracił. A i to za twierdzeniem powyższem przemawiać się zdaje, iż Mickiewicz nawet po wyzwoleniu się z pod wpływu „Mistrza" uznawał rozsądkowe przyczyny, które go do rozrzucenia między słuchaczami w czasie lekcyi tej wizerunku Napoleona, płaczącego nad niezmienioną kartą Europy skłoniły, i w wiele lat później tak ten, najmocniej obciążający, krok tłómaczył:

— „Wypada czasem zrobić zgorszenie, aby uderzyć umysły. Rozdając ów wizerunek, czyniłem rzecz niezwykłą. Zapomniano o lekcyach, o tem — nie!"

Zgorszenie było istotnie zrobione. Zaraz też po burzy uczuć, wywołanej rozdaniem wizerunku, tak bardzo zdradzającego „ton Napoleoński", agent policyjny raportował do ministra spraw wewnętrznych: „...Amfiteatr przepełniony, egzaltacya nadzwyczajna, Francuzi z wychodźcami się łączą". A bezpośrednim skutkiem raportu tego, zdanego 28 maja 1844 r. było następujące pismo pana ministra Villemain z 31 maja 1844 r.

„...Lekcye pana Mickiewicza nie odbędą się ani dziś, ani jutro, ani w dni następne".

. . . . . .

Ale jeśli takie były dzieje „tonu Napoleońskiego" „sprawy", nie mniejszą burzę, w wychodźtwie zwłaszcza, wywołał jej „ton Chrystusowy".

Z całego wszakże ogromu dokumentów, jakim zatarg między poetą a duchownymi i nieduchownymi współrodakami rozświetlić usiłowano, przywiodę tutaj dwa tylko. Pierwszy — to słowa Mickiewicza w odniesieniu do strony dogmatycznej sprawy. — „My nie jesteśmy — pisze poeta w r. 1848

do Seweryna Goszczyńskiego — gałęzią Kościoła: my z pnia jego w górę tąż samą rdzenią rośniemy". A kiedy w Rzymie spisywał swój „Skład zasad", znany Włochom, jako *Simbolo politico polacco*, który wszakże nietylko politycznym symbolem był, ale i religijnym także, a to w duchu słów poety: „Działanie nasze jest religijno-polityczne", kiedy opisywał tedy ów „Skład zasad", pierwszym jego artykułem chciał mieć to wyznanie: — „Duch chrześcijański, w wierze świętej katolickiej, rzymskiej jawiony czynami wolnemi". A trzeci artykuł składu tego brzmiał tak: — „Kościół stróż słowa". A piąty znowu tak: — „Duch narodu Ewangelii sługa". To wystarcza.

Drugim dokumentem, który jasno oświetla zapatrywanie się poety na stronę „sprawy" etyczną, jest rozmowa jego z arcybiskupem paryskim księdzem d'Affre. Syn poety tak tę rozmowę przytacza: „Kajsiewicz, wątpiąc o prawowierności Mickiewicza, zażądał, aby poeta złożył w ręce arcybiskupa paryskiego świadectwo, iż jest dobrym katolikiem. Mickiewicz zgodził się na to. Lecz gdy już złożył je, to świadectwo swej prawowierności, zapytał nawzajem ks. d'Affre: czy mniema, iż jest dobrym biskupem? A gdy pasterz zmieszał się i na uczynione sobie zarzuty zapytał: co ma czynić? — Ja nie wiem — odrzekł Mickiewicz — ale koniecznie zrób coś takiego, aby, gdy wychodzisz na ulicę, lud klękał przed tobą, prosił cię o błogosławieństwo i, otrzymawszy je, uwierzył, że jest lepszym, i został nim rzeczywiście".

A „Pamiętnik o początkach Zgromadzenia Zmartwychwstańców" dodaje: „Bodaj czy to słowo nie zostało w duszy arcybiskupa i czy nie spowodowało go do pójścia w dniach czerwcowych 1848 r. na barykady, gdzie śmiercią męczeńską poległ".

Myślę, że i to wystarcza także. A wybieram to i przytaczam, nie dla dowiedzenia, iż taką właśnie była moc głoszonej przez Towiańskiego doktryny, ale dla wskazania, że z tej doktryny, jakakolwiek ona była, taką moc, taką zasadę wyczerpnął Mickiewicz.

Otóż tu jest miejsce właściwe, aby zwrócić uwagę na

fakt, że wartość moralna poety, zapał jego wiary, niezawodnie zrobiły Towiańszczyźnie więcej prozelitów, niż wszystkie „Biesiady“ i „Wielkie Peryody“ Mistrza: owszem, że one to właśnie, ta wartość moralna i ten zapał, były propagandą. — „Jużciż przyznasz — pisał Koźmian do ks. Semeneńki, że lepiej z Adamem błądzić, niźli z innymi prawdę żuć“. A Francuz Lèbre dodaje: — „Tacy ludzie jak Mickiewicz, choć błądzą, nie są w błędzie, bo jest w nich światło miłości“.

Jest to hołd złożony idealnej stronie doktryny, jej stronie prawdziwie i jedynie duchowej, tej właśnie, którą wyznawał Mickiewicz, a której po stokroć zaprzeczył racyonalizm i utylitaryzm Towiańskiego.

Oto przykład: Po utraceniu katedry Mickiewicz pisze: — „Mam uczucie, żem spełnił co do mnie należało. Dał mi Bóg talent pisania, pisałem; dał mi moc słowa, nauczałem“.

A Mistrz: — „Z pisania i profesorstwa żadnej zasługi nie masz. Będąc we Francyi i umiejąc po francusku, czemuś Boga nie pytał: dlaczego ci tę znajomość języka dał? Gdybyś od tego zaczął swą pracę, byłbyś już może *ministrem Francyi*“.

XVI.

Ale jeżeli Mickiewicz nie mógł, jako wyznawca, uczuwać różnicy między swoją wzniosłą wielkodusznością a ciasnotą doktrynerską Towiańskiego, martwiejącą z dnia na dzień, za to uczuwał różnicę między obietnicami Towiańskiego a ich spełnieniem. Poeta pragnął jak najrychlejszej realizacyi słowa podanego mu przez Mistrza, wygłoszonego z katedry, którą duch jego płomienny „trybuną ludów“ uczynił. „Mistrz“ odpowiadał na jego nalegania o „realizacyę“ ową, iż „idea rzuca się dla wieków“; że „gdyby dziś człowiek wszystko ogarnął i spełnił, nie miałby czego robić przez wieki“ w szeregu przyszłych żywotów. Była to niezawodnie odpowiedź człowieka, który nie miał siły stanąć czynem przy swojej idei. Ale miał ją poeta, miał ją w takiej pełni, iż obracanie

się w sferze słów tylko, w sferze „drgnięć“ i „tonów“ bezowocnych dla doraźnego pożytku współbraci, wydało mu się męką. Towiański uważał, iż „najwyższym szczytem wierności byłoby zamknąć się na całe życie w skałach Szwajcaryi i *nie tęsknić* do kraju“. Mickiewicz rwał się do tych „pagórków leśnych, do tych łąk zielonych, szeroko nad błękitnym Niemnem rozłożonych“. On był tęsknotą samą, był pragnieniem samem. Wypadki europejskie tak się tymczasem złożyły, iż nietylko poecie, ale i innym także, zdawało się, iż zaczynają bić jakieś nadzwyczajne godziny dla świata. Mickiewicz nie wątpił, że nastaje epoka ogromnej krucyaty, w której narody zastępami pójdą, każdy pod swoim znakiem, za ideą zmartwychwstałego Chrystusa i sprawiedliwości ku „Królestwu Bożemu na ziemi“. Coraz natarczywiej przeto domagał się od Mistrza jakiegoś kroku naprzód, ku owej upragnionej realizacyi słowa w czyn; co gdy Towiański zbywał „rzucaniem idei dla wieków“, niebędącem niczem innem, jak tylko wygodnym kwietyzmem i oszańcowaniem się w suchym racyonalizmie rozpraw i zewnętrznych ceremonii wymyślonego przez siebie i dla siebie kultu, Mickiewicz odstąpił od niego wolą, choć nie odstąpił wiarą.

„Mistrz“ pozostał dla niego „prorokiem“, „Mężem Globu“, który „przyniósł zasób prawd wielkich na lat tysiące“. Ale nie uznawał teraz poeta, „by Mistrz sam był przeznaczony od Boga do wprowadzenia w życie prawd mu objawionych“. Owszem, utrzymywał, że „każda wielka idea, rzucona w łono ludzkości, musi się wyrabiać i w widome wcielać kształty pracą wszystkich przejmujących ją jednostek, wedle natury indywidualnego ducha, inaczej bowiem pozostanie bezcielesną, niewypróbowaną mrzonką“.

Zachowując tedy cześć dla „Męża Globu“, wyzwolił się Mickiewicz z uciskającej ducha jego niewoli „urzędu“ w kole Towiańczyków, którym przewodniczył po wycofaniu się Towiańskiego do Szwajcaryi; wystąpił z „Koła“, gdzie nie brak było „intryg“ i niespokojności i, odłączywszy się od niego, z garścią stojących przy sobie, jako „chór“ oddzielny, oglądać się zaczął za „realizacyą“ słowa w czyn na własną rękę.

Pierwszym krokiem ku realizacyi owej była podróż poety do Rzymu. To bowiem, co miało być „cząstką zastępu Chrystusowego“, musiało zebrać się pod sztandarem poświęconym w Rzymie i stanąć w jedności z Rzymem.

Cała ta podróż, cały ten pobyt Mickiewicza w Rzymie i we Włoszech wygląda dziś na „realizacyę“, jeśli nie nadziei poety, to jakiegoś przecudnego snu poetyckiego. Wyrusza Mickiewicz z Paryża bez środków, bez poparcia, może nawet bez jasno określonego planu, za całą siłę mając nadzieję, która go ożywia. W Rzymie przechodzi cały szereg utarczek z przeciwnikami swoimi, rozbraja ich swą dobrą wolą, swą miłością, czerpie moc w prostych z Matką Makryną rozmowach, układa wzniosły swój symbol polityczny, otrzymuje upragnioną audyencyę w Watykanie, błogosławieństwo Piusa IX „dla Polski katolickiej“, zbiera szczupłą drużynę, rozwija poświęcony sztandar i wśród okrzyków entuzyazmu ludu wyrusza z Rzymu. Zatrzymuje się we Florencyi, witany przez Toskańczyków, jako „Dant polski“, idzie do Medyolanu, przyjmowany z najżywszym zapałem we wszystkich miastach włoskich i dopiero po bezowocnych audyencyach u króla Karola Alberta, przekonawszy się, iż bez pomocy, na którą to właśnie liczył, nie zdoła garstki swej dalej prowadzić, powraca do Paryża.

Powie kto, iż rzecz była bezpłodna. Tak nie jest. Zdarza się bowiem w historyi, iż samo jawne wystąpienie idei, samo obudzenie dla niej sympatyi narodów — jest czynem, i to nie byle jakim. Uznawał to niezawodnie Mickiewicz, gdy za powrotem do Paryża nietylko rąk nie opuścił, ale owszem zaraz przedsięwziął czyn dalszy i drugi krok na drodze „realizacyi“ postawił.

Tym krokiem był szereg artykułów pomieszczonych w *Tribune des peuples*. Chwila polityczna we Francyi była ze wszechmiar ważna. Ważność też jej zdecydowała zapewne Mickiewicza do przyspieszenia powrotu swego. Był to moment, kiedy Ludwik Napoleon odwołał się do wszechwładztwa ludu i kiedy mu wielki plebiscit oddał w ręce władzę.

Fakt ten, stojący w doskonałej harmonii z rozbudzo-

nem wówczas ogólno-europejskiem poczuciem nowych, dobywających się na widownię dziejową sił, uprawniał wiele najśmielszych nadziei poety. I oto widzimy go przemawiającego z tej trybuny tak, jak przemawiał niegdyś z katedry kollegium francuskiego. I tu jak tam jest Mickiewicz orędownikiem braterstwa, sprawiedliwości i pracy dla jutra.

Punktem wyjścia jest dla niego to piękne, godne najgłębszego przejęcia się niem zdanie: — „Jedyny cel człowieka i narodu jest żyć tak, aby tym, co po nas przyjdą, było lepiej. Bez utkwienia myśli w ten główny punkt, niema życia, niema rzetelnego bytu".

Z tego to punktu wyjścia rozwija poeta szlachetną teoryę powszechnej pracy dla powszechnego dobra:

— „Pracować dla interesów ogółu jest nietylko obowiązkiem, jest prawem każdego. Wszystkie więc klasy mieszkańców kraju do pracy tej przyjmować i zachęcać trzeba: książę, hrabia, chłop i żyd równie tu potrzebni".

Alboż nie słyszymy tu echa wielkiego hasła „Ody do młodości":

„W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele".

A jeśli tak jest, czyż nie mamy prawa orzec, że Towianizm nie wykopał żadnej istotnej przepaści między duchem poety a ideałami młodości jego? Czyż nie jest, owszem, niezbitą prawdą, że Mickiewicz zasadniczym hasłom ideałów tych pozostał, mimo wszystko, wiernym, i nazawsze?

Tymczasem położenie materyalne poety uległo znacznym zmianom. Już od roku 1846 otrzymywał Mickiewicz połowę tylko dawnej profesorskiej pensyi, której drugą połowę wypłacano zastępcy jego na katedrze literatur słowiańskich, Cypryanowi Robert. Wkrótce przecież i ten zasiłek ustał, a poeta żył w niedostatku z żoną i sześciorgiem dzieci. A chociaż po upadku Burbonów oddał mu Ludwik Napoleon zarząd biblioteką Arsenału z niewielkiem uposażeniem, zawsze ciężko i tak było wystarczyć potrzebom skromnego rodzinnego życia. Wzruszająca jest rezygnacya, z jaką żona poety, ściśle z nim wiarą w Towiańskiego złączona, znosiła te trudno-

ści życiowe. Rezygnacya ta nie miała w sobie nic płaczliwego, nic utyskującego. „Bieda emigrancka“, o której pisze do córki, bawiącej w Rzymie u przyjaciół, nie przeszkadza jej być „zdrową i wesołą“. Towianizm także ani jej usposobienia, ani domowego obyczaju nie zmienił. W tym małym domu z ogrodem „na Batignolles“, gdzie teraz mieszka rodzina poety, wilia obchodzona jest po dawnemu, na nitce spuszcza się z sufitu nad wigilijnym stołem gwiazdka i żłobek ulepiony z opłatków, a dzieci śpiewają kolendy.

Co wieczór zabiega ktoś z przyjaciół, to Aleksander Chodźko, to Stefan Zan, to Biergiel, to Feliks Wrotnowski. Niekiedy jadą wszyscy do Fontainebleau, do Zaleskiego Bohdana, gdy się już obaj poeci, po rozluźnieniu węzłów między Mickiewiczem a Towiańskim, „marszczyć na siebie przestali“.

Zmiany losu, podróże, uszczuplenie dochodów przyjmuje pani Celina z wielkiem męztwem i słodyczą. Jej muzyka, jej śpiew, jej przestawanie na najmniejszem — umilają to ognisko domowe, które tylko powracająca od czasu do czasu choroba czyni opustoszałem i wygasłem. Miał w żonie swej Mickiewicz naprawdę towarzyszkę „odważną na wszelkie przygody życia“, jak ją jeszcze przed ślubem określił. Wielką też była boleść poety, gdy towarzyszkę tę utracił, chociaż boleść tę miarkowała wiara jego w ciągłe duchów obcowanie.

— „Czy wierzysz *w powracające duchy?*“ — zapytał raz Mickiewicza któryś z przyjaciół. — „Nie, bo nie wierzę *w odchodzące*“ — odrzekł poeta.

Śmierć żony Mickiewicza zaszła w marcu 1855 roku, kiedy oczy całej Europy utkwione były w wypadki odgrywające się na Wschodzie. Tam też zwrócił Mickiewicz nadzieje swoje i nowe wysiłki ku „realizacyi słowa“ skierowane, a to tembardziej, iż widoki, jakie powrót Napoleonidów do władzy otwierać się zdawał we Francyi, nie zapowiadały ziszczenia. Okazało się, że z powrotem „dynastyi“ nie powróciła „idea“ wielkiego Napoleona. Okazało się, że do tego imienia można było w osobie następcy jego dodać: „mały“, a to rozczarowanie pchnęło Mickiewicza na Wschód, gdzie już przedtem Sadyk-Pasza formował swoich „Kozaków“.

Pożegnany ucztą w Hotelu Lambert, zostawiwszy dzieci pod opieką siostry żony, Zofii Szymanowskiej, późniejszej Lenartowiczowej, wyruszył Mickiewicz na Wschód, na statku Tabor, z Marsylii, dnia 13 września 1855 r. razem z ks. Władysławem Czartoryskim, z hr. Władysławem Zamoyskim, Henrykiem Służalskim i Armandem Levy.

Krótki pobyt Mickiewicza w Konstantynopolu odmłodził go, orzeźwił, napełnił otuchą. Czy to w owej „obszernej celi Lazarystów", gdzie zamieszkał zrazu na Galacie z trzema jeszcze towarzyszami, gdzie „zamiast łóżek były materace, płaszcze zastępowały kołdry, a kufer służył za stół jadalny"; czy później na Pera, gdzie „uliczka była ciasna i brudna, a mieszkanie wilgotne i ciemne"; czy wreszcie pod namiotem obozowym w Burgas — zachowywał poeta pogodę umysłu i tę niefrasobliwość o wszelką wygodę, jaką daje wpatrzenie się w cel umiłowany. Dręczyła wprawdzie Mickiewicza niezgoda, wynikła między ks. Wł. Czartoryskim a hr. Wł. Zamoyskim z różnicy zapatrywania się na środki do tego celu wiodące; ale na ogół był tak dobrej myśli, że nawet brudne i ciasne uliczki Konstantynopola są mu miłe. Z przyjemnością zatrzymuje się na nich. „...Wydają mi się podobne do uliczek mego rodzinnego miasteczka" — pisze w jednym z listów.

Więcej wszakże niż wspomnienie ożywiała Mickiewicza nadzieja czynu, który zdawał się blizkim „realizacyi". Ów obóz Sadyka-Paszy w Burgas, owa msza polowa na wzgórzu nad morzem, ów namiot, w którym czuł się „prawdziwym obywatelem", — wszystko to utrzymywało poetę w stanie podniecenia, skutkiem którego opierał się i własnemu znużeniu i radom przyjaciół, gdy im się obozowanie pod wilgotnym namiotem i w porze dżdżystej nie zdawało odpowiedniem. Nagle, 26 listopada, po nocy źle spędzonej, uczuł się Mickiewicz słabym. Że podobnej wszakże słabości uległ był dnia poprzedniego Armand Levy i już miał się dobrze, nie niepokojono się tem zbytecznie. Nie myślano nawet zrazu o wezwaniu lekarza. Mimochodem tylko wstąpił Armand Levy do doktora Gembickiego i posłał go na Pera. Nim wszakże ten nadszedł, Mickiewicz chciał wstać z łóżka — i zemdlał. Było

około czwartej z południa. Pchnął Służalski Bednarczyka po doktora, ale się spotkali już i wracali obaj. — „Jakże?“ — pytał Służalski prawie bez obawy. A doktor: — „Nie mam wielkiej nadziei uratowania“. Służalski struchlał. Przyszedł pułkownik Kuczyński, rozbiegli się domowi po lekarzy. A już i Mickiewicz czuł, że z nim źle i, kazawszy Służalskiemu wziąć papier i pióro, dyktować mu chciał. Brakło mu wszakże siły, więc rzekł: — „Źle mi. Poślij po ks. Ławrynowicza“. A już mówił cicho, bo głos stracił. Wtem wrócił Levy. Na schodach dowiedział się, że Mickiewicz umiera. Wszedł, a Służalski: — „On już stracony!... To cholera“.

Tymczasem przybiegł ksiądz Ławrynowicz, Żmudzin, którego poeta wielce poważał, a z nim jeszcze trzech lekarzy: Narkiewicz, Drozdowski i Szostakowski. Ratunek okazał się daremnym. Wtedy ksiądz Ławrynowicz udzielił ostatniego namaszczenia. A tymczasem przybliżył się wieczór. Około godziny siódmej zapytał Henryk Służalski Mickiewicza: czy nie chce czego powiedzieć dzieciom?

Wtedy Mickiewicz, przytomny jeszcze, rzekł:

— „Powiedz im niech się kochają“. Zaś pomilczawszy, dodał: — „Zawsze“.

A to były słowa jego ostatnie, bo gasnąć już zaczął. Miało się ku dziewiątej z wieczora, gdy skonał.

. . . . . .

XVII.

Gdyby spuścizna, którąśmy po Mickiewiczu wzięli, była czysto literacką tylko i gdyby ją stanowiło samo tylko piękno w dziełach jego zawarte, mielibyśmy z niej chlubę wobec Europy, a dla siebie niedościgłe wzory poetyckiej doskonałości. Ale ta spuścizna czysto literacką nie jest. W niej tkwi coś więcej niźli doskonałe poetyckie piękno. W niej tkwi nasz duch, a zatem nasze życie. W niej dochodzimy do najogólniejszego, a także do najpełniejszego, poczucia się w so-

bie, które jest pierwszorzędną siłą tak wszelkiego indywiduum, jak i wszelkiego narodu.

„...Próżno-byś mówił — powiada Mickiewicz — *ktoś jest*, gdybyś nie czuł, *żeś jest*".

Bo w czuciu tem właśnie leży sam rdzeń życia. Ten, kto czuje, że jest — jest. A to wbrew wszystkiemu, coby inni twierdzić o tem mogli. Przez to czucie tkwimy w życiu, jak pień drzewa w ziemi; przez nie mamy siłę ciągnąć soki życia. W czuciu tem jest niezdobyta twierdza życia, w której ono chroni się i broni, trwa i zostaje.

Przed Mickiewiczem takiego ogólnego szerokiego czucia siebie w słowie nie mieliśmy. On dopiero ujął pierwszy ducha narodowego w jego całości i uświadomił go jemu samemu w swojem dziele. On mu słowo swoje dał w służbę zupełnie i bez podziału.

Poza wszystkiem, co Mickiewicz wypowiada, słyszymy ciągle, słyszymy zawsze, głos jeden jeszcze, głos, który szepce lub grzmi w pieśni: — „Jestem". To głos narodowego ducha, to nieśmiertelna manifestacya jego wobec świata i wobec samego siebie; nie na rzecz części narodu, ani na rzecz jednej epoki jego istnienia manifestacya, ale na rzecz całości i na wszystkie chwile jego istnienia.

Manifestacye ducha narodowego na rzecz części narodu mieliśmy już dawniej. Mieliśmy je w Skardze, w Reju, w Klonowiczu, w Kochowskim, w Modrzewskim, w Kochanowskim, w Pasku, w Brodzińskim, w Karpińskim i jeszcze w innych. Ale na rzecz całości narodowej nie mogliśmy manifestacyi takiej mieć, dopóki nie przemówiła ziemia. Duch bowiem narodowy nie da się zawrzeć, ani w murach kościoła, ani w sejmowem kole, ani w szumie proporców, ani w błyskawicy szabel: on rośnie z ziemi. W Mickiewiczu pierwszym przemówiła ziemia. Przemówiła pięknością i słodyczą, smutkiem i cierpieniem, przemówiła przeszłością i przyszłością swoją.

A każde słowo było węzłem między ziemią a sercem narodu. I poczęły obiegać głosy ziemi, razem z krwią serca całe narodowe ciało. A to, co się obcem i rozdzielonem czuło, albo co się nie czuło wcale, przeniknięte zostało jednem,

wspólnem czuciem się w życiu, jedną świadomością wspólności życia z ziemią. I tak się wyjawił duch narodu w słowie. Odtąd węzły słowa między ziemią a sercem narodu utrwalać się i zacieśniać będą, aż do tego najwyższego momentu zespolenia, w którym wieszcz, serce narodu w piersi swej czujący, powie: „Ja i ziemia — to jedno“. Odtąd słowo, jak Anteusz walczący z Tytanem, ilekroć uderzy się o ziemię, wzmożone będzie na sile. Zasadą siły tej i tego zespolenia, jakiej Mickiewicz pierwszy u nas dał wyraz w pieśni, jest „czucie i wiara“.

Czucie i wiara to rys naczelny narodowego oblicza, to plemienność ducha naszego w najprostszej, najogólniejszej wyrażona formie. To także ów pierwszy węzeł, jakim zadzierzgnięta jest struna Mickiewiczowskiej pieśni u samego odziomka pnia życia narodowego, tam właśnie, gdzie ono ziemi się trzyma, gdzie w gruncie swoim przyrodzonym tkwi i gdzie z niego w słońce i w błękity rośnie. To zadzierzgnięcie struny na poziomie, na którym rosną zboża, biją zdroje i dusza ludu budzi się do ogólnych pojęć o życiu, daje pieśni Mickiewicza tę pierwotną, żywiołową siłę, przez którą, choć pieśń ta ludową nie jest, w znacznej części zrozumianą i umiłowaną przez lud być może, — może nietylko „zbłądzić pod strzechy“, ale znaleźć prostą drogę do serc pod strzechą bijących.

Od tego punktu, od tego pierwszego węzła biegnie struna Mickiewiczowskiej pieśni to słoneczna, to chmurna, przez pierś narodu, przez narodu serce, dźwięcząc wyrazem każdego narodowego czucia i każdej narodowej wiary, od tej zamierzchłej, przez którą Guślarz wywołuje widma w „Dziadach“, aż do tej przejasnej, co stwarza „widzenie“ w celi zakonnika. Ona biegnie wyżej jeszcze. Ona z piersi narodu przez pierś wieszcza biegnie tam, gdzie „czucie“ jest męką jednego serca za serc miliony, a gdzie „wiara“ chce wymódz na Bogu milionów tych szczęście. Tam utwierdzony jest ostatnim swym węzłem drugi koniec tej drgającej całem naszem czuciem struny, na której poeta, sercem ją własnem podparłszy, wygrał ducha narodu swego i uczynił z nas, w chórze wszechświatowym — „pieśń żywą“.

Takiej ciągłości, takiej jednolitości, takiego potężnego

brzmienia nie miała dotąd żadna inna struna naszej pieśni; żadna inna nie poczynała się, jak „pierwiosnek“, tuż przy samej ziemi, aby przez wszystkie zjawiska życia, przez wszystkie sfery ducha przebiedz i stać się „gwiazdą za granicą świata“.

Te bowiem pieśni, co o pierwiosnkach śpiewały, skowrończe były i u ziemi słały gniazdo swoje, a te, co na orlich piórach w słońce się niosły, traciły ziemię z oczu. Jedna pieśń Mickiewiczowska przeszła całą skalę wzlotów, ogarnęła sobą i ziemię i zaświat, i najrozleglejsza w swym tonie jest oraz potęgą czucia najsilniej napiętą.

Ale jeżeli żaden z poetów naszych nie dał pieśni swej tak potężnego i tak skupionego wyrazu na związek, jaki pomiędzy ziemią rodzinną a sercem człowieka istnieje, żaden też nie dał go na ten związek, jaki istnieć powinien pomiędzy człowiekiem a człowiekiem w narodzie, a także pomiędzy narodem a ludzkością. Nigdy i z żadnej pieśni nie wyszły potężniejsze hasła wspólnej pracy dla wspólnego dobra. Nigdy „szczęście wszystkich“, jako „cel wszystkich“, nie było postawione tak jasno, tak silnie. Nigdy samolubstwo nie stało pod tak hańbiącym pręgierzem, a miłość bratnia nigdy nie miała wzniesionych sobie w pieśni tak czystych ołtarzy. „Oda do młodości“ i hasła filareckich pieśni, przenikające „ludzkości całe ogromy“, pozostaną nazawsze prawem poezyi naszej do najwyższych humanitarnych zaszczytów.

Ale co jest największem haseł tych czarodziejstwem, to, że nietylko brzmią one pobudką szlachetnego myślenia i czucia, ale wprost wzmagają siłę życia, siłę czynu. Komu z nas nie natężały się ramiona po wielkiem haśle „Ody“: „Razem!“ Kto nie czuł jak mu przyrasta serca po filareckiej strofie o mierzeniu sił na zamiary? Otóż jest rzeczą pewną, że tę nadzwyczajną żywotność, tę moc krzepiącą ducha, mogło wlać w hasła owe tylko potężne czucie samego poety. Nie zostały one wyrozumowane na zimno, ale wybiegły wprost z serca płonącego najżywszą miłością ziemi i braci, a tak stały się iskrą, która zachowa moc rozniecania tychże uczuć w sercach naszych — nazawsze.

Mickiewicz nie cierpiałby niezawodnie za miliony, gdyby za miliony nie kochał; ale też, gdyby nie kochał, nie miałby mocy ruszania milionem serc naszych. Byłby geniuszem, jak Goethe, czczonym w Walhalli wszechświatowej sztuki; ale nie byłby wodzem-wieszczem, nie byłby chlebem i wodą, „krwią i żółcią“ narodu swojego. Nie tkwiłby w żadnym z nas jako najlepsza cząstka ducha naszego, i my-byśmy nie tkwili w nim tem wszystkiem, co jest w nas siłą i nadzieją życia.

„Uwielbienie wielkiego człowieka — powiada Mickiewicz — polega na tem, że każdy cząstkę siebie w nim czuje“. Ale wielkość takiego człowieka nie w czem innem leży, tylko w potędze, z jaką on cząstki te obejmuje duchem i pochłania sercem, razem z ich bólem, z ich tęsknotą, z ich pożądaniem, z ich nadzieją. Tylko miłość może dać potęgę taką. Żaden z poetów przed i po Mickiewiczu nie ukochał tak jak on swego ludu. Żaden też nie stał się wyrazem tak silnym i tak doskonałym zbiorowych uczuć tego ludu. Inni tworzyli kwiaty piękna, on tworzył glebę ducha, z której wszelki kwiat i wszelki kłos życia rośnie.

Kiedy nam Mickiewicz powiada, że „w narodzie naszym jest wielkie, powszechne uczucie szlachetności, poczciwości i szczerości“, czujemy, że pod stopami przybywa nam gruntu, na którym budować warto.

Kiedy nam powiada, że „najowocniejsza jest ta danina, ten podatek, które dla ogólnego dobra nałożymy sami na siebie“, każdy z nas pragnie bogdaj jedną cegłę przynieść na życia budowę.

Kiedy nam powiada, że „cały rachunek z przyszłością na własnych siłach oprzeć trzeba“, pragniemy siły te wyrabiać w sobie.

Kiedy powiada, że „słowo ma być krótkie a czyn rozległy“, czujemy jak z nas opada plewa noszonych wiatrem skarg pustych, a duch w nas tężeje.

Kiedy nam, słabym, mówi: „Złe jest mądre, a ty prosty, mądrzejszy od niego. Złe jest zbrojne, a ty go się, bezbronny, nie lękasz“, — czujemy, że zwycięztwo nie przy złem się ostoi, ale przy dobrem właśnie.

Kiedy nam mówi: „Życie nie jest to sztuka lub rzemiosło, o którem starzy tylko i doświadczeni radzić mogą; tu im kto lepszy, tem mędrszy“ — czujemy jak świeże, ożywcze strumienie z czystych wyżyn ducha lecą, by wzmódz i ruszyć stojące wody życia.

Kiedy na pytanie: Co to jest obowiązek? — odpowiada: „Nie mam nic do powiedzenia człowiekowi, którego sumienie milczy“, — czujemy, że odbywa się w nas samych jakby sąd nad nami.

Kiedy mówi: „Im kto wyżej wstąpił, w trud większy się wprzęga: i tem nawet się zniża, gdy wyżej nie sięga“ — widzimy prawie przed sobą szczeble nieskończonego doskonalenia się, szczeble trudu i wysiłku, z których na żadnym spocząć niewolno nikomu. A jest to jedyne pięcie się w górę, jedyna drabina hierarchiczna, na którą nam pozwala ten wielki prawodawca życia.

Kiedy mówi: „Zrób pierś twoją nakształt dzwonu: póki serce dzwoni, niech usta mówią, gdy zamilknie, i ty zamilcz“, — czujemy, że prawo przemawiania publicznego o rzeczach publicznej wagi, dają nam jedynie silne przekonania. Wszelkie handlarstwo słowem, wszelka hipokryzya jest tu potępiona.

Kiedy mówi: „Człowiek zasłużony to człowiek, który wiele cierpiał“, — otwiera się przed nami jakiś ogromny skarbiec duchowego dorobku, który nie może być dla jutra straconym.

Kiedy mówi: „Gdziekolwiek obaczysz miękkość ducha, rozrzewnienie, łzę współczucia, a mianowicie ból z obecności, żądzę i nadzieję przyszłości, tam szukaj brata, czy on chłop, czy żyd, czy ekonom, czy hrabia“ — czujemy, jak się między nami zaciskają węzły solidarności, węzły pracy i nadziei.

Kiedy nam powiada, że „Społeczeństwa zagrzebują się, pleśnieją w starych afirmacyach, w interesach przeszłości, a odradzają się zadaniami i pragnieniami utkwionemi w jutrze“, otrząsnąć się chcemy z pleśni zmierzchów i popiołów, a biedz ku zorzom pogodnym, ku rosom ożywczym przyszłości.

Kiedy nam wreszcie mówi: „Jedyny cel człowieka i narodów jest żyć tak, aby tym, co po nas przyjdą, było lepiej“ — widzimy przed sobą jakąś ogromną i słoneczną drogę, na której samej tylko jest życie i szczęście.

Otóż śmiało powiedzieć można, że takiej społecznej i narodowej etyki, takiego pewnego fundamentu i płodnego gruntu życia, takich czystych horyzontów i tak jasnych ideałów nie stworzył żaden inny poeta, w żadnym innym kraju; że Mickiewicz stoi dla nas na tej wyżynie, „gdzie poeta od czasów Izraela niebywał i drogę stracił, a jeden Dante ją czasem omackiem tu i ówdzie znachodził“.

Z czego poszła ta siła, ta moc, ta żywotność Mickiewiczowskiego słowa? Z „czucia i z wiary“.

Czuł za ziemię, za braci; wierzył w odrodzenie: oto siła jego. Ona była potęgą jego geniuszu, płomieniem jego ducha. Płomień gorzał długo, jasno, a gdy przygasł, w każdym z nas iskra została tam, gdzie bije serce.

Tem żyjemy. Czemże innem żyć byśmy mogli?

PG 7158 .M51 .K67 C.1
Miokiewicz
Stanford University Libraries
3 6105 036 400 435

PG
7158
M51K6

DATE DUE			